

Sczytane: Janusz Tadeusz Nowak
Weryfikacja: Zbigniew Solak, Jan Sienkiewicz

Dziennik

rok 1915 – listopad i grudzień i dwa pierwsze dni roku 1916

Michał Römer (legionista Mateusz Rzymiski)

8/XI 1915 Rzeszów, w szpitalu wojennym

tom XI

8 listopada, rok 1915, poniedziałek

Ten trzeci zeszyt mego dziennika wojennego jako legionisty zaczynam niestety w szpitalu austriackim, w atmosferze dalekiej od pięknej legendy wolnych rycerzy Orła Białego. W szpitalu wojskowym austriackim jestem jak uwięziony ptak, jak łada pospolity żołdak. Cięży mi bardzo ta atmosfera, cięży mi ów lot złamany, a dotąd znikąd nie mogę dostać pomocy, aby się stąd wyrwać. Pisałem do Sokolnickiego Michała, członka N.K.N., do Krakowa, ale nie mogę się doczekać odpowiedzi, choćby już powinna była nadejść. Chyba że go w Krakowie nie ma albo że list nie doszedł; bo że jest bardzo zajęty i że ma czasu mało na załatwianie spraw prywatnych, to, sądzę, nie powinno być przeszkodą, aby się moją prośbą zajął: zna on mnie i wie, kim jestem, toteż wątpię, aby mnie bagatelizował. Człowiek tu jest na łasce i niełasce losu, jak jakiś przedmiot „cesarski”, który nie powinien i nie może mieć woli własnej, nie zależy od siebie i jest tylko sprzętem wojny, jak karabin, jak oręż jakiś. Jest on do armii wcielony jako jej element składowy – i nic poza tym. Niestety – legionisty, wolnego rycerza charakter zatracą się tu na tyłach i stapia w cząstkę „cesarskiej i królewskiej” – c. i k. – armii austriackiej. O, Boże, którego tyle doświadczyłem łaski i cudownej opieki, nie opuść mnie w tej przygodzie, daj mi stąd wyjść do Krakowa i pokieruj rzecz w myśl zdrowia mego i sprawy ogólnej! Wierzę, Boże, pogodnie i ufnie, że dasz mi to, bo gdy w życiu mym rozważam bieg wypadków, widzę wszędzie Opatrzności Twojej rękę, nawet w największych nieszczęściach i klęskach. Wierzę, Panie, że ideały, którym służę i które wyznaję, są z Twojego nasienia i że jestem w wielkim porządku Twojego świata narzędziem, które ich służbie przeznaczyłeś. Dałeś mi w toku mego życia, Panie, chwile szczęścia wielkiego, szczęścia osobliwego, które śmiertelni rzadko doznają, a i z tym szczęściem, Panie, połączyłeś moment pogłębienia moich ideałów przez Aninkę. Cofnąłeś mi to, Panie, przerwałeś wątek życia osobistego nas dwojga na zawsze, bo wybiła godzina służby, godzina ofiary, wielkie południe czynu. Mam wielkie wady, mam ciężkie na sumieniu moim grzechy, które mnie robią niegodnym łaski Twojej, ale Miłość Twoja jest tak wielka, że zwątpić o niej niepodobna. Niepodobna, gdybyś nawet, Panie, nie wybawił mnie teraz i w najgorszą rzucił poniewierkę.

9 listopada, rok 1915, wtorek

Samo się przez się rozumie, że odkąd jestem w Rzeszowie, mam możliwość czytania co dzień świeżych gazet, co było zgoła wykluczone w linii, gdzie gazety docierały raz na kilka dni, czasem raz na tydzień i zawsze z opóźnieniem 10 dni – dwóch tygodni. Ale za to teraz w Rzeszowie, gdzie nikogo nie znam, gazety są moim jedynym łącznikiem ze światem. Ubogi to łącznik, bo jedyna przyzwoitsza gazeta, którą tu dostać mogę, jest krakowska „Nowa Reforma”, a poza tym są same świstki. Naturalnie, że gazeta nie może wystarczyć i nie zastąpi żywego obcowania z ludźmi i wypadkami, zwłaszcza gdy, jak teraz, chodzi mi pilnie o uregulowanie mojej sytuacji. Gazeta daje mi nade wszystko jedną rzecz – to świadomość o wypadkach wojny i przez to możliwość orientowania się w tej krwawej tragedii, pod której znakiem całkowicie żyjemy i która

się zdaje wydłużać w nieskończoność, bo już zgoła niepodobna przewidzieć jej wyników i kresu. Najważniejsze w tej chwili wypadki zachodzą na terenie bałkańskim, w Serbii mianowicie, gdzie energiczna akcja Bułgarów w kontakcie z ofensywą niemiecką i austro-węgierską osiąga świetne rezultaty. Od paru tygodni nastąpiło już połączenie szeregów bułgarskich z austro-niemieckimi. Upadł Kragujewac, upadł Nisz – dwie wielkie pozycje obronne Serbów. Komunikacja bezpośrednia od Berlina, Wiednia i Budapesztu do Konstantynopola została wywalczona i zdobyta. Już nie przez wątpliwie neutralną Rumunię, od której dobrej łaski się zależało, ale bezpośrednio we własnym posiadaniu mają współwalczące mocarstwa centralne to kapitalne połączenie ze sprzymierzoną Bułgarią i Turcją, będąc w stanie organizować jednolitą akcję działania. Francja i Anglia usiłują przedsięwziąć kroki, by przeszkodzić ostatecznemu pogromowi Serbii, ale jest to trudne ze względu na odległość terenu, rozproszenie sił czwórporozumienia itp., a wreszcie nawet ocalenie szczątka terenu serbskiego dla pozorów jego obrony już nie zmieni, jeżeli się nawet uda, osiągniętego faktu nieprzerwanej ciągłości od Berlina do Konstantynopola. Z frontu rosyjskiego niewiele nowego. Wielka ofensywa stanęła tam na całej linii. Moskale energicznie atakują na wszystkich odcinkach, tak pod Rygą, jak pod Dyneburgiem, jak na zachodnim brzegu Styru przed Czartoryskim, gdzie Legiony nasze walczą, jak w Galicji nad Strypą. Tylko na przestrzeni od Dyneburga między Wilnem a Mińskiem do Prypeci jest względnie ciszej. Wściekle ataki rosyjskie wraz z kontratakami niemiecko-austriackimi nie zapowiadają tu wszakże, jak się zdaje, nowej poważnej ofensywy. Jest to raczej walka o odcinki, o stanowiska dogodne dla wojny pozycyjnej, która tu prawdopodobnie na zimę się ustali, jest to wreszcie ze strony Rosji akt gorącego czynu na rzecz uwiezienia tu znacznych sił niemieckich i austriackich, aby nie mogły być one użyte na bałkańskim froncie. Walka, która się toczy na froncie rosyjskim, jest mordercza i straszna. Jest to walka o każdą wieś, o każdy skraj lasu, toczą się szeregi zabójczych ataków i kontrataków, gdzie ludzie z pierśią otwartą idą na strzał do zdobywania okopów, gdzie się kłują wzajemnie bagnietami, gdzie, słowem, piekło się realizuje, a w chwilach przerwy prażą się straszliwymi granatami i szrapnelami. Znam te obrazy spod Kostiuchnówki, Jabłonki i Kukli. Ten rodzaj wojny, straszliwy i tym ohydniejszy, gdy się w bagnach, jak tam na Polesiu dokonywa, nie daje zmęczonemu żołnierzowi tej moralnej satysfakcji, jaką daje choćby najkrwawsza ofensywa i postęp naprzód, poczucie zdobywania. Ten rodzaj wojny nastał na Polesiu od chwili naszego dojścia do linii Styru w końcu września. Nad Styrem Moskale zorganizowali obronę skuteczniejszą. Walki te przypominają mi opisy walk we Flandrii Zachodniej i Północnej Francji z jesieni roku zeszłego po bitwie nad Marną i bezpośrednio przed ustaleniem tam pozycyjnej wojny.

10 listopada, rok 1915, środa

Wciąż jeszcze nie mam żadnej odpowiedzi z Krakowa od Michała Sokolnickiego, do którego głównie moją prośbę o zajęcie się sprawą przeniesienia mnie do Krakowa skierowałem. Prócz tego, pisałem jeszcze do Ludwika Kulczyckiego i do Zygmunta Limanowskiego w Krakowie, ale tych prosiłem tylko o pewne wskazówki i rady, bo sami oni, jako dalecy od kierowniczych kół Legionów, nie mogą mi tego załatwić. Od nich także dotychczas odpowiedzi nie mam. Co robić – znoszę cierpliwie sytuację i czekam dalej. Nową sobie dziś pracę wynalazłem, nudną wprawdzie i niewygodną w szpitalu, ale wcześniej czy później konieczną: oto dziennik mój, pisany od czasu mego wstąpienia do Legionów ołówkiem, nadpisuję na ołówku atramentem. Ciężko to idzie, bo nie ma tu stołu i muszę na kolanie pisać, ale korzystam w ten sposób z nadmiaru czasu, by go użyteczniejszym wyzyskać. Nadal wszakże nowe karty dziennika zapisuję

ołówkiem, bo piórem na kolanie gorzej mi jest pisać; co innego transkrypcja, a co innego pisanie samodzielne nowych kart dziennika lub listów.

Korzystając z miejsca wolnego i czasu, będę prowadzić nadal charakterystykę legionistów z naszego dawnego plutonu. Z kolei po obywatelu Tobjaszu następuje obywatel Eminowicz¹ (pseudonim Targosz, przezwiska zaś – Sowa albo Wróbel; Sowa – od wielkich oczu w jeszcze większych okularach na okrągłej twarzy, Wróbel zaś – zapewne od dziwaczego wyglądu fizycznego: na wątłym ciałku, niewielkiej figurce i koślawych wątych nóżkach wielka sowa głowa w ogromnych okularach, obrosła broda i wydająca głos na poły dziecinny, na poły koźli, zgoła nie pasujący do brody, całość dziwaczna i komiczna). Eminowicz niedługo był przy mnie w plutonie. Gdyśmy byli w wiosce Gałuzji, 26 czy 27 września, odszedł od nas do szpitala jako chory. Należał on, jak się zdaje, do grupy Borysławiaków; w każdym razie, był to stary żołnierz, pochodził z Galicji; cywilnego zawodu jego nie znam; sądzę, że należał do klasy średnio inteligentnej i miał trochę wykształcenia gimnazjalnego; zresztą nie była to umysłowość wybitniejsza ani też wybitniejszy charakter; jako żołnierz był przeciętny, na ogół leniwy i ociężały, niezbyt pilny, co może pochodziło w dużym stopniu z osłabienia fizycznego. Był kiedyś ranny, ale niezbyt ciężko. Charakterystyczną jego cechą było łakomstwo i dogadzanie sobie, mało dbał o jakieś pozory, w ogóle nie wdawał się w rozumowanie i rozważania, co dobre, a co złe; wchodził w bliższe stosunki i poufał się z najprymitywniejszymi naturami rekrutów Lubelskich, jak Machaj², Szyszkowski, Zięba, chłopcami, którzy dopiero co wstąpili do Legionów, a których poprzednim zawodem była służba dworska i którzy zachowali całą jeszcze surowość charakterystycznych cech tego zawodu – a to dlatego, że oni lepiej od innych potrafili coś w wiosce splądrować, nasmażyć mięsa obficie i że przeto lepiej przy nich się mógł Eminowicz pożywić, tym bardziej, że oni już przez to samo, że stary żołnierz się z nimi poufali, mieć musieli dla niego względy szczególne. Inni starzy żołnierze traktowali nieco z góry tę kategorię rekrutów lubelskich i nie dopuszczali ich do poufaleń się ze sobą – Eminowicz nie zważał na to, gdy mu to z innych względów dogadzało.

11 listopada, rok 1915, czwartek

Napisałem dziś po raz drugi do Michała Sokolnickiego do Krakowa w sprawie ewentualnego przeniesienia mnie do Krakowa (sprowadzenia raczej) oraz ewentualnego urlopu. List wysłałem ekspresem.

Poza tym, dzień mi upłynął, jak wszystkie inne – równie monotonnie. Wśród chorych, leżących w kamerze wraz ze mną, wyróżnia się szczególnie grupa trzech Madjarów³. Przyjrzałem się temu ludowi na wojnie; spotykałem ich dużo, bo pełno ich wszędzie, a zwłaszcza na linii. Nie widać ich na tyłach, jak Czechów, chyba jako chorych lub rannych w szpitalach. Osobliwy to lud – Madjarzy, lud, który się charakterystycznie wyróżnia od innych wybitnymi cechami indywidualnymi. Są waleczni i wściekli; wroga nie tylko zwalczają orężem, ale sercem nienawidzą; toteż są dlań okrutni, litości nie znają; biada jeńcom moskiewskim, zwłaszcza kozakom, gdy się do rąk Madjarów dostaną; nie tylko chętnie jeńca zabijają, ale go przy okazji nieraz zamęczą; postępują w tym podobnie do kozaków. Są też bezwzględni w postępowaniu z ludnością cywilną na terenie zdobytym; plądrują i zabierają wszystko, co chcą, bez żadnych względów ludzkości i żalu nad nieszczęsnymi mieszkańcami, a jeżeli ktoś mienia swego bronić próbuje, gotowi są go bić i gwałcić; są daleko pod tym względem gorsi nawet od Niemców, którzy też nieźle plądrować umieją, i tylko się z kozakami równać mogą.

¹ Eminowicz-Targosz, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.

² Machaj – legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.

³ Węgrzy (Madziarzy).

Toteż ludność włościańska i żydowska na Wołyniu i wszędzie, którą Madjarzy przechodzili, na nich najwięcej się skarży i powiada o nich, że „wasze Madjary to jak nasze kozaki”. Nie robią różnicy między ludnością polską czy ruską, chrześcijańską czy żydowską, sprzyjającą armii wkraczającej czy też niechętniej jej. Dla nich każdy mieszkaniec Rosji – to osobnik niegodny żadnych względów. Nie dość tego. Rabowali oni w roku zeszłym w Galicji nie gorzej, niż w kraju nieprzyjacielskim. W bitwie są waleczni, nie poddają się, nie myślą o wykręcaniu się od walki, o ukrywaniu się, ociąganiu i ucieczce. Z pogardą traktują Czechów, osławionych z tchórzostwa i skłonności do poddawania się, w ogóle z moskalofilstwa. Szanują Niemców, szanują Legiony Polskie jako mężne wojsko. Mają na wojnie instynkty dzikie, instynkty wojowników pierwotnych, którzy w sprawę wojenną wnoszą całą siłę gniewu, nienawiści, eksterminacji wroga. To robi z nich materiał wojskowy dobry, potężny na polu walki. Między sobą są solidarni niezmiennie, tworzą rodzaj ścisłego kahału. Myśleć umieją tylko kategoriami dobra madjarskiego, interesu madjarskiego, madjarskiej państwowej potęgi. Zmysł państwowości mają niezwykle rozwinięty i zgoła wyzuty ze względów sprawiedliwości, ludzkości, narodowych elementów innych ludów. Państwo madjarskie „Magyar Ország” jest typowym państwem zaborczym, opartym na dominacji narodu państwowego nad mieszaniną ludów ujarzmionych, stanowiących ogromną większość ludności krajowej. Madjarzy nie rozumieją zgoła aspiracji ludów ujarzmionych, po prostu nie mają czucia sprawiedliwości w tej sprawie; dla nich aspiracje ludów ujarzmionych w Państwie Węgierskim do wolności narodowej, do emancypacji – są zbrodnią przeciwko państwu, są wyrazem złego, są gwałtem przeciwko idei madjarskiej; toteż w najlepszej wierze są oni usposobieni wrogo przeciwko wszelkim takim emancypacyjnym tendencjom, będąc przekonani ślepo i święcie o prawdzie swojej, prawdzie państwowości madjarskiej, gdzie są oni gospodarzami i powinni nimi być. Emancypacyjne ruchy ludów Państwa Węgierskiego, czy to Rumunów, czy Serbów, oczywiście tym bardziej Słowaków, a nawet Kroatów, którzy korzystają przeciw z nadanej im autonomii, uważają Madjarzy za gwałt, za rabunek własności madjarskiej, za uzurpację naturalnych świętych praw gospodarza – Narodu i Państwa Madjarskiego.

12 listopada, rok 1915, piątek

Ponieważ mi znowu w ostatnich dniach było gorzej, doktor zaś szpitalny zbyt formalistycznie traktuje chorych, poszedłem więc na miasto z zamiarem naradzenia się prywatnie u kogoś z lekarzy miejskich. Trafiłem do niejakiego dr Hinze⁴, który się okazał jednak lekarzem wojskowym i mianowicie operatorem tegoż Landwehrszpitala, w którym ja jestem, jeno na wydziale I, podczas, gdy ja jestem na II-gim. Dr Hinze, który mi się wydał sympatyczniejszym, nie udziela jednak prywatnych porad żołnierzom. Biedny ten żołnierz! Gdy zachoruje, nie wolno mu się leczyć prywatnie,

⁴ Roman Gustaw Hinze (1880-1946), lekarz, chirurg. Medycynę ukończył w 1904 r. na Uniw. Lwowskim. Odtąd pracował w szpitalach powszechnych: we Lwowie, Stryju (1905), Zaleszczykach (1909), a od 1913 r. w Rzeszowie jako prymariusz i dyrektor z głównym zadaniem wybudowania nowoczesnego, obszernego szpitala dla środkowej Małopolski. W czasie pierwszej wojny światowej był szefem chirurgii w wojskowych szpitalach: w Rzeszowie, Tarnowie, Wadowicach i w Morawskiej Ostrawie. W XI 1918 r. wrócił na stanowisko dyrektora szpitala w Rzeszowie. Zorganizował Oddział Tow. Lekarskiego oraz od 1925 r. Tow. Koła Walki z Gruźlicą w Rzeszowie. Ogłosił szereg własnych prac lekarskich i komunikatów na łamach „Polskiego Czasopisma Lekarskiego”. W r. 1919 jako jeden z pierwszych przeprowadził operacje na żywym sercu. Po wybuchu drugiej wojny światowej w 1939 r. zostaje ponownie powołany na dyrektora szpitala w Rzeszowie, pełnił tę służbę aż do aresztowania i zwolnienia przez Niemców za częste ucieczki rannych polskich jeńców ze szpitala. Usunięty ze szpitala w 1941 r.

choćby mu środki na to pozwalały, choćby mu to najskuteczniejsze było; jest on jednostką składową armii, jest ostemplowanym przez mundur człowiekiem „cesarskim”, nie zaś człowiekiem raczej, lecz kółkiem wielkiej maszyny państwowej. Ponieważ maszyna ta, włącznie do życia każdego żołnierza, należy do państwa, więc i on, element maszyny, nie do siebie, jeno do państwa należy. I jak życie jego należy do państwa, tak do państwa też należy jego zdrowie i wszystko, co ze zdrowiem jest związane, a więc i choroba i leczenie. Chce czy nie chce – musi być leczony przez państwo, w szpitalu wojskowym i tylko tam, jako znikoma część zbiorowej rzeczy – armii. A tymczasem w szpitalu często panuje rutyna, niedbalstwo, brak odpowiednich wygód, brak troskliwości lekarskiej, tej troskliwości, która każdego chorego traktuje indywidualnie, jak to właściwie być powinno. Trudno się nawet temu dziwić, bo lekarz nie bardzo nawet jest w stanie w wielkim szpitalu wojskowym zajmować się ściśle każdym poszczególnym chorym, a poza tym lekarze są przecież ludźmi i ludzkie przywary i ułomności są im właściwe. Lekarz wojskowy jest urzędnikiem państwowym, toteż nie jeden z nich, jak inni urzędnicy państwowi, myśli tylko o przedszym i formalnym spełnieniu swego przymusowego obowiązku i nie będąc osobiście zainteresowanym w doskonałym wykonaniu pracy, nie wkłada w nią szczególnej staranności. Jest to, co Rosjanie tak trafnie określają w swoim języku słowami „халатное отношение къ делу” (dosłownie „szlafrokowy stosunek do rzeczy”). Ano znoś to, legionisto-obywatelu, znoś! Wprawdzie wstąpiłeś nie do c. i k. armii państwa austriackiego, jeno do wolnego wojska narodu polskiego, walczącego z Moskałem o spełnienie swojej niepodległości państwowej, ale formalnie wobec władzy austriackiej należysz do formacji austriackiej armii i wnet gdyś z linii na tyły się dostał, poczujesz to, legionisto, i musisz znieść. Ofiary naszej ciężarem tym się nie złamie, nie skruszy jej żywego ducha. Są to konieczności, niestety, których się nie uniknie w żywym czynie. Doskonałość form i treści nie jest z tego świata. Ale wracam do rzeczy. Dr Hinze polecił mi przyjść o godz. 4 do wydziału I w Landwehrszpitalu, gdzie on urzęduje, obiecując mi zbadać mnie starannie. Dał mi kartkę, w której prosił mnie zwolnić z wydziału II na oznaczoną godzinę. Tak też zrobiłem. Dr Hinze zbadał mnie dokładnie w asystencji drugiego lekarza szpitalnego i polecił zalokować mnie w wydziale I, który się mieści w innym gmachu, niż wydział II, gdzie dotąd byłem. Zaraz poszedłem, zabrałem rzeczy moje, pożegnałem moich towarzyszy niedoli, z którymi w wydziale II we wspólnej kamerze byłem, a którzy byli dla mnie zawsze niezwykle uprzejmi i ujmujący, serdeczni nawet, i poszedłem do wydziału I. Zalokowano mnie przygodnie w jakimś dość wielkim pokoju, gdzie zastałem gdzieś z 10 chorych leżących. Są to jacyś ciężko chorzy na reumatyzmy i inne dolegliwości nóg i kości. Niektórzy po nocach nie mogą spać, inni prawie że chodzić nie mogą. Narzekają na szpital, na doktorów. W ogóle są to ludzie przeciętnie inteligentniejsi. Jest tu także jeden legionista z VI pułku, telefonista.

13 listopada, rok 1915, sobota

Zmieniłem dziś rano kamerę w I wydziale szpitala. Przyszedł rano do kamery naszej kapral jakiś młody z kawalerii i zaproponował mi, czy bym nie zechciał przenieść się do innej w pobliżu kamery, gdzie miałbym zupełny spokój i wygodę, jeno na razie chwilowo byłaby ta niedogodność, że miałbym za towarzysza legionistę wariata, którego już wszakże w tych dniach wywiozą do innego, specjalnego szpitala. Poszedłem osobiście się przekonać i istotnie zobaczyłem, że będzie mi tam znacznie lepiej. Kamera ta składa się z dwóch małych pokoików, czyściutkich, ciepłych i jasnych; w pierwszym są dwa łóżka, w drugim – cztery. Oprócz wariata, nikogo w pokoikach tych nie ma. Jest tam parę łóżek wygodnych, oficerskich, szerokich, z

materacami sprężynowymi, co jest rozkoszą nie lada, gdy się w linii od paru miesięcy łóżka nie widziało, a w szpitalach spało się wprawdzie na łózkach, ale na siennikach, wypchanych wiórami z drzewa. Wolałem więc tu się zalokować; będę tu sam, swobodny, będę miał ciszę i wygodę. Nie lubię towarzystwa chorych, zwłaszcza ciężko chorych, stękających nocami, narzekających przez dzień cały, plotkujących, interesujących się wzajemnie cierpieniami swymi. Będę sobie sam, będę gazetki czytać, listy pisać, dziennik mój po ołówku piórem nadpisywać. Stolik mi tu dano do pisania, sanitariusz Rusin jest dobry, usłużny, pocziwy. Wariata jutro już stąd wywiozą do specjalnego szpitala wojskowego dla umysłowo chorych w Przemyśle, więc już ta niedogodność odpada. Wyznam bowiem, że przed wariatami mam lęk żywiołowy i że gdybym miał na stałe mieć wariata za towarzysza kamery, to bym wołał już w dawnej kamerze pozostać, znosząc nawet niewygody. Wariat leży w drugim pokoiku, w sąsiednim; jest przy nim stały posterunek dwóch sanitariuszy, którzy czuwają ciągle, bo czasem on się rzuca na ludzi lub chce wyskakiwać oknem itp. Dziś był on względnie spokojniejszy, tylko jęczał czasem i mruczał przeraźliwie, kilka razy łajał sanitariuszy czuwających przy nim, a raz chciał się rzucić i udusić jednego, ale go powstrzymano zaraz. Biedny ten człowiek jest legionistą, Lwowianinem; nazywa się Dusza⁵ (nazwisko czy pseudonim), ma lat już ze 30, jest rosty i tęgą. Przyjechał do Rzeszowa do szpitala jednocześnie ze mną, bo przypominam sobie, że go widział przelotnie w drodze; pamiętam, że już wtedy kłął na „porządki” szpitalów wojskowych austriackich i był zły, ale był jeszcze przytomny zupełnie. Jest wdowcem, ma córeczkę jak ja. Z którego jest pułku – nie wiem, bo gdym dziś wszedł do niego, przywitał i spytał, z którego jest pułku, pociągnął ręką po czole z wyrazem zafrasowania i zbiedzenia, a potem z niecierpliwością uderzył ręką po stoliku. Zachorował niedawno: w poniedziałek wyszedł ze szpitala na miasto, upił się, wrócił pijany i zaczął się awanturzyć i odtąd już do przytomności nie wrócił; był z początku tak wściekły i gwałtowny, że go musiano skrepować i przywiązać do łóżka; tak przywiązany leżał przez 14 godzin; później stał się nieco spokojniejszy, tak że wystarcza czuwanie przy nim dwóch sanitariuszy, ale koszula wariacka i powrozy są dlań zawsze w pogotowiu. Podobno i w pułku, i w cywilnym życiu zdradzał pewne objawy choroby, był nerwowy bardzo i łatwo ulegał podrażnieniu; robiono mu kiedyś w głowie jakąś operację i stąd ma pochodzić jego choroba. Biedny człowiek!

Mam jeszcze kawałek miejsca w dzienniku na dziś; nieduży, nie zmieszczę w nim już nic poważniejszego, ale wystarczy mi na skreślenie charakterystyki obywatela Szyszkowskiego w galerii typów z naszego dawnego plutonu. Szyszkowski należy do młodych żołnierzy, do kategorii lubliniaków. Lubliniacy, którzy są u nas, stanowią pierwszy kontygiens rekruta lubelskiego, który się zaciągnął do Legionów natychmiast po zajęciu Lublina. Wśród Lubliniaków, którzy wszyscy są bardzo młodzi (prawie wszyscy, a w naszym plutonie wszyscy nie dosięgają wieku 20 lat, a przeciętnie mają po 18 lat, bo starsi zdadni do wojska zostali już poprzednio przez Moskali pobrani – część, która pochodzi przeważnie z miasta jest inteligentniejsza, a przynajmniej roztargniona, druga zaś część, która pochodzi ze wsi – to materiał zupełnie surowy, intelektualnie i duchowo. Szyszkowski należy do tych ostatnich). To dziecko proste ludu, nieokrzese, pierwotne. Razem z Machajem i Ziębą służył on w jakimś dworze pod Lublinem i razem z nimi do Legionów się zaciągnął, ot tak sobie – dla chleba, dla przygód, trochę przez brawurę dla sławy żołnierza polskiego, by bić Moskała. Od kolegów swoich Machaja i Zięby okazał się jednak pojętniejszym, odważniejszym i zdatniejszym do wojska. Jest to chłopak silnej budowy, powolny, ale stateczny i bardzo

⁵ Dusza – bliższych danych brak.

dobroduszny z natury; staranny jest, szczerzy, nie pozbawiony instynktu koleżeństwa. Sądzę, że z niego wyrobi się dobry żołnierz-legionista.

14 listopada, rok 1915, niedziela

Legionistę wariata wywieziono dziś rano ze szpitala. Cieszę się z tego, bo towarzystwo jego było dla mnie męczące. Mimo że stale dyżurowało przy nim dwóch sanitariuszy, to jednak sama świadomość, że obok w pokoju o kilka kroków ode mnie, przez drzwi otwarte jest wariat, działała na mnie niepokojąco. Zresztą oprócz świadomości miałem zupełne poczucie jego obecności, bo wciąż słyszałem to głos jego, to dzikie mruczenie. Nieznośni też byli niektórzy sanitariusze, szczególnie Żydki, którzy się wciąż kręcili i ciekawie zaglądali przez drzwi do wariata; bali się go tchórzliwie, ale razem nie mogli poskromić swojej ciekawości i żądy sensacji; gdy wariat spostrzegał, że mu się przez drzwi przypatrują, rzucał się ze złością i kłął; Żydki uciekały, ale po jakimś czasie wracały znowu, pragnąc nawet oczywiście w duchu, aby się wariat wściekał bardziej i ciekawsze widowisko sprawił, byle się nie na nich takowe w skutkach skupiło. Wariat słyszał naturalnie, że w sąsiednim pokoiku, gdzie ja siedziałem, ktoś jest; interesował się mną widocznie, toteż kilkakrotnie wstawał i przechadzał się po swoim pokoju, a przechodząc koło drzwi, zaglądał ciekawie do mnie i obserwował, co robię; miał w tych chwilach na twarzy wyraz dziecinnego wprost zaciekawienia, jak żeby jakąś osobliwość, jakieś cacko oglądał; twarz jego ożywiała się, wypogadzała, nabierała wyrazu dziecinnego, poza którym jeno świecił jakiś drobny promyk chytrości, zdradzający wariata; zdawało mu się pewnie, że przygląda mi się niepostrzeżenie i że oszukuje przez to czujność swojej straży, spełniając rzecz niedozwoloną; bo nigdy nie przyglądał mi się jawnie, jeno robił to ukradkiem, niby spacerując sobie po pokoju i przystając jeno na chwilę we drzwiach. Względem mnie nie zdradzał żadnych nieprzyjaznych uczuć. Przez noc czuwało przy nim także stale na zmianę po dwóch sanitariuszy i lampa się stale paliła. W nocy spał mało, często mruczał i sapał przeciągle. Budziłem się w nocy często, bo wariat mnie niepokoił. Raniutko o godz. 7 wywieziono go. Kłamano mu, że powiozą go do Lwowa. Cieszył się, że wyjedzie ze szpitala tego, do którego czuł nienawiść; sam się ubrał i sam wyszedł.

Teraz jestem samotny i spokojny w moich dwóch pokoikach. Doktor, który codziennie odbywa dwie wizyty w szpitalu i zagląda dwukrotnie do wszystkich chorych, jest uprzejmy dla mnie. Dziś rano odwiedzał mnie też dr Hinze, który rzadko do chorych zagląda. Z jego polecenia doktor ordynujący zapisał mi tzw. II dietę, czyli najposilniejszy i najlepszy stół; mam więc rano kawę bieloną zamiast chleba, który jest w Austrii w czasie wojny ohydny, mam cztery bułeczki pszenne, dwa jaja na drugie śniadanie, świeżutkie, doskonałe, które mi teraz jak najwyszukańsze delikatesy smakują, dwa razy dziennie mleko parzone, dwa razy dziennie herbatę, butelkę wody mineralnej, na obiad bulion z jarzynami, pieczeń z kartoflami i jakąś słodką mączną potrawę, na kolację też jakieś pieczone smaczne i potrawę mleczną. Po skromnym i monotonnym pożywieniu wojskowym jest to teraz nadzwyczajny zbytek takie jedzenie. Teraz dobrze mi tu jest; żebym tylko prędzej wyzdrowiał, żeby skóra mi się wygoiła. Napiszę jeszcze o Madjarach, o których przed paru dniami już pisałem. Obserwuję oczywiście tylko szeregowców-Madjarów, to znaczy jednostki z ludu, z przeciętnej masy narodowej, nie z inteligencji właściwej. Ale przez to tym charakterystyczniejsze są bodaj moje spostrzeżenia, bo inteligencja wszędzie jest przeciętnie, przynajmniej z pozorów i zewnętrznej kultury, taka sama i żeby w niej poznać jej cechy narodowe, trzeba ją głębiej badać, trzeba ją z pokostu ogólnoeuropejskiego wyłuskać. W inteligencji cechy narodowe są bardziej zamaskowane. W ludzie natomiast najwyraźniej się ujawniają cechy rasowe i narodowe. Otóż ciekawe jest, że lud

madjarski, nie tylko zaś klasy wyższe – ma ogromny zmysł państwowy i poczucie tego, że Madjar jest prawowitym gospodarzem w państwie węgierskim. Pojęcie państwa jako zbiorowej całości, jako wyrazu zespołu wszystkich obywateli, jest Madjarom obce. Państwo węgierskie jest państwem tylko Madjarów, choć ogarnia ono terytoria etnograficzne Rumunów, Słowaków, Serbów, Kroatów. Madjarzy są tylko jego właścicielami i gospodarzami, inni – to tylko mieszkańcy ziemi węgierskiej, którzy powinni też zostać Madjarami, patriotami nie swego narodu, lecz państwa i narodu panującego. Zagadnienia społeczne mało przeciętnego Madjara zajmują: w umyśle jego dominują nad nimi pierwiastki państwowo-narodowe. Nie wątpi on o tym, że naród jego jest w państwie swoim panujący i że tak być powinno. Rozszerzanie państwa, zwiększanie jego potęgi – to dobro bezwzględne, w którym nie ma żadnych uczuciowych względów na czyjąś krzywdę, na własność innego narodu. Serbia, po jej rozbiciu, powinna być zagarnięta; to, co się na Serbii zdobędzie – to będą Węgry, to będzie dziedzictwo narodowe Madjarów. Nie wyczuwają oni po prostu własności terytoriów narodowych. Dla nich, jak dla potomków zaborców – Hunów, to co zdobyte, jest ich prawowitą własnością i wara komuś pretendować do tego jako do swojego w imię jakichś etnograficznych czy innych praw. Są oni pod tym względem podobni do Prusaków, choć są od nich o wiele niżsi cywilizacyjnie. Jak Prusacy, jak Moskale, są oni narodem zaborczym, ale od Moskali oczywiście mniej niebezpieczni, bo ilościowo mniej liczni i bądź co bądź nie tak żywiołowi, a więc w zachłanności swej słabsi. Narody takie, jak Madjarzy, jak Niemcy, z wybitnym zmysłem państwowym i narodowym, są na wojnie materiałem niezrównanym. Austriacy, złożeni z całej mozaiki narodów, o słabych aspiracjach państwowych i w każdym razie nie mających w Austrii czucia własności swojej jako gospodarzy państwa, są wobec Madjarów i Niemców lichym materiałem wojskowym, choć są bardziej ludzcy, sympatyczniejsi, posiadający więcej cnót społecznych. Dopóki Europie grozi wschodnia barbaria od Moskwy, dopóty ludy takie, jak Madjarzy i Niemcy, uzdolnione do wojny, pełnią w ludzkości pożyteczną funkcję jak bicz Boży. Ale przyjdzie czas, kiedy ich państwa w granicach zaborów cudzego rozsypią się w gruzy pod sprawiedliwością Boską.

15 listopada, rok 1915, poniedziałek

Dziś wielki dzień w Warszawie i Polsce całej. Dzień otwarcia polskiego Uniwersytetu Warszawskiego i polskiej Politechniki Warszawskiej⁶. Otwarcie w stolicy polskich wyższych uczelni, tam, gdzie Moskwa dusiła oświatę polską i, jako symbol gwałtu i rusyfikacji państwowej, utrzymywała uniwersytet rosyjski i rosyjską politechnikę, to fakt doniosły i uroczysty, fakt wielki w nieszczęsnych dziejach narodu naszego. Jest to zwycięstwo żywotności narodu, triumf jego niegasnącej nigdy woli, realizacja jego praw, których niestosowanie, których stłumienie gwałtem nie sprowadza nigdy przedawnienia. Bo co żywe, musi zakwitnąć, dopóki życia samego nie zniszczono. Jest to życia Polski manifestacja, jest więcej nawet: jest to tego męczzonego życia funkcja, wskaźnik jego zdrowia, jego odruchu naturalnego, który w każdej chwili zdolny jest do kiełkowania w swoich procesach żywotnych, gdy na chwilę kraty piwnicy się rozerwą i prąd powietrza wraz z promieniem światła dotknie rzekomego nieboszczyka. Pogrobową, wiecześnie żywą Polskę świetniejszą jest w swojej koronie cierniowej i woli do życia od starej szlacheckiej niepodległej Polski Sasów. Jej niepodległość przyszła będzie postępek w życiu, nie zaś drogą rozkładu i zamierania. Wspaniały jest

⁶ Okupacyjne władze niemieckie roztoczyły nad obu placówkami wszechstronną kontrolę. Kuratorem ich został zastępca komendanta Warszawy ppłk Bogdan Hutten-Czapski, rektorem Politechniki Zygmunt Straszewicz, rektorem Uniwersytetu Józef Brudziński. Wszyscy oni byli czołowymi politykami obozu proniemieckiego.

dzień otwarcia polskich Uniwersytetu i Politechniki w Warszawie. Nieznane są jeszcze wyniki wielkiej wojny europejskiej, nieokreśloną jest jeszcze przyszłość dziejów naszego narodu, jaka się z tej katastrofy wyłoni (choć ja osobiście jestem w tym względzie optymistą), ale bądź co bądź fakt ten ma sam przez się wartość bezwzględną. Cokolwiek się stanie, jakiegokolwiek losy są nam zgotowane w najbliższej przyszłości, to faktu polskiego Uniwersytetu i polskiej Politechniki w Warszawie w r. 1915 nie skasować nie jest w stanie. Gdyby nawet, czego nie dopuść Boże i czego nie przypuszczam, fakt ten został cofnięty, to jednak nie przestanie być prawdą to, że on był i już samo moralne znaczenie tego dla narodu pozostanie czynnikiem trwałym. Niemcy w okupowanej Warszawie rządzą dość twardo, w każdym razie bez zbytniego sentymentu, szanując indywidualność Polski i zaznaczając jej uznanie, ale siebie za panów jako okupatorów bez zastrzeżeń zachowując, nie bawią się w osobliwe braterstwo, są oszczędni w słowach, nie szafują obietnicami, utrzymują się w rezerwie; a przecie Niemcy, bez wielkich jaskrawych gestów, jako rzecz naturalną, zezwolili na otwarcie uniwersytetu polskiego. Tymczasem Moskale od początku wojny wszczęli hałaśliwy, teatralny, pełny uczuciowości, osobliwy flirt braterstwa z Polakami; proklamowali gorące odezwy, bratali się, szafowali obietnicami na przyszłość, mieli gesty szerokie, z których się wszelkich łask i wspaniałości domyślać było można, a przecie uniwersytet w Warszawie pozostawał przez cały rok szkolny 1914-1915 – rosyjski, i faktów gesty „tymczasem” nie wydawały!

Czytałem wczoraj w „Nowej Reformie” w jakimś artykule zastrzeżenie o tym, że wszelkie pogłoski o zawieszeniu werbunku do Legionów są bałamuctwem. Nie ręczę, jak jest z tą kwestią. Że urzędowo z ramienia Komendy Legionów werbunek trwa dalej – o tym wiem. Wszelako chodzi głównie o to, czy prawdą jest, że Piłsudski zawiesił werbunek w Królestwie, oczywiście wśród elementów świadomych i tworzących organizacje militarne, czy nie. Choć Piłsudskiego nie widziałem i choć opieram się tylko na tym, co w szeregach I Brygady ludzie świadomi mówią, a więc bądź co bądź na pogłoskach, jednak zdaje mi się, że tak jest, wbrew twierdzeniu „Nowej Reformy”. Wiem bowiem, że już nawet w lipcu, to znaczy przed zdobyciem Warszawy, gdy byłem w Piotrkowie, agenci Piłsudskiego na terenie okupacyjnym niemieckim Królestwa Polskiego nie nawoływali młodzieży do bezpośredniego wstępowania do Legionów, jeno organizowali z niej kadry rezerwowe, tajne związki strzeleckie i militarne, aby utworzyć pogotowie na przyszłość, gdyby nadeszła chwila dogodniejszych okoliczności, kiedy Legiony mogłyby wystąpić z przyłbicą otwartą wojska polskiego, walczącego o własną sprawę i żeby wtedy szeregi ich się uzupełniły dopływem nowych sił. Zdaje się, że sprawa zawieszenia przez Piłsudskiego werbunku jest faktem.

16 listopada, rok 1915, wtorek

Dziś jest wiadomość w komunikatach wojennych austriackim i niemieckim o odrzuceniu Rosjan za Styr na prawy wschodni brzeg rzeki. Zostało to dokonane po nowych kilkudniowych krwawych walkach, ale za to dokonane na całej linii, to znaczy tak na południu od toru kolei Kowel-Sarny, w okolicach Czartoryska, jak na północy od tegoż toru, w okolicach Kostiuchnowki, Kołodii itd. Moskale, cofając się, palili wszystkie wsie po drodze. Tak więc krwawe dzikie walki, staczane w piekielnym ogniu nad Styrem, w których Legiony nasze poniosły tyle nowych strat, lecz okryły się także nową chwałą, zostały wreszcie uwieńczone powodzeniem. Te walki nad Styrem, w bagnach i lasach, wśród nieustannych ataków, na chłodzie, bez ciepłego schronienia w wioskach, bez wygodnego, co mówię! – bez znośnego wypoczynku dla żołnierza, miały w sobie coś z przerażających obrazów piekła dantejskiego. Może linia Styru stanie się wreszcie linią stałą walki pozycyjnej na zimę, błogosławionym wytchnieniem dla

znękanymi żołnierzami. Próżne więc były wściekłe próby Moskali ekspansji za Styr, podejmowane z takim nakładem wyborowego żołnierza, amunicji i zwłaszcza energii zaciętej, obliczonej na zdemoralizowanie przeciwnika przez nieustające niepokoienie go. Przelamowali oni linię kilkakrotnie na rozmaitych odcinkach, osiągnęli powodzenie, utrzymywali ciągłą krwawą walkę, ale się pomimo wszystko rozbili sami o moc oporu przeciwnika i wyparci za Styr zostali. Chwała i cześć Legionom, które w tych walkach przeszło miesięcznych znakomity udział brały. Daleko od nich, w sercu współczuję z nimi głęboko; oby nadeszło ukojenie ich męki i znoju w dłuższym okresie statecznej pozycyjnej walki! Oby! – bo zaręczyć za ustalenie się natychmiast linii Styru – niepodobna. W wojnie trudno o pewniki.

Dobrze mi tu w szpitalu; nie mogę się teraz uskarżać i już się pogodziłem z myślą, że przesiedzę tu dłużej, jeżeli nie do całkowitego, to przynajmniej do względnego wyzdrowienia; może nawet dla zdrowia mego to lepiej – Bóg to raczy wiedzieć i w swojej łaskawości kierować. Ale swoją drogą, z ogólnych względów Sprawy źle jest, że nie mogę być jeszcze teraz w Wilnie. Obecność moja w Wilnie byłaby teraz bardzo na czasie. W sprawie też stosunku do Legionów zdaje mi się, że pomimo zawieszenia przez Piłsudskiego werbunku w Królestwie Polskim, co ma za sobą dużo argumentów, werbunek w Wilnie, oczywiście prywatny, bo na formalny władze okupacyjne niemieckie nie pozwolą, miałby w obecnej chwili rację. Chodzi o to, że Litwa i Wilno w Legionach prawie że nie są reprezentowane; ci ludzie z Litwy, którzy w nich są, są tylko z Litwy przeważnie rodem, ale mieszkali w Galicji lub Królestwie i Litwy jako jednostki krajowej nie reprezentują. Uczestnictwo więc istotnych obywateli Litwy i w szczególności Wilnian w Legionach byłoby pożądane, choćby jako akt żywego i czynnego akcesu tej połowy Rzeczypospolitej w ruchu niepodległościowym. Byłby to akt manifestacyjny, stwierdzenie udziału, stwierdzenie zespołu w Sprawie. Wszak właściwie czyn Legionów, wobec starcia milionowych zbrojnych potęg świata, jest też nade wszystko aktem manifestacji czynnej woli narodu polskiego do niepodległości, manifestacji, która w szeregu czynników zaważyć także w odpowiednim czasie może. Otóż czynny akces do tej manifestacji ze strony Litwy byłby, sądzę, wskazany. Naturalnie, że o masowym akcesie Litwy nie może być już mowy, ale bądź co bądź pewien regularny dopływ ludzi z Litwy miałby swoje znaczenie, choćby nawet nie wobec Europy, która by go nie dostrzegła, ale wobec Polski samej. A to by się, sądzę, dało w Wilnie zrobić, gdyby hasło zostało dane. W tym celu, gdybym mógł pojechać do Wilna, musiałbym poprzednio pokonferować z takimi ludźmi z N.K.N., jak Sokolnicki i Stanisław Downarowicz, oraz z odpowiednimi ludźmi w Warszawie, jak Artur Śliwiński i inni. Jest to rzecz ważna, o której trzeba pomyśleć. Jeżeli nie będzie za późno, gdy stąd wyjdę, i jeżeli mi się uda uzyskać wyjazd do Wilna, to się tym zajmę. W ogóle dostrzegłem w kołach legionowych i zwłaszcza wśród samych legionistów zupełny brak idei wskrzeszenia dawnej Rzeczypospolitej jako związku państwowego Polski i Litwy, ewentualnie też Rusi (Rusi Białej i Ukrainy). Mają oni tylko ideę Polski jako państwa narodowego, która w nich żyje. Litwy nie znają, nie czują i nie rozumieją, ewentualnie interesują się nią o tyle, o ile pewne jej części mogłyby być uważane za narodowo-polskie. Stosunek do Litwy, o ile mi się zdarzyło poruszyć ten temat, jest życzliwy, ale na ogół jest to rzecz daleka, nad którą się nie zastanawiają i która w sercach nie gra żywszym tętnem samodzielnego odruchu. Nie dostrzegłem żadnych zaborczych aspiracji względem Litwy, prócz u takich ludzi, jak Władysław Studnicki, ale raczej zupełną nieświadomość. Pierwiastek narodowy polski jest bodajże jedyną czynną sprężyną całego ruchu i w tym nie ma nic dziwnego, bo jest on najwyrazistszym z motywów serca tych ludzi. Koncepcje historyczne Rzeczypospolitej i unii państwowej Litwy z Polską nie mogą mieć tej siły, co ma poczucie narodowe. Ale oto udział ludzi z

Litwy mógłby wnieść do Sprawy pewną nową strugę idei łączącej sprawę wolności Polski ze sprawą wolności i państwowości bratniej Litwy, kraju zbratanego z Polską przeszłością, kulturą, ciągłym współdziałaniem, a zarazem tworzącego odrębną swoistą indywidualność, określoną współdziałaniem różnych ludów krajowych.

17 listopada, rok 1915, środa

Sączę już przeszło od miesiąca po trochę charakterystykę moich towarzyszy z mego dawnego plutonu. Oczywiście, dla ciągłości tematu, dla całości obrazu, byłoby lepiej, gdybym to zrobił w jednym ciągu, nie przerywając przedmiotu innymi rzeczami. Ale dziennik jest pracą tego rodzaju, że takiej ciągłości opowiadania na temat oderwany, uplanowany z góry, zachować niepodobna. Co dzień przychodzą jakieś świeże tematy, jakieś rzeczy aktualne, jakieś wypadki nieprzewidziane, jakieś szczegóły osobistego życia, jakieś spostrzeżenia czy rozmyślenia, zdające się mieć swoją wartość indywidualną, które się chce zanotować, które unoszą pióro, przerywając ciągłość obranego poprzednio tematu i wyczerpując miejsce. W ogóle dziennik – to jest „*silva rerum*” – las rzeczy z natury swojej, jak kalejdoskop zmienny i nieobliczalny w układzie treści. Nigdy wigilią, planując temat, zwłaszcza dłuższy, nie można zaręczyć, że dzień jutrzejszy nie przyniesie czegoś indywidualnego, co będzie miało dla mnie wagę większą i przerwie tok uplanowanego uprzednio. Zresztą w dzienniku moim chcę być wolny nade wszystko, chcę rozporządzać myślami i wrażeniami mymi w ich toku zmiennym, wybierając do notowania dowolnie to, co mnie w danej chwili najbardziej zajmuje. Czasem zadaję sobie pytanie, czy osiągam przez pisanie mego dziennika, który już przecie od pięciu lat bez żadnej przerwy piszę, jakiś cel konkretny i czy nie jest to zmarnowana energia. Jest w nim dużo gadulstwa, dużo roztrzasań, dużo czysto osobistych wrażeń i spekulacji myślowych, które może wartości stałej mieć nie mogą, bo są określane nieraz przygodnymi czynnikami stanowiska obserwacyjnego, okoliczności, chwili – no i nade wszystko oczywiście czynnikami podmiotowymi, tkwiącymi w mojej osobowości. Ale skądinąd myślę sobie, że jednak to nie jest praca zmarnowana, choćby dla psychologicznej analizy człowieka, jednostki społecznej w środowisku historycznym i w charakterze przyczynku – może to za śmiałe – do dziejów epoki i myśli publicznej. Bowiem czasy dziejowe streszczają się w ludziach, indywidualnościach żywych, które są ich aktorami. Nie przeceniam siebie ani roli mojej w dziejach, ale bądź co bądź jestem indywidualnością wyrazistą, wyłamującą się z szablonów, toteż procesy mego ducha mają swoją wartość przyczynku do studiów. Zresztą, niezależnie od swojej realnej przedmiotowej większej lub mniejszej wartości, ma ten dziennik dla mnie dużą wartość kontroli osobistej nad sobą. Piszę go dorywczo nieraz, na kolanie, nie mogę należycie opracować, zwłaszcza technicznej strony wykonania, stylu, artyzmu pióra, być może nawet, że psuję nim mój styl, ale osiągam przezeń pewne rezultaty dodatnie dla samego siebie.

Ale oto przeszło połowę miejsca dzisiejszego wyczerpałem. Muszę się śpieszyć i skracać, aby dla charakterystyki legionistów coś zostało. Charakterystykę tę będę notować dalej, przerywając ją innymi tematami, pisząc ją w chwilach wolnego od innych tematów miejsca, jak to dotąd robiłem. Traci na tym wprawdzie ciągłość, ale inaczej z samej natury dziennika być nie może, a zresztą tu w szpitalu wystarczy mi czasu i miejsca na jej dokończenie. Dziś o obywatelu Machaju. Jak już wspomniałem, Machaj wraz z Szyszkowskim i Ziębą był zatrudniony w służbie dworskiej pod Lublinem, skąd się latem tego roku po wygnaniu Moskali, do Legionów zaciągnął. Jak tamci dwaj, jest to chłopak 18-letni, surowy zupełnie, bez żadnej kultury duchowej, analfabeta. O żadnym przygotowaniu ideowym, o żadnej szkole społecznej w jakichś organizacjach, o jakimś uleganiu dyscyplinie wpływów kształcących – nie może być tu

mowy. Syn ciemnych chłopów, rósł jak grusza w polu, kształcony tylko kulturą obyczajową ludu, potem dostał się do służby dworskiej, która, jak wiadomo, nie należy dla młodych parobczaków do dodatniej szkoły wpływów. Wyraźnej świadomości o idei Legionów, o istocie i naturze ruchu, o jego skomplikowanym stanowisku w obecnym kryzysie duszy narodu – naturalnie chłopcy ci nie mają. Są zaiste ubodzy duchem. Ale do Legionów poszli, stanęli do szeregów. Pewna brawura osobista, może też pobudki zapewnionego kawałka chleba wśród ruiny kraju i braku pracy, bo zapewne dwór był zniszczony i służba w nim zerwana były dla nich pobudkami do wstąpienia do Legionów. Ale sądzę, że nie tylko to. W masie ludu lubelskiego jest żywe poczucie czy może instynkt narodowy, jest tradycja nienawiści do najazdu moskiewskiego. Żyje w tym ludzie legenda wojska polskiego i wypędzenia Moskala. Ręka mu na Moskala świerzbi. Otóż co jest w ludzie, to jest także w tych dzieciach jego, w Szyszkowskich, Machajach, Ziębach. Gdy przyszły Legiony, polskie wojsko, idące bić Moskala, poszli oni do niego. Do stracenia nic nie mają, a uczucia, nawet chwilowe, u 18-letnich chłopców łatwo w czyn przechodzą. Machaj nie jest ani dobry ani zły. Jest dobroduszny jak Szyszkowski, ma pewne poczucie komizmu, ale ma dużo cech babskich – wiarę w plotki i pogłoski, wyobraźnię podniecającą się łatwo obrazami wymagowanymi i górującą nad elementami rozsądku i myślenia, a stąd płynącą jakąś przesadność instynktowną i ciemną, i niestety – tchórzostwo. Nie ma w nim tej statecznej trzeźwej dzielności, tej przejrzystej męskości rozsądku, którą ma np. jego kolega, takież prosty chłopak jak on, Szyszkowski. Toteż Machaj okazał się na żołnierza złym materiałem; kilkakrotnie ujawnił tchórzostwo swoje w czynie, a był stale pod wrażeniem strachu, który działał nań przygnębiająco. Wobec czego został wycofany z szeregu liniowego i przeznaczony do prowiantury batalionu, do taboru, gdzie jest obecnie. W linii był coś przez trzy tygodnie ze mną.

18 listopada, rok 1915, czwartek

Uważam za dobrą praktykę w I Brygadzie to, że żołnierzy, którzy, jak oto taki Machaj, okazali się niezdadnymi do służby w linii, skierowują do innych zajęć, w danym wypadku do taboru. W wojsku musi być selekcja materiału ludzkiego, i nie tylko podług szablonowych pewnych kryteriów, jak wiek, kwalifikacja zdrowia, ale też podług indywidualnych i w szczególności psychicznych kryteriów żywych jednostek ludzkich. Im taka selekcja dokładniejsza, tym lepsze wojsko. Trudno ją oczywiście zastosować do wielkich mas ludzkich ze ścisłą dokładnością, ale należy dążyć do tego. Wojsko dzieli się na fragmenty poszczególne, jak pułki, bataliony, kompanie, wreszcie plutony; otóż w poszczególnym plutonie nie jest niepodobieństwem poznać indywidualnie żołnierzy; mądry komendant potrafi w materiale ludzkim selekcji, przynajmniej w ogólnych zarysach, dokonać. Cóż stąd, że by się takiego Machaja za objawy tchórzostwa karało, że by się usiłowało przełamać jego naturę i zmienić go do należytego spełniania obowiązków żołnierza liniowego; nie wyrobiłby się z niego nigdy dobry żołnierz, bo tchórzostwo takie jest wadą organiczną, a jeno by się go męczyło niepotrzebnie; poza tym, byłby to w szeregu element demoralizujący, bo nic tak w chwilach krytycznych nie psuje ducha żołnierzy, jak ujawniający się w szeregach strach żywiołowy, który pochodząc czasem od jednego żołnierza, może sprawić popłoch i panikę w całej gromadzie. Za Machajem pomówię z kolei o obywatelu Bieniaku. Jest to także nowy żołnierz, Lubliniak, takież młody, jak inni Lubliniacy. Gdym go poznał, sądziłem na razie, że to może brat albo krewny znanej Marii Bieniakówny⁷, działaczki z

⁷ Przypuszczalnie chodzi o Marię Chmielewską z d. Bieniak (1891-1946), nauczycielkę, publicystkę, urodzoną w rodzinie chłopskiej. Od 16 roku życia publikującą artykuły o tematyce wiejskiej w „Zaraniu”, „Siewbie”, „Zagonie”. Absolwentkę Kursów Naukowych dla Kobiet. Współredaktorkę (od 1912 r.)

obozu „zaraniarskiego”, pochodzącej z ludu i, o ile się nie mylę, także z Lubelskiego. Ale Bieniak nic o niej nie wiedział. Z pewnością musi on być z tej samej rodziny Bieniaków, choć związków pokrewieństwa swego, jak to zazwyczaj u ludu bywa, w szerszym zakresie nie zna. Bieniak od takich swoich kolegów lubelskich, jak Szyszkowski lub Machaj, stoi bez porównania wyżej i przedstawia materiał już wyrobiony i giętki. Ściśle jego przeszłości w zawodzie cywilnym nie znam. Był on rzemieślnikiem czy robotnikiem już bardziej wykwalifikowanym w mieście. Toteż znać na nim szkołę życia, wyrobienie i pewną kulturę intelektualną. Liznął też nieco oświaty, a że z natury to chłopak bystry, wrażliwy i inteligentny, więc wpływy życia, które nań działały, nie przeszły po nim bez śladu. Można z nim rozmawiać i mieć w obcowaniu pewną przyjemność. Nie jest to człowiek „bardzo poważny”, bo ani wiek, ani usposobienie żywe i swawolne nie odpowiadają powadze, ale w każdym razie chłopak sprytny – zastanawiający się i spostrzegawczy w życiu, słowem – posiadający swój osobisty świat ducha i powodujący się świadomością w życiu. Nie jest też tylko odruchowy, w ślepej władzy swoich instynktów, jak tacy surowi chłopacy, jak Machaj i Zięba; panuje on nad swoimi instynktami i pierwszymi uczuciami, umie siebie w karbach trzymać, poddawać czyn swój krytyce i władzy takich wyższych czynników woli, jak obowiązek, honor, jak dobre imię i tradycja żołnierza polskiego. Toteż żołnierz z niego dobry, zmyślny, giętki, mający kwalifikacje do wyrobienia się. Bywały wypadki, że w niebezpiecznych przedsięwzięciach sam się na ochotnika wyzywał. Jeno zdrowia jest słabego, wątły fizycznie. Ma też swoje wady: kląć nauczył się po żołniersku do przesady i trochę zanadto w krytykę sprawy legionowej się wdaje, więcej, niż może wiedzą swoją i znajomością rzeczy ogarnąć. Za zaletę jego uważam to, że ma rozwinięty zmysł społeczny i pociąg do opozycji, nawet żyłkę rewolucyjną. Wyczuwa on wszelką niesprawiedliwość społeczną, jest usposobiony niechętnie, wrogo nawet do bogatych i w ogóle do klas panujących, ma aspiracje egalitarne. Tej wrażliwości u ludu polskiego zbyt potulnego w społeczeństwie, nie ma za wiele; jest ona dobrym i pożądanym zaczynem, choćby była trochę zanadto ryczałtowa, trochę za radykalna, jak u młodego Bieniaka, który jeszcze skłonny jest do przejaskrawiania wszystkiego w czambuł. W ogóle nie znosi on organicznie wszelkiego wywyższania się i dlatego ma niechęć nawet do inteligentów jako takich, choćby nie byli bogaczami, ale po prostu dlatego, że się noszą z pańska i z góry tłum traktują. Na tym tle były u niego kilkakrotnie scysje z Grzmotem, który ma zwyczaj używania bardzo poprawnej i nazbyt sztucznej mowy, pełnej wyrazów wyszukanych, czego Bieniak nie może znieść i nie może spokojnie słuchać. W ataku na Jabłonkę 20 X Bieniak pierwszy i jedyny z naszych Lubliniaków został ranny.

19 listopada, rok 1915, piątek

Wieczorem dziś wniesiono do pokoiku, w którym dotąd sam jeden leżałem (właściwie mam dwa pokoiki), świeżo przybyłego do szpitala ciężko chorego żołnierza austriackiego, Polaka, człowieka młodego. Jest bardzo osłabiony chorobą, wygląda jak kościotrup, nie rozmawia prawie wcale; miał jakąś wielką gorączkę i co mu było – sam nie wie, a leczono go w szpitalu rezerwowym, w którym był dotąd, zimnymi okładami; wreszcie odesłano go tu i tu dr Hinze, operator, znalazł u niego coś w gardle i dziś mu zaraz operację zrobił. Biedak ledwie żyje; przyniesiono go wprost z pokoju operacyjnego; po operacji mu już jednak ulżyło. Biedak nie bardzo może o własnych siłach iść; sanitariusz obmył mu ręce i nogi, dano mu bieliznę czystą i położono na wygodnym łóżku na materacu. Skończyła się więc moja samotność, ale mój towarzysz

jest tak słaby i zbiedzony, że prócz fizycznej obecności nie bardzo mi ją przerywa i w każdym razie nie będzie mnie krępować.

Miłego mam tu w szpitalu sanitariusza, mającego w swej pieczy moją kamerę. Jest to człowiek starszy, Rusin, bardzo pocziwy i dobry, staranny człowiek. W ogóle Rusini są tu dominującym wśród sanitariuszów elementem, tak jak w Maniewiczach i Kowlu na stacji i jak we Włodzimierzu Wołyńskim – Cześci. Tu prócz Rusinów sporo jest także sanitariuszów Żydów, często nawet ludzi młodych i zdrowych, ale Żydzi – to kiepski materiał na sanitariusza, bo zaniedbują chorych, wykręcają się od wszelkiej cięższej roboty, w ogóle starają się nawet chorymi wyręczać w obowiązkach swoich. A że jest ich dużo, to się tłumaczy tym, że starają się wykręcać od służby w polu, a że są sprytni i umieją każdą okoliczność wyzyskać, więc potrafią to z protekcji jakiejś i znajomości skorzystać, to znów uwydatnić jakieś braki fizyczne, aby wyrobić sobie lepszą służbę, czego nasz chłop chrześcijański zrobić nie potrafi. Rusini to bardzo sympatyczny na sanitariuszów materiał. Każdy z nich – to pocziwy prymitywny typ, dobroduszny i trochę ciężki, niezbyt sprytny i jeszcze mniej lotny, ale rzetelny, nabożny, odrabiający swą pracę jak się należy, nie umiejący nawet się wykręcać, w ogóle pracowity po chłopsku i zarazem pokorny, stateczny, cichy. Rusin jest delikatniejszy i subtelniejszy w swej duszy, niż Czech, ma w sobie pewną słodycz słowiańską i ma ogromną siłę wytrwałości i równowagi, właściwą chłopom na wschodzie. Nie jest brutalnym panoszącym się i poufałym jak Czech – najgorszy z sanitariuszów, gorszy stokroć od Żyda. Rusinów na linii bojowej nie spotykałem prawie wcale w szeregach austriackiego wojska. Jak Cześci, są oni pod zarzutem nieprawowierności państwowej podejrzani o moskalofilstwo, którego istotnie dali dużo dowodów w czasie zeszłorocznej inwazji moskiewskiej do Galicji, za co zresztą mieli liczne krwawe (choć tylko co do poszczególnych osób) represje ze strony Austrii. Toteż na front rosyjski mało ich posyłają. Ale cóż za różnica między moskalofilskimi tendencjami Czechów a Rusinów. Czech moskalofil jest nim świadomie, z nienawiści do Niemców, z własnego przekonania i wyrachowania politycznego, zresztą bodajże wielce mylnego w tej wojnie. Rusin natomiast chłop, ciemny i prosty, gdzieś z głębi Galicji Wschodniej, nie ma prawie wcale pojęć państwowych i jakichś perspektyw politycznych na większą skalę dziejową. Żywsze są u niego instynkty społeczne i gospodarcze, niż idee polityczne czy nawet społeczne i narodowe wyższego rzędu. W Galicji był ciemny, ubogi, miał nędzę. Sam był temu w dużym stopniu winny, ale warunki społeczeństwa i kultury musiały mieć w tym swój udział winy. Na tym tle Rosja już od dawna sypiąc rublami, szerzyła w masach rusko-ukraińskich swoją propagandę, podjudzając nienawiść do Polaków i Austrii, przeciwstawiając nędzy Rusinów w Galicji złote góry obietnic pod swoim panowaniem. Rosja pilnie wytwarzała i podsycala w tym ludzie legendę o sobie jako o państwie opieki i troski dla ludu, o ziemi obiecanej, w której się spełnić mają stanowe i klasowe apetyty i zawiści chłopa. A gdy wkraczała do Galicji, była dla tego ludu pełna słodyczy i łask jak matka współczująca, choć wewnątrz obłudna. Ciemnego i ślepego, naiwnego chłopa łatwo było zdemoralizować tą drogą.

20 listopada, rok 1915, sobota

Otrzymałem dziś depeszę od Sokolnickiego tej treści: „Wszelkie starania poczynione”. Oczywiście dotyczy to sprawy przeniesienia mego z Rzeszowa do Krakowa, o co go w listach moich prosiłem. Jakie kroki poczynił Sokolnicki – tego nie wiem, ale to się wkrótce zapewne pokaże. Tymczasem od tego czasu, gdy pisałem do Sokolnickiego, sytuacja o tyle się zmieniła, że teraz już nie pragnę tak gwałtownie wyrwania się z Rzeszowa i nawet owszem chętnie bym tu w tym szpitalu posiedział jeszcze ze 2-3 tygodnie, a dopiero później, już jako rekonwalescent, pojechał do Krakowa, aby

stamtąd wyrobić sobie urlop do Wilna. Zdaje mi się nawet, że już dostrzegam pewne, aczkolwiek jeszcze bardzo drobne, oznaki polepszenia zdrowia; w każdym razie, teraz wolałbym jeszcze na razie tu pozostać. Ale nie ma co robić – będę czekać owoców starań pocziwego Sokolnickiego. Napisałem tylko zaraz do Sokolnickiego, że teraz jest mi już tutaj dobrze i że już mi nie zależy na jak najprędszym przeniesieniu do Krakowa; że więc, o ile by zachodziły jakieś trudności lub przeszkody formalne w sprawie tego przeniesienia, niech tego zbyt nie forsuje; że zaś natomiast chodzi mi nade wszystko o możliwość uzyskania urlopu na czas rekonwalescencji dla pojechania do Wilna i że w tym zwłaszcza kierunku proszę go o wskazówki i pomoc. Podziękowałem mu też serdecznie za łaskawe zajęcie się mną. List ten wyślę jutro ekspresem, będzie, jak Bóg da. Do pokoików moich w szpitalu przybyło jeszcze dwóch chorych, czyli „marodów”, jak tu w szpitalach austriackich chorych nazywają. Jeden z nich – to jakiś sierżant („Zugsführer”) austriackiego wojska, Polak, chory na płuca (bronchit) i uskarżający się na oczy i nogi; wydaje mi się wszakże podejrzanym chorym, raczej ukrywającym się i symulującym choroby, by się objąć na tyłach; drugi to jakiś bardzo ciężko chory, niewiadomej narodowości; ten leży bezwładny i bez przytomności, nic nie mówi, nic nie je, na nic nie reaguje czynnie, pod siebie robi, jeno jęczy jednym ciągiem, systematycznie jak maszyna; położono go w pierwszym pokoiku, tam, gdzie ja na razie leżałem, dopóki tu był wariat; będzie przez całą noc czuwać sanitariusz i lampa się ma palić; jutro mają go stąd zabrać i gdzie indziej zalokować. Nie mam więc już tej wygody, tej ciszy i spokoju, jakie tu miałem w pierwszym tygodniu, gdym był sam. Dokończę jeszcze o Rusinach, com wczoraj pisał. Chłop ruski w Galicji był uwiedziony przez Rosję, został przez nią zdemoralizowany w swoich aspiracjach i nadziejach. Rosja potrafiła po mistrzowsku prowadzić tu swoje tradycyjne dzieło korupcji, które ongi stosowała w Rzeczypospolitej, siejąc zamęt, nadzieje zwodnicze i sprowadzając gangrenę, by łup sobie tym pewniej zagarnąć. Jedne państwa rosną i rozszerzają swe granice ideą narodową, inne podbojami lub żelaznym mechanizmem ścisłej aneksji, inne swobodami, bo są i takie, jeszcze inne – korupcją i perwersją polityczną. Rosja moskiewska, jak typowy Azjata, zaprawiony duchem bizantyjskim – zna podbój, korupcję i następnie gwałt bezwzględного ucisku, wyjaławiający gwałt despotyzmu. Skorumpować Rusinów dało się jej tym łatwiej, że miała ona dla tego ślepego ludu pozory pokrewieństwa plemiennego i religijnego, albowiem dla chłopca ciemnego religia streszcza się bardziej w obrządku, niż w artykułach wiary, a obrządek unicki ma z prawosławiem omalże nie tożsamość. Wyzyskała Rosja umiejętnie wszystkie atuty i, o ile chodzi o ciemną masę rusko-ukraińskiego ludu, zdołała go uwieść. Ale moskalofilstwo to nie było, jak u Czechów, wyrazem myśli politycznej Rusinów galicyjskich; przeciwnie – grasowało ono właśnie tam, gdzie myśl ta była najbardziej uśpiona, gdzie masa była ciemna i ślepa. Na to słusznie wskazują narodowcy ukraińscy w Galicji, cała inteligencja narodowa, która poza odłamem moskalofilskim starorusinów, nielicznym i całkowicie odseparowanym od rusko-ukraińskiego ruchu narodowego, pozostała nieprzejeżdżalna względem Rosji, bardziej jej wroga, niż jakikolwiek inny naród słowiański. Słusznie powiada inteligencja ukraińska, że objawy moskalofilstwa tego ludu tylko w ciemnocie jego źródło miały i że oświecić ten lud, podjąć go kulturalnie, dać mu warunki samodzielnego kształcenia swej myśli zbiorowej – to jest środek nieomylny na całkowite ubicie w nim moskalofilstwa na przyszłość, albowiem nie z jego myśli samodzielnej, jeno z uwiedzenia się ono zrodziło. I co było w ludzie rusko-ukraińskim światłego, uspołecznionego, kulturalnie rozwiniętego, to poza jednostkami, które się znów względami perspektyw osobistych czasem skorumpować dały (karierowicze i łotry są wszędzie!), pozostało niewzruszenie wrogie i obce Moskałom. Rusini w Galicji utworzyli nawet swój legion dla walki z Moskałami.

Legion ten miał swoje chlubne czyny, aczkolwiek większego rozwoju, jak legiony polskie, nie osiągnął. Zresztą nie miał on tej idei państwowej, co polskie legiony, ani oczywiście tej siły, płynącej z tradycji walk wielkiego historycznego Narodu.

21 listopada, rok 1915, niedziela

Zabrano dziś od nas tego ciężko chorego, bez władzy i przytomności, którego wczoraj u nas zalokowano i który przez całą noc jednym ciągiem jęczał, a natomiast dano dwóch nowych „marodów”: jednego Madjara (zdaje się, że Słowaka węgierskiego) i jednego starego Polaka. Obecnie więc jest nas już pięciu w moich dwóch pokojach; dzisiejsi leżą w pierwszym pokoju, my trzej w drugim. Sprawdziło się moje wrażenie o tym „Zugsführerze” Polaku, którego wczoraj tu zakwaterowano – że jest to typ marudera w literalnym ścisłym znaczeniu słowa; można to od razu poznać z jego gawęd; a gadatliwy jest i głupi, jedno i drugie – bez kresu; narzeka na wszystko, przesadza siły i sukcesy rosyjskie, widzi wszystko dla Austrii w złych barwach, niechętny jest wojnie, nie dla jakichś względów przekonaniowych, jeno dla jej ciężarów, wróży masowe oddawanie się zimą żołnierzy do niewoli, w ogóle jest nieżyczliwy sprawie, której służy, i szkodliwy, bo taki (zwłaszcza „Zugsführer” u Austriaków!) szerzy dokoła siebie zniechęcenie i demoralizację żołnierzy. Sam, czując się chory (ma bronchit), wyruszył z linii na tyły, a po drodze zwał samowolnie i na własną rękę pojechał w okolice Rzeszowa do żony do wioski rodzinnej, gdzie przesiedział dwa tygodnie i dopiero tu się zgłosił do szpitala; za to ma stawać przed sądem wojennym. Drugi, ten dzisiejszy Polak, to także typ marudera, wyłamującego się z karność wojskowej; był już tu w szpitalu, ale w jakiś sposób zdołał się wymknąć, przebrał się w odzienie cywilne i zalokował się jako prywatny chory w cywilnym szpitalu miejskim. Żandarmeria go jednak wytropiła i ściągnięto go tu nazad. Ma też za to odpowiadać przed sądem wojennym. Ten jest milczący, ponury i zbiedzony, ale minę ma łajdacką i przebiegłą jak opryszek, choć udaje wielką pokorę niewiniątka.

Dziś znowu będę pisał o moich kolegach-legionistach z plutonu. Na Bieniaku wyczerpuje się lista tych, co należeli za moich czasów do I sekcji. Przez krótki czas należeli jeszcze do I sekcji trzej zbiegowie z szóstaków: Szejder, Krawczyk i Moskwa, ale o nich pisać nie będę, bo krótko byli i znam ich mało, a zresztą trzymali się osobno, nie żyli się z plutonem i nie przedstawiali nic ciekawego, o ile przynajmniej z pozorów sądzić można. Przechodzę więc do sekcji II, do której ja sam też należałem, i zaczynam od kaprała sekcyjnego Guca. Właściwie podział na sekcje w plutonie nie ma większego znaczenia; jednostką całą jest zawsze pluton. Sekcje mają znaczenie tylko dla podziału wykonania funkcji służbowych; zwykle sekcjami się idzie na placówki, sekcjami się rozdziela na kwatery, sekcjami się w zabezpieczonych marszach wystawia szpice i zabezpieczenia boczne, sekcjami się patrole wysyła; ale tylko mniej więcej, bo nie zawsze siła potrzebna do placówki czy innej służby odpowiada liczebności sekcji; podział na sekcje jest tylko pewnym udogodnieniem wewnętrznym w rozkładzie czynności, ale nie tworzy jednostek samodzielnych. Sekcja podlega bezpośrednio swemu kapralowi. Nasz kapral Michał Guc, rodem z Galicji Zachodniej, człowiek młody, lat dwudziestu paru, z zawodu był nauczycielem, bodaj ludowym. Należy więc do inteligencji, ma średni poziom wykształcenia ogólnego. Przed wstąpieniem do Legionów służył od początku wojny w wojsku austriackim. Do Legionów przyłączył się, jak wielu innych z austriackiego wojska, z własnej inicjatywy: ot, gdzieś się zgubił, odłączył od swojego „regimentu” austriackiego, zgłosił się do Legionów, wdział maciejówkę z orzełkiem i już został. W Legionach jest od grudnia r. 1914. Z brzmienia nazwiska i z temperamentu Guca można wnosić, że jest pochodzenia niemieckiego. Jest zawsze zrównoważony, grzeczny, rozważny. Staranny jest koło siebie, umiarkowany

we wszystkim, zachowujący zawsze zimną krew. Nie widziałem, żeby się kiedy uniósł, dał porwać fantazji czy żywшему uczuciu, choć gniewać się umie. Nie lubi rzeczy sprośnych, w ogóle zachowuje czystość w mowie, klnie rzadko, choć kłąć umie, chlubi się tym, że zachowuje niewinność płciową. Jest dobrze wychowany, nie ma w sobie nic kanciastego, aczkolwiek pod ogładą towarzyską i panowaniem nad sobą znać charakter określony, stateczny, nie pozbawiony woli, z gruntu zimny i nieco samolubny. Wybitnych ideowych aspiracji nie ma, aczkolwiek zna je i rozumie. Jest trochę tchórzem, nie w znaczeniu bynajmniej ulegania panice i nieobliczalnemu strachowi, ale przez niechęć do wszystkiego, co trąci ryzykiem i przez unikanie wszystkiego, co może narażać na niebezpieczeństwo. Zawsze jest rzecznikiem ostrożności i wycofania się w porę. W ataku pod Jabłonką 21 X Guc został ranny w nogę.

22 listopada, rok 1915, poniedziałek

Przeczytałem dziś w pismach, że w Moskwie powstaje nowy dziennik polski pod nazwą „Gazeta Polska”⁸ pod redakcją Hłaski⁹ i Sadzewicza¹⁰; jako wydawca ma podpisywać pismo Brzostowski¹¹. Dowiaduję się więc stąd, że Hłasko, bo oczywiście to nie inny, jak Józef, jeden ze sztabowców endecji, redaktor: „Kuriera Litewskiego”¹² i „namiestnik” Narodowej Demokracji na Litwę, opuścił Wilno przed wkroczeniem doń Niemców. Że Wilno jest od niego wolne, to mnie tylko cieszy. Byłem przekonany, że Hłasko zostanie w Wilnie i będzie dalej pod okupacją niemiecką redagować „Kurier Litewski”. Jego wpływ byłby w Wilnie szkodliwy, bo potrafiłby on tysięcznymi sposobami utrzymywać moskalofilstwo, szkodząc temu fermentowi niepodległościowemu, który tam musi kiełkować. A pewne szczegóły okupacji niemieckiej mogłyby mu ułatwić propagandę moskalofilską. Że więc wyjechał – niech mu tam droga na wschód otworem stoi. Oczywiście Narodowa Demokracja tak ściśle związała swoje stanowisko ze sprawą Rosji, doszła w rzecznictwie moskalofilstwa jako zbawienia Polski w związku z Rosją do takiego absolutu, do takiego pewnika politycznego dla narodu na dobę obecną, że wyciągnęła stąd konsekwencje obowiązku emigracji z kraju przed inwazją austro-niemieckich wojsk. Nic bowiem osobiście nie zmuszało Hłaski do ucieczki; o ile w ostatnich czasach, już po moim wyjeździe z Wilna, nie zaszło nic osobliwego, to Hłasko nie był przecie osobiście zagrożony; że

⁸ Tygodnik „Gazeta Polska” pod redakcją Józefa Hłaski powstał po likwidacji „Kuriera Litewskiego”. Natomiast istniała również „Gazeta Polska” – pismo, wychodzące w Moskwie w okresie IX 1883 – VI 1918, założone i redagowane przez Klemensa Kołakowskiego, na dobrym poziomie informacyjnym, wiązało kolonię bukowskią z niepodległą Małopolską, z której napływało do redakcji stosunkowo dużo wiadomości.

⁹ Józef Hłasko (1856-1934), członek socjalistycznych kółek na uniwersytetach w Petersburgu, Moskwie i Kijowie, zesłaniec w l. 1881-1887, po powrocie współpracownik „Głosu” w Warszawie, publicysta, działacz Ligi Polskiej i Ligi Narodowej, redaktor szeregu pism narodowo-demokratycznych.

¹⁰ Antoni Sadzewicz (1876-1944), publicysta, dziennikarz. Członek powstałego w listopadzie 1914 r. prorosyjskiego Komitetu Narodowego Polskiego, członek Ligi Narodowej, redaktor „Gazety Porannej 2 Grosze” w l. 1912-1915, „Pobudki” w Mińsku i Bobrujsku (1915), działacz Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego. Posel do Sejmu RP (1922-1927), redaktor i współpracownik „Gazety Warszawskiej” (1925-1927), „Gazety Porannej” (1928-1929). Później współpracownik „Kuriera Czerwonego”, „Dzień Dobry”, „Expressu Porannego”.

¹¹ Brzostowski – brak bliższych danych.

¹² „Kurier Litewski” – dziennik założony we IX 1905 r. przez przywódcę ziemiaństwa konserwatywnego na Litwie Hipolita Korwin-Milewskiego, jego redakcję powierzył krytykowi i dziennikarzowi Czesławowi Jankowskiemu. Wyrażał poglądy konserwatystów litewskich zbliżonych do programu Stronnictwa Polityki Realnej, polemizował z Narodową Demokracją. W 1908 r. redaktorem został Wojciech Baranowski, a kierownikiem literackim Eliza Orzeszkowa. W X 1910 r. zawieszony; przybrał wtedy nazwę „Kurier Wileński”, powrócił do pierwotnego tytułu w 1912 r. W 1915 r. po jego likwidacji powstała „Gazeta Polska”.

prowadził propagandę moskalofilską, za to nie mógł odpowiadać, bo był przecie poddanym rosyjskim. Ale oczywiście Narodowa Demokracja uznała emigrację za rzecz wskazaną, za akt polityczny. Uciekli najpierw przywódcy moskalofilstwa ze Lwowa, sztab tamecznej endecji z redakcji „Słowa Polskiego”¹³. Ta ucieczka była musowa, bo Lwów jest miastem austriackim i oni poddanymi austriackimi, toteż ze stanowiska państwowego odpowiadaliby oni za zdradę Austrii w czasie wojny na rzecz wroga; groziłaby im elementarnie kara śmierci. Potem uciekli przywódcy Narodowej Demokracji z Warszawy; że uciekł „dyktator” Dmowski, to się mogło tłumaczyć ewentualnie koniecznością, bo był tak zniechęcony przez cały obóz niepodległościowy, że mógł być narażony na krwawą zemstę we własnym społeczeństwie; ale uciekł nie tylko on; uciekło wszystko, co w Narodowej Demokracji było wybitnego. Teraz dowiaduję się, że i z Wilna miał miejsce exodus partii. Oczywiście endecja chce być konsekwentna i sprawę swoją z Rosją do ostatka wiąże. Ze stanowiska programu politycznego i nawet ze stanowiska moralnego jest to objawem dodatnim, bo wskazuje, że moskalofilstwo endecji nie było przejściowym nastrojem lub fantazją, jeno ścisłą i konsekwentną koncepcją polityczno-narodową, z którą endecja zdecydowana jest umrzeć lub zwyciężyć. Bodajby umarła, choć niestety, sądzę, że, jak kameleon, znajdzie ona we wszelkich warunkach możliwość odzicia pod jakąś maską. Swoją drogą, niezwykłym jest w dziejach naszego narodu fakt emigracji politycznej na wschód – do Rosji, do Moskwy. Masy zbiegów z Polski uciekały w głąb Rosji przed samą wojną, przed jej klęską, ale wraz z nimi płynęła na wschód emigracja polityczna, z ideowych względów wyciągająca wnioski ucieczki. Od czasów emigracji miłośników „złotej wolności” szlacheckiej, późniejszych targowiczów, którzy u stóp tronu północnej Imperatorowej szukali pociechy i ratunku od nieszczęsnych rewolucyjnych reform Wielkiego Sejmu – Polska nie znała zgody takiej emigracji. Wskrzesiła jej tradycje Narodowa Demokracja w r. 1915! I jak Targowica wróciła z armią Imperatorowej do upokorzonej Polski, tak endecja spodziewa się wrócić do ojczyzny mocą bagnetów rosyjskiej armii, po wypędzeniu Niemców i Austriaków. Zdawałoby się, że podobieństwo emigracji targowickiej a współczesnej endeckiej kończy się tylko na pozorach zewnętrznych i że w istocie różnica jest kardynalna, bo gdy Targowica kierowała się polityką samolubną garści magnatów, obecna polityka endecji opiera się na koncepcji historiozoficznej i zawiera w sobie pierwiastki ideowe. Ale wszak i do Targowicy należeli ideowcy, jak niewątpliwie ideowcem jest Hłasko wileński, a nie da się zaprzeczyć, że w obecnej polityce narodowo-demokratycznej dużo jest elementu partyjnego, dużo względów walki o władzę, poza czystymi względami dobra narodu. A czyż już sam w sobie fakt emigracji polskiej politycznej do Rosji nie jest wymowny jako zaprzeczenie całej tradycji dziejów wolności polskiej, jako *curiosum* i *monstrum* dziejowe? Czy nie tkwi w nim rzecz dziwaczna w samym założeniu swoim? Jeżeli nie jest on zbrodnią, to czy nie zboczeniem szalonym, objawem zaniku ciągłości historycznej u endecji wyrazem głębokiej choroby dziejowej, zaszczepionej w narodzie. Wychodził dotąd jeno organ polski w Rosji dla tysięcznych może rzesz zbiegów. Być może, że było takich organów kilka. Ale „Gazeta Polska” Hłaski i Sądzevicza w Moskwie będzie sztabowym organem politycznej emigracji narodowo-demokratycznej. Co za para – Józef Hłasko i przywódca wulgarnej demagogii antysemitycznej, redaktor „Gazety Porannej 2 grosze” Sądzevicz. Brzostowski – to zapewne nasz wileński.

¹³ „Słowo Polskie” (1896-1915, 1918), pierwszy wysokonakładowy dziennik postępowy, zakupiony przez Narodową Demokrację w 1902 r., a redakcję wówczas objął Zygmunt Wasilewski. Z dziennikiem współpracowali m.in. Kornel Makuszyński, Stanisław Niewiadomski, Władysław Kozicki – kultura, Jan Ludwik Popławski, Józef Hłasko – polityka. Zawieszony w 1915 r. po wkroczeniu władz austriackich do Lwowa, wznowiony dopiero w 1918 r.

23 listopada, rok 1915, wtorek

Nasze dwa pokoiki w szpitalu, w których leżę, są zapełnione całkowicie. Przez tydzień leżałem w nich sam jeden, a gdy zaczęto potem pakować do nich chorych, to w kilka dni zapełniono do końca. Wczoraj dano nam tu jeszcze jednego chorego żołnierza, człowieka starszego, cichego, Słowaka. Wszystkie więc łóżka w obu pokojach są zajęte. Zresztą towarzysze ci nie krępują mnie zbyt. W tym wydziale Landwehrszpitalu nie widuję wcale jeńców rosyjskich. Dotąd we wszystkich szpitalach, w których byłem w (Rzeszowie i Włodzimierzu Wołyńskim), pełno było używanych do usługi jeńców, a we Włodzimierzu Wołyńskim, na punkcie sanitarnym stacji kolejowej w Kowlu, na takimże punkcie stacji Maniewiczze, było też sporo jeńców Moskali wśród chorych. Zapewne dalej od linii, w „hinterlandzie”, rannych i chorych jeńców leczą w osobnych szpitalach. Jeńców Moskali jest taka moc, że się ich wszędzie na każdym kroku widzi. Jak rzeka wezbrana występuje z łożyska i rozlewa się szeroko, tak jeńców tych niepodobna już zmieścić w jakichś specjalnych obozach koncentracyjnych i wszędzie się ich, jak wodę w powodzi, spotyka dokoła. Zresztą ich praca jest użyteczna dla państwa, toteż się ją stosuje na wielką skalę i używa obficie. Są oni za furmanów w taborach, dowożących wszelki materiał do linii, są przy budowie i naprawie dróg oraz toru kolejowego, są za robotników przy stacjach kolejowych, przy szpitalach, wielkie są ich partie po miastach na Wołyniu i Królestwie Polskim, używanych, przynajmniej dopóki zimy nie było, do robót polowych i ziemnych, do budowlanych także. W tej wojnie nigdzie, zdaje się, nie są ściśle przestrzegane przepisy konferencji haskich, w szczególności zabraniające używania pracy jeńców do robót, związanych z wojną przeciwko ich ojczyźnie. Jeńcy Moskale są na każdym kroku do takich robót używani, choć oczywiście nie do bezpośredniej akcji bojowej. Nie szemrzają zresztą z tego powodu, owszem – zdają się woleć taki czynny tryb życia od siedzenia w jakichś obozach koncentracyjnych. Austriacy na ogół obchodzą się z nimi nieźle. Sami jeńcy to przyznają, utyskując natomiast na Madjarów, o ile pod ich ręką byli. Skarżą się natomiast na zbyt skąpe porcje chleba w niewoli; dostają chleba tyleż, co żołnierze austriaccy, ale dla chłopca rosyjskiego pięcio- a może i dziesięciokrotna porcja chleba nie byłaby za wielka. Dużo się stykałem z jeńcami rosyjskimi, szczególnie po odejściu z linii aż do przybycia tutaj. Byli wśród nich zdrowi, pracujący, byli chorzy i ranni, byli starcy i młodziki, którzy dopiero co z rekruta do pułku wcieleni zostali i na linię wysłani, a już po 2-3 dniach pobytu w linii do niewoli się dostali (dla tych się wojna rychło skończyła!), byli chłopcy z przeróżnych guberni Carstwa i rozmaitych plemion – Moskale rodowici, Ukraińcy, Tatarzy, Ormianie, Sybiracy (nie spotkałem nigdy Litwina, chciałem ich spotkać i pomówić pragnął i szukał). Miałem pewną sympatię dla tych jeńców, lubiłem z nimi pomówić. Żołnierz rosyjski – to najczęściej chłop rosyjski, czasem się trafi robotnik, inteligentniejszy, żywszy. Co to za inny typ ludzi, niż żołnierze europejscy – europejscy chłopcy, także z ludu pochodzący. W chłopie rosyjskim jest dziecko; są to natury przeważnie pierwotne, bezpośrednie; mają w sobie dużo naiwności i prostoty, dużo dobroci surowej; prawie wszyscy są usposobieni pokojowo, prawie bez wyjątku nie zdają sobie zupełnie sprawy z zagadnień i celów tej wojny, nie kładą żadnych osobistych aspiracji i namiętności, narodowej czy innej natury, w tę wojnę. Mówi się z nimi jak z dziećmi; są posłuszni, serdeczni i wdzięczni za dobre słowo, chętni do zwierzania swoich trosk i żalów. Jest w tym ludzie dużo materiału dobrego i dziewiczego, który wszakże musi być dopiero wykulturowany i który tylko przez systematyczne szczepienie kultury europejskiej zachodniej, kultury czynu i woli, może się stać wydajnym i społecznie użytecznym. Bez tej kultury czynu i woli pozostanie Moskal tym, czym jest – barbarzyńcą; dobrym, jak każda natura

pierwotna, jak dobrym jest wilk w łonie swojej rodziny, jak dobrym jest każdy dziki – ale barbarzyńcą, to znaczy takim, który potrafi niszczyć i pustoszyć, nie zaś organizować i tworzyć wielkie życie, szkodnikiem ludzkości. Ogromna większość jeńców Moskali lubi rozprawiać na temat sprawiedliwości, prawdy kosmicznej (w pojęciu absolutu), w ogóle na tematy oderwane, mające związek z religią, metafizyką, kwestią dobra i zła. Ale cóż z tego, kiedy od tych myśli do praktyki nie ma u tego ludu w pojęciu zbiorowym – narodowym czy państwowym, żadnych dróg wykonania, choć w myślach swoich dochodzą do wniosków i twierdzeń bardzo kategorycznych, bardzo szlachetnych, często ogromnie radykalnych. Brak im do tego właśnie łącznika – woli. Kultura woli i co za tym idzie – czynu jest dla nich konieczna i konieczna jest dyscyplina woli zbiorowej, dyscyplina społeczna. Każdy Moskal przy radykalizmie i głębi myśli jest abnegatem czynu i woli. Przeciętny Europejczyk nie wdaje się w takie zagadnienia kosmiczne, co Moskal. Sfera jego ducha jest może nawet uboższa, jego łożysko myśli węższe, ściślej, ale za to ileż wyrazistsze, wydajniejsze, bo zrównoważone wolą, która przetwarza uczucia i myśli w energię czynu. A czyż to wielki zysk i zasługa, że lada kiep w filozofię i metafizykę się bawić będzie, w to się w Europie nie bawią, ale ją tworzą wielkie duchy.

24 listopada, rok 1915, środa

Dziś wracam do mojej galerii kolegów-legionistów. Z kolei wypada mi mówić o obywatelu Józefie Partyce. Partyka był zastępcą sekcyjnego w naszej II sekcji. Na początku mego pobytu w linii, gdy nasz oficer plutonowy Stawiński był na urlopie i obowiązki jego spełniał Kosa (aż do Kostiuchnowki), nasz kapral Guc zastępował podoficera zafrontowego; wówczas Partyka królował w naszej sekcji jako jej kapral. Powiadam żartobliwie „królował”, albowiem Partyka rzeczywiście przejmował się, zwłaszcza wobec Lubliniaków, wielkością swego stanowiska i bardziej od prawdziwego kaprała (przynajmniej jak jest u nas – w Legionach) przybierał ton i maniery arbitralnego władcy, poza tym zaś umiał korzystać ze swego „wpływu” i „władzy” na zapewnienie sobie rozmaitych świadczeń od podwładnych Lubliniaków; aby go sobie zjednać, aby wrogość złagodzić, oddawali mu niektórzy Lubliniaci to swój fasunek papierosów, o ile ktoś nie palił, to cząstkę swej porcyjki wyfasowanego cukru, to coś innego. Partyka przyjmował to wspaniałomyślnie, czując niewątpliwie, że mu to z „władzy” jego przychodzi i był chwilowo dla takiego miększy, względniejszy. Biedni Lubliniaci, jako uważani za „rekrutów”, byli w ogóle, zwłaszcza na początku, w czarnym ciele trzymani jako coś pośledniejszego i nie śmieli wobec starszego żołnierza, a szczególnie „kaprała” Partyki, sami się bronić i odcinać językiem lub takimże niedbałym traktowaniem go, jak on ich traktował; za pewniejszą drogę uważali obronę świadczeniami. Muszę jednak zrehabilitować natychmiast Partykę i stwierdzić, że korzystał ze swej władzy i dawał się w powyższy sposób „zjednywać” tylko w stosunku do swego tonu i osobistego traktowania „podwładnych”, nigdy zaś nie był niesprawiedliwy w rozdziale służby, żeby jednego choć o jotę ciężiej obarczał, niż innego, bez względu na to, czy to stary żołnierz, czy „rekrut” lubelski, czy ten składał „świadczenia” lub nie. Tego zresztą w Legionach nie było, o ile moje obserwacje sięgały, nigdy; zasada równego podziału służby między żołnierzami była bezwzględna i święcie przestrzegana. Partyka należy do kategorii Borysławiaków w naszym plutonie, bo razem z nimi się zaciągnął i razem do linii poszedł, choć pochodzi, o ile wiem, ze Lwowa i tam ma rodzinę; może miał jakąś robotę w Borysławiu i tam mieszkał – tego nie wiem. Jest to chłopiec lat 24-25. Ma brata w Legionach, który w tym czasie, co ja byłem, był zadaje się chory czy ranny. Partyka – to postać fizycznie i duchowo ordynarna, prostacka. Zakres jego myśli, uczuć, pojęć jest bardzo nieskomplikowany i

nie sięgający wysoko; nie wybiega dalej poza własny swój pożytek, o którym pamięta zawsze i którym się powoduje zawsze w praktyce; daleki jest od wszelkiego idealizmu, od platonicznych uniesień, jeszcze dalszy od ekstazy jakiegokolwiek; aspiracje jego są także poziome i wulgarne. W obcowaniu jest też taki sam; bywa szorstki, umie złać, nie ma żadnego wyrobienia towarzyskiego; gdy czegoś potrzebuje, to zawsze poprosi, nie krępując się tym wcale, czy to dogadza, czy nie dogadza proszonemu, nie wyczuwając nawet granic nadużywania czyjejś uczynności; gdy mu zaś już nic nie potrzeba, to nie pamięta o doświadczonej usłudze, a sam dla innych zgoła uczynny nie jest. W plutonie na ogół nie jest lubiany, choć sam on, zdaje się, tego zgoła nie czuje; szczególnie zaś jest znienawidzony przez Lubliniaków, którzy mu pamiętają lekceważące maltretowanie ich. Pomimo to, nie jest to człowiek zły szczególnie; jest po prostu ordynarny, bez kultury ducha, natura egoistyczna, wystarczająca sama sobie w życiu, zadowolona ze siebie, wolna od wątpliwości wszelkich, od analizy siebie samego, prostacza i gruboskórna. Kim jest Partyka w życiu cywilnym – nie wiem; pewne ramy oświaty posiada, czyta gazety, czyta książki; sądząc z jego typu „kulturalnego”, mógłbym przypuszczać, że należy do zawodu kelnerów lub jakiegoś podobnego; z rozmów wszakże jego prywatnych z jego przyjacielem Garbieniem, które słyszałem nieraz, a które dotyczyły często ich rodzin, ich stosunków prywatnych itd., wnioskuję, że był na trochę wyższym szczeblu drabiny społecznej, ale z pewnością niewysokim. Partyka jest jaskrawym przykładem tego, o ile legioniści, którzy wstąpili do szeregów już po uformowaniu Legionów, gdy fala zapалу ogarnęła całą Galicję i pchnęła do szranków walki całą masę młodzieży, byli przeciętnie materiałem ludzkim marniejszym, niż pierwsze zastępy wolnych strzelców Piłsudskiego, co to jeszcze przed powstaniem Legionów w pole wyszli. U tamtych był przeważający pierwiastek idealistyczny, była głęboka świadomość ofiary, zmysł tradycji, istoty i celów bohaterskiego czynu. W Partyce tego się nie znajdzie. Od idealizmu jest on z natury bardzo daleki. Nie ma w nim nic nad poziom przeciętnego tłumu. Jest on z przekonań, raczej instynktu, głębokim konserwatystą i nawet wstecznikiem, nieufnie traktującym wszelkie nowatorstwo, wszelki ruch idei i ludzkich dążeń do zmiany, do postępu, do reform. Nie ma w nim nic z reformatora, ani króla-ducha, a właśnie tą iskrą płonęli pierwsi strzelcy. Partyka – to raczej duch gaszący, duch zastoju. W karbach moralności i dyscypliny społecznej takiego Partykę trzyma religia; dla takich ludzi jak on religia jest wędzidłem, które robi zeń użytecznego członka społeczeństwa; oczywiście jego religia jest tak samo prostacza, niewybredna i mało uduchowiona, jak on sam, ale funkcję swoją w nim spełnia, a to grunt. Jego religia oparta na posłuszeństwie i spełnianiu przepisów nakazanych. Jest bardzo pobożny, nosi kilka medalików na maciejówce, co wielu legionistów też robi, wzywając w ten sposób opieki boskiej nad sobą, obrony od wrażeń kul. Trzeba jednak przyznać, że Partyka jest pod względem wojskowym wyrobiony i że pobyt w Legionach wyrobił w nim dyscyplinę honoru żołnierza polskiego, co jest przecie zaletą obywatelską.

25 listopada, rok 1915, czwartek

Od bardzo dawna śledzę z niepokojem przebieg walk pod Dyneburgiem, o których ciągle są wzmianki w komunikatach wojennych. Ale wzmianki są krótkie, nie dające mi ścisłych danych do orientowania się. Walki pod Dyneburgiem toczą się na lewym, południowym brzegu Dźwiny w szerokim promieniu gdzieś od Iłukszty aż po Jezioro Dryświackie. Toczą się one już od paru miesięcy; na razie zdawały się mieć charakter forsowania przez Niemców tego ważnego klucza Dźwiny i głębokiego hinterlandu rosyjskiego; jest to klucz silny z natury, oparty na wielkiej rzece i kraju jezior, a wyzyskany do obrony przez cały system fortyfikacyjny. Moskale bronili intensywnie

pozycji dyneburskich, jak ryskich, bronili forsowania tej linii, która stanowi główną linię osłony Petersburga. Wszakże intensywna była również akcja zaczepna Niemców; o ile sądzić było można z komunikatów, niesystematycznie zresztą przeze mnie czytanych w linii, pozycje dyneburskie już miały szczyrbę, już były to tu, to ówdzie – w przednich, ale nieraz ważnych swoich fragmentach – sforsowane. Z przeniesieniem wszakże głównego punktu ciężkości na Bałkany i stopniowym zamieraniu ofensywy na froncie rosyjskim, pod Dyneburgiem, jak na całym tym froncie, zaczęła się akcja stopniowo przeradzać i zbliżać do walki pozycyjnej. Ale i w tym stadium pozycje pod Dyneburgiem zostawały przez długi czas i są nawet, jak się zdaje, dotąd jednym z ognisk najintensywniejszych i najkrwawszych walk. Tutaj na tym odcinku, jak pod Rygą, jak nad Styrem na Polesiu Wołyńskim i jak w Galicji nad Strypą, ruch zapalny nie przerywał się wcale. Jest tam jedno z krwawych piekieł obecnego stadium wojny. Walki te interesowały mnie oczywiście nade wszystko ze względu na Bohdaniszki, które są stamtąd niezbyt daleko, i ze względu na Papę, oraz w ogóle – na moje strony rodzinne. Nie mogłem nigdy z miejscowości wyszczególnianych czasem w komunikatach niemieckich i rosyjskich określić ściślej linii toczących się na tych pozycjach walk. O ile wymieniane były Iłłuszkta lub Jezioro Dryświackie – wiedziałem, gdzie to jest, ale były to mniej więcej kresowe punkty tej ognistej linii. Ale innych miejscowości wymienionych, a leżących zapewne gdzieś między tymi punktami, nie mogłem znaleźć. Szczególnie często było wymieniane jakieś jezioro „Swenten” albo „Święte” i w komunikatach rosyjskich jakaś wieś z końcówką na „iszki”, której wszakże nie znam. Niepokoiło mnie to zawsze o Bohdaniszki, czy czasem linia nie przechodzi zbyt blisko od nich. Nie wspominałem o tym w dzienniku na linii, bom się w ogóle nie chciał zdradzać ze szczegółami co do osoby mojej, a potem w szpitalu też traktowałem dziennik głównie do notowania rzeczy ogólniejszych, nie ściśle osobistych, a przynajmniej nie takich, co to są moje, a nie są w tej chwili czynne. Ale myśl moja i serce wielokroć do Bohdaniszek, do Papy, do kraju mego, do mojej rodziny, rozproszonej przez wojnę, wybiegały, a nic konkretnego wysnuć sobie nie mogły. W ostatnich dniach w jednym z komunikatów rosyjskich czytałem, że w jakimś poszczególnym punkcie wojska rosyjskie zdołały dotrzeć do toru kolejowego na linii między Poniewieżem a Kałkunami; to znaczy, że walki na pozycjach dyneburskich toczyły się, a właściwie i toczą się na północ od tego toru, a ów punkt, bliżej w komunikacie rosyjskim nie określony, musiał być między stacjami Kałkuny a Jodłówka, albo najwyżej Jodłówka a Abele. W każdym razie, Bohdaniszki muszą być o jakieś najmniej 10-15, a prawdopodobnie o jakieś 30-40 wiorst w tyle niemieckiego frontu na pozycjach dyneburskich. Dzięki Bogu, że nie są na samej linii ognia, tym bardziej, że ich położenie topograficzne uzdatniało je do pozycji bojowej jako wielki wydatny cypel płaskowzgórza, dominujący nad rozległą okolicą i świetny jako punkt obserwacyjny. Ale bądź co bądź, nie jestem bynajmniej zupełnie spokojny o nie. Przede wszystkim, mogły być spalone przy cofaniu się Rosjan lub wstępowaniu Niemców. Rosjanie mogli to robić rozmyślnie, by zniszczyć sprzęty i zapasy rolnicze, by Niemcom ruiny jeno zostawić, Niemcy mogli spalić przez nieostrożność. Byłem na wojnie i wiem, jak to łatwo o to i jak kruche jest na wojnie istnienie każdej osady ludzkiej. Przy cofaniu się Rosjan mogły być pod Bohdaniszkami walki lokalne. Zniszczony mógł być nie tylko dwór, ale, kto wie, może i te nasze lasy bohdaniskie, które Papa przez życie swoje z taką miłością pielęgnował. Jedno tylko mogło ocalić Bohdaniszki – to ich położenie na skraju nad wielką doliną, mało zdatnych do wielkich ruchów wojsk i zwłaszcza artylerii bagien ciągnących się od Krewny do Pakień i het przez jezioro Sorty i Puszcę Dusiacką do górnych wyjść rzeki Świętej. Ale nie chodzi tylko o cofanie się Moskali lub jakieś walki pod Bohdaniszkami. Chodzi o to, że przez długi czas są one na bliskich

tyłach wielkiej linii krwawych walk. Wiem, co to znaczy; widziałem tego aż nadto na Polesiu Wołyńskim. Wiem, co za poniewierka jest tych wsi i wszelkich osad ludzkich w pobliżu takiej linii. Wszystko splądrowane, zniszczone – nic nie ocaleje. Jeżeli zwłaszcza nie dochodzi do linii kolej, jeżeli ciąg wojsk, taborów, amunicji odbywa się drogami kołowymi, to nieszczęsny jest ten kraj, ta ludność, które są na bliskich tyłach. To mnie tylko uspokaja, że Bohdaniszki są daleko od wielkich szlaków. Biedne kochane Bohdaniszki – co się z wami stało?

26 listopada, rok 1915, piątek

Jak los Bohdaniszek, tak niepokoi mnie też los Papy. Oczywiście, pewniejszy jestem życia Papy, niż ocalenia Bohdaniszek. Ale co się z Papą stało, gdzie jest, co czuje w tych ciężkich chwilach, jaki jest Papy stan fizyczny i moralny? Oto są kwestie, które mnie niepokoją bardzo. Kochał Papa Bohdaniszki, w których całe życie spędził, w które pracę swą i troskę kładł, a zwłaszcza kładł uczucie dla każdego kawałka tej ziemi, dla każdego drzewa w swoich ulubionych lasach, dla każdego rowu, który w polu wykopał. Ciężko starcowi widzieć ruinę swej umiłowanej pracy. Kto wie, czy ją Papa widział, ale sądzę, że wie o niej, jeżeli nie widział nawet. Papa był zdecydowany nie ruszać się z Bohdaniszek, nie uciekać nigdzie przed wojną i inwazją niemiecką. Nie był Papa w tej wojnie moskalofilem, jakkolwiek nie miał też żadnych sympatii dla Niemiec i ze względu na Niemcy stłumił w sobie austrofilstwo, które żywił zawsze, i niezbyt chętnie witał dzieło Legionów. Ale nie polityczne względy skłaniały Papę do decyzji nieruszania się z Bohdaniszek. Były to względy przywiązania do ziemi i swej własności oraz obywatelskie poczucie tego, że każdy powinien wytrwać na stanowisku swoim w kraju. Uważał Papa, że gorzej wyjdzie ten, kto ucieknie; że poniesie osobiście większe straty na majątku i że popełni zły czyn względem kraju i ludu uciekając, albowiem kto zostanie z ludzi świątłych i zamożnych, ten będzie dla ludu w najcięższych chwilach doradcą, będzie pośrednikiem między nim a nową władzą, będzie miał liczne funkcje czy obowiązki do spełnienia. Piękna to i prawdziwa zasada, ale, niestety, wiek Papy, zdrowie i usposobienie nie bardzo w czasach wojny uzdatniały Papę do podjęcia na swe samotne barki takiego ciężaru. Papa, choć jest na swój wiek dość silny do spełniania swoich zajęć codziennego trybu, nie ma przecie i nie może mieć zdrowia dla trudów i ciosów, jakie mogą spaść w czasie wojny; zwłaszcza zaś nie ma Papa niezbędnej równowagi nerwów. Papa jest samowolny, despotyczny nawet w swoich Bohdaniszkach, nie znosi, aby mu się ktoś wtrącał, nie umie wyobrazić sobie nawet, aby mógł być w praktyce nieuwzględniony w swoich prawach pana i gospodarza Bohdaniszek, poza tym, w ogóle nie umie, nie zdoła być giętki. Wojny Papa nie widział i nie ma o niej pojęcia; wyobrażał sobie Papa zawsze, że w razie wkroczenia Niemców będą się do Papy odwoływali jako do właściciela, a Papa będzie rozrządzał, chociaż oczywiście będzie miał wzgląd na pewne konieczności potrzeb wojennych. Tymczasem w praktyce tak nie jest zgoła, zwłaszcza gdy jest linia blisko. Tam się to nie właściciela nie pytają, jeno mu rozkazują, a czasem bez żadnych rozkazów robią, co chcą. A zanim Niemcy przyszli, już z pewnością Moskale, jeżeli tylko zdążyli, zastosowali do Bohdaniszek, bez względów dla właściciela, swój przymus wojenny, najdziki z dzikich, wobec którego błędnie wszystko, co Niemcy mogli zrobić. Papa jest nerwowy i wybuchowy, co jest niebezpieczne w okolicznościach wojennych. Jeżeli Papa zostawał sam, nieszczęście mogło go jakieś spotkać. Możliwe jest wszakże, że Komorowscy zdołali poprzednio Papę do wyjazdu nakłonić, choć Papa jest uparty i niełatwo się od swoich postanowień daje odwieść, lub że Moskale przemocą Papę w ostatniej chwili wywieźli. Jeżeli został, to może Marynia, o ile do Wilna dla dzieci i pilnowania mieszkania nie wyjechała, została przy nim; to byłoby jeszcze najlepsze. Gdzie jest mój

Papa, biedny staruszek, kochany dobry człowiek, i co czuje? Czy w Bohdaniszkach jest, w takich, jakie one teraz są, czy w Wilnie może, czy na bezdomnej tułaczce na wschodzie? Choć kraj mój jest już z tej strony kordonu, nie mogę mieć żadnych wieści z niego i sam żadnych wieści o sobie przesłać nie mogę, bo komunikacja pocztowa między Austrią czy terenem okupacji austriackiej a terenem okupacji niemieckiej nie istnieje. Komunikacja kolejowa jest i pojechać bym do Wilna mógł, gdybym urlop miał, ale skomunikować się stąd niepodobna. Żadnych związków z rodziną moją nie mam, a Bóg raczy wiedzieć, jak rodzina nasza jest teraz rozrzucona i rozpylona. Ja tutaj, chory legionista; Papa gdzie i gdzie Marynia z dziećmi swymi? Tych może odnajdę i odzyszczę, jeżeli do Wilna da mi się dostać. A gdzie są Komorowscy? Wątpię, aby w Kowaliszkach zostali; tułają się zapewne na wschodzie. Pruszanowscy tylko najstateczniej siedzą w swoim Bielczu za Berezyną, dalecy jeszcze od wojny. A Mieczkowscy? Wiązowiec nasz jest jeszcze z tamtej, rosyjskiej strony kordonu wojennego, choć już niezbyt daleko, i w Łowcewiczach mogą Mieczkowscy przebywać nadal, względnie znośnie. Ale mają zapewne utrapienie z masami zbiegów, których hordy ciągnęły tamtędy z miejscowości objętych wojną. W gazetach piszą, że dziesiątki tysięcy tych zbiegów koczują w półdzikim stanie w lasach w okolicach Mińska. Mógłby być i Wiązowiec tą plagą dotknięty. Kiedy to my się odnajdziemy w rodzinie i zbierzemy po wojnie!

27 listopada, rok 1915, sobota

Dziś w pokojach moich w szpitalu znowu zmiany. Wyprawiono wszystkich, prócz mnie, do innej kamery, a tu dano natomiast jakiegoś nowego ciężko chorego, 38-letniego żołnierza, Polaka, którego położono obok mnie. Jest bardzo ciężko chory na serce. Wciąż tylko ciężko drzemie, stękając, czasem coś mówi do siebie urzwanymi zdaniem, czasem jakby klnie, chwilami odzyskuje przytomność i może odpowiadać na pytania i sam mówi, ale ciężko; ma też gorączkę dość wielką. Je bardzo mało, prawie wyłącznie tylko pije, pragnąc zawsze czegoś gorącego. Po obiedzie koło godz. 3 obudził się i z pewnym niepokojem pytał mnie, czy nie mówił czegoś przez sen do siebie; naturalnie, że go uspokoiłem, że nie; potem chciał wstawać, dźwignął się z łóżka i usiadł, ale biedakowi się gatki zsunęły, a nie miał siły ani je podnieść, ani wstać; chciałem mu pomóc, ale w tej chwili ręce mu zaczęły drżeć, oczy stanęły w ślup, twarz się wykrzywiła i upadł na wznak na łóżko bez przytomności, dotknięty atakiem sercowym; leżał tak bez ruchu i znaku życia, z nogami zwieszonymi na zimną podłogę. Sanitariusza naszego nie było; wybiegłem na korytarz i zawałałem pierwszego, który się trafił. Sprowadzono też doktora. Doktor zastrzyknął mu kofeiny, później jeszcze morfinę, kazał go położyć tak, aby głowa i górna połowa ciała była podniesiona, zakazał mu surowo palenia papierosów, co biedak widocznie lubi, bo prosił mnie o papierosa poprzednio i wypalił, kazał mu kłaść okłady mokre na serce, zmieniane co dwie godziny, zapisał mu digitalis¹⁴. W nocy ma czuwać przy nim sanitariusz stale na zmianę i światło będzie się palić. Z tego względu, jak też ze względu na czystsze powietrze dla chorego, przenieśliśmy się z moim łóżkiem do pierwszego pokoiku pod okno, gdzie leżałem na samym początku, gdy tu przyszedłem. Ale ciągle tam jest od okna, więc nie wiem, czy na stałe pozostanę i czy nie przeniosę się nazad do drugiego pokoiku. Wracam dziś do mojej przerywanej ciągle galerii charakterystyk legionistów. Z kolei dziś powiem o obywatelu Marsie, jednym z najsympatyczniejszych i stanowczo najlepszym człowieku w całym komplecie naszego plutonu. Osobiście mam słabość największą dla Grzmota, ale muszę przyznać, że Mars pod względem zalet charakteru,

¹⁴ Poprawnie digitalis – środek nasercowy z liści naparstnicy.

cnót towarzyskich i społecznych, oczywiście, przy zachowaniu co do tych ostatnich proporcji sfery działania, bo Grzmot należy do wyższego środowiska inteligenckiego, niż Mars – muszę, powiadam, przyznać, że pod tymi względami Mars góruje nad Grzmotem. Zresztą trudno znaleźć kogoś, nad kim by nie górował. W człowieku tym dostrzec wady jest prawie niepodobieństwem. Diogenes, szukający ze świecą człowieka, znalazłby go w Marsie niewątpliwie. I nie boję się wcale o przesadę, gdy to mówię. Mars jest rodem z Borysławia, nazwisko jego jest Fijałkiewicz. Lat ma mniej więcej, sądząc na oko, 22. Jest dość wysoki, szczupły, twarz ma długą i dość ostrą, czarny zarost i ciemną cerę; w figurze ma tę wadę, że stan ma nieco za długi w stosunku do nóg. Zdrowia jest słabego, zagrożony jest poważnie suchotami; to mu jednak nie przeszkadzało od wstąpienia do Legionów i pójścia na linię (należy do grupy Borysławiaków) być stale w szeregu, nie mankierować nigdy, znosić wszystkie trudy i niewygody zawodu żołnierskiego na wojnie, przez całą kampanię zeszłoroczną jesienną i zimową, przez całą wiosenną i letnią, ofensywę w Królestwie Polskim i bezpośrednio do obecnej kampanii zimowej. Jest to złoty człowiek, wierny bez zastrzeżeń każdej sprawie, której się odda i której służyć będzie, wierny nie tylko z obowiązku, poczucia honoru i dyscypliny społecznej – wszystkie te zalety zresztą ma w wysokim stopniu – ale też z całego serca, z całych sił. Oby więcej miała Polska takich obywateli, jak Fijałkiewicz-Mars! Cóż stąd, kiedy tacy życie mają krótkie i siły swoje sterają w ofierze. Długa kampania wojenna wyczerpała Marsa. Razu pewnego w Gorodku, gdyśmy się cofnęli z Kostiuchnowki, Mars zdecydował się pójść na wizytę do doktora i ten go odesłał do szpitala jako zagrożonego poważnie suchotami. Ze mną był on zatem w szeregu coś koło miesiąca. Pamiętam, z jakim żalem odchodził Mars od plutonu, do którego się przywiązał; wstydził się nawet swojego odejścia jako czegoś, co mimo woli jest opuszczeniem sztandaru, choćby tylko fizycznym, nie zaś przecie ideowym. Z zawodu był Mars leśniczym; skończył średni specjalny zakład leśniczy w Galicji i właśnie miał już otrzymać posadę w jakichś wielkich dobrach, kiedy go wojna i Legiony zaskoczyły. Ma więc wykształcenie i należy do przeciętnie inteligentnej sfery. Charakteru jest równego, zawsze pogodnego, łagodnego i cierpliwego. Nie jest przez to jednak ciemną i safandulą; przeciwnie – ma dużo inicjatywy, w razie potrzeby – stanowczości i woli. Jest bardzo uczynny, bardzo dla innych wyrozumiały i dobry, choć potrafi skarcić, gdy trzeba; w przyjaźni jest pełny poświęcenia, ma dużo poczucia sprawiedliwości, ma sąd o ludziach i ich uczynkach trzeźwy i zarazem pełny dobroci. Dla nikogo nie ma złego słowa, nie potrafi być brutalny i niehumanitarny. Gdy wszyscy na początku pomiatali rekrutami lubelskimi, on nie pomiatał nimi nigdy, był dla nich koleżeński i ludzki. Piękny to humanitarny typ duchowy. Żołnierzem był Mars zawsze wzorowym; starannym, pilnym i umiętym. Obecnie jest zapewne w Zakopanem, w specjalnym szpitalu dla legionistów.

28 listopada, rok 1915, niedziela

W nocy na nowym miejscu spałem bardzo źle. Łóżko pod samym oknem, a od okna był ciąg na korytarz, znajdujący się akurat naprzeciwko. Nic nie pomogło otulanie się staranne kołdrą, naciąganie jej na głowę nawet. Ciąg potrafił sobie znaleźć drogi przez szparki jakieś, zresztą przez samą kołdrę. Zrobiłem się teraz niezmiernie wrażliwy na ciągi, skłonny do reumatycznych bólów. Nawiało mi tak w szyję, że z trudem mogłem głową poruszać, a w lewej ręce osiadł ból reumatyczny w kości, skupiający się głównie u osady dłoni, w stawach, z których się rozchodzą kostki wielkiego i wskazującego palców. Ten ból tak mi dokuczał, że mało spać mogłem, a leżeć na lewym boku nie mogłem zgoła. Toteż zaraz rano przenieśliem się z łóżkiem nazad do drugiego pokoiku, gdzie postanowiłem zostać, choćby mi towarzystwo mego sąsiada ciężko chorego było

z innych względów najniegodniejsze. Stan tego ciężko chorego pogorszył się dzisiaj. Gorączka zaczęła się zwiększać, dochodząc do 39,7° po obiedzie. Jak w nocy, tak w dzień chory w gorączce wciąż wśród nieustającego stękania coś mówił, coś szeptał, prowadził z osobami swej wyobraźni jakieś rozmowy, o coś pytał, na coś odpowiadał, czasem się śmiał lub niecierpliwił. Rzadkie miał chwile przytomności, gdy musiał się poprawić na łóżku lub zjeść albo na potrzebę swoją wyjść, a każda taka czynność męczyła go jak najcięższa praca. Zresztą nie chciał nic jeść, jeno płyny wszelkie, a zwłaszcza w stanie jak najgorętszym konsumować. Nie daj Boże być ciężko chorym w szpitalu wojennym. Napatrzyłem się temu. Ciężko chory jest tu męczennikiem, oddanym na łaskę żołnierzy-sanitariuszy, którzy najmniejszego pojęcia ani uzdolnienia do pielęgnowania chorego nie mają; zresztą nie bardzo się starają, nie bardzo dbają o to. Uwaga ich jest zaprzątnięta czystością i symetrią zewnętrzną, której od nich wymaga feldfebel; fedfebla się lękają jak ognia, bo ten ma nad nimi największą władzę i może nawet zdecydować o wysłaniu nieposłusznego sanitariusza w pole; toteż cała myśl ich jest skupiona na punkcie dogodzenia feldfeblowi i nienarażania mu się. A feldfebel Stańko, mały królik samowładny tego zakładu, faktycznie potężniejszy od wszystkich doktorów, jest to człowiek ograniczony i prostak, nie ma żadnego pojęcia o potrzebach chorych. Cała jego mądrość streszcza się w zarządzeniach gospodarczych i formalistycie zewnętrznego ładu, mianowicie w tym, żeby żadnej plamki na podłodze lub ścianie nie było, żeby pyłek jakiś nie zabłąkał się, żeby kołdry na łózkach były symetrycznie założone, żeby piec nie był „za gorący”, żeby światło gdzieś niepotrzebnie się nie paliło, żeby broń Boże jakaś walizka, jakiś np. plecak lub jakaś część ubrania chorego nie została w pokoju, bo to wszystko musi być złożone do magazynu (dla mnie tylko jest wyjątek łaski, że mam przywilej, iż odzienie moje zostało przy mnie) itd. Słowem, umysł feldfebla jest cały zajęty formalistyką tysięcy drobiazgów, a żeby sanitariusz był najstaranniejszy w drobiazgowym spełnianiu tych wszystkich rzeczy, to jednak co dzień feldfebel Stańko znajdzie mu coś do zarzucenia, a nigdy nie pochwali, nie zachęci dobrym słowem. Utrzymuje on swoich podwładnych w ciągłym strachu, bez chwili wytchnienia. Młodzi sanitariusze oszukują go, znają tysiące sztuczek, aby go podejść, starsi zaś, jak taki mój sanitariusz, Rusin, są zupełnie przezeń sterroryzowani i cały wysiłek swej ubogiej myśli kładą na wyuczenie się i wyćwiczenie w mechanizmie rutyny feldfebla Stańki. Troska zaś o chorego, zajęcie się nim staranne i serdeczne – to nie należy do tej mądrości dyscypliny sanitarnej. O, trzeba bardzo pamiętać, aby choremu ostrzec od razu na wstępie zarost dokoła organu płciowego, żeby mu zawsze ściśle przynieść to, co przez doktora jest w diecie dla niego przepisane, żeby mu podać naczynie do wypróżnienia się, jeżeli uznany jest za nie mogącego iść do wychodka! Ale są to wszystko tylko formalne punkty dozoru i opieki nad chorymi. Jeżeli chory jest o tyle silny, że sam sobie radzić może, to mu tu może być dobrze. Jeżeli jednak jest niedołężny, to biada mu. W sanitariuszu nikt nie wyrobił sztuki troskliwości dla chorego, a sam on, gdyby nawet miał dobre serce, nie umie, jak to zwykle chłop, wyczuć mękę chorego i otoczyć go ciepłem i taką pomocą, która by mu jego własne siły zastąpiła. Baby wiejskie to umieją, ale chłopci – bardzo rzadko. Jest niezgrabny, nie umie chorego dźwigać, nie wyczuwa jego słabych miejsc, nie rozumie i nie uwzględnia zgoła specjalnych wymogów chorego, które mu się kaprysem wydają, przemawia do chorego głosem rozsądku i przekonania, gdy ten ledwie żyje i nie jest w stanie zgoła postępować tak i kierować się tym, czym się kieruje rozsądek człowieka zdrowego. Toteż zamiast pomocy usługa sanitariusza męczy i drażni chorego. Często chory sam ostatku sił dobywa, aby sobie sam coś zrobić, byle tylko „pomocy” sanitariusza nie doświadczać i to mu tylko szkodzi więcej. Ciężko chorzy są tu męczennikami, nieszcześliwymi zaiste. W nocy przy ciężko chorym jest dyżur. Światło się pali, chory

jęczy, siedzi przy nim drzemiący młody sanitariusz. Wnet, poczuwszy w pokoju ciepło, schodzą się tu inni sanitariusze, którzy są na korytarzu na warcie i zaczyna się głośnie rozmowa i prawdziwy raut nocny sanitariuszów. A chory jęczy w gorączce. Taka warta przy nim zakłóca mu resztki spokoju.

29 listopada, rok 1915, poniedziałek

85-lecie rocznica Powstania Listopadowego. Dzień ten obchodzi się dziś uroczystość w całej Polsce, po raz pierwszy obchodzi się otwarcie, przez jawne obchody po miastach Królestwa. Społeczne organizacje szkolne w Królestwie nakazały święcić ten dzień w szkołach. Tak przynajmniej zarządziła Komisja Oświecenia w Warszawie, naczelną organizacją całego szkolnictwa w stolicy (prezesem jej, jak wiem jest prof. Józef Pomorski, żonaty z siostrą Zysia Komorowskiego¹⁵, mój dobry znajomy i powinowaty przez swą żonę). Za przykładem Komisji Oświecenia poszły inne organizacje szkolne w całym kraju. W całym też Królestwie odbędą się uroczyste obchody narodowe. W ogóle Królestwo żyje teraz ciągle obchodami narodowymi. Jest to jedna z dróg krystalizacji woli narodowej do Niepodległości. Wracam do tematu, o którym pisałem wczoraj. System feldfebla Stańki demoralizuje sanitariuszów w szpitalu. Wytwarza się taka sytuacja, że nie chorzy są ośrodkiem wszystkich zabiegów w szpitalu, nie oni są najwyższą racją, która uzasadnia wszystkie zarządzenia i cały ład i tryb szpitalnego życia, ale jest jakieś bożyszcze inne, które same w sobie i dla siebie określa wszystko; tym bożyszczem jest formalizm bezduszny ładu podług samowładnej woli feldfebla Stańki. „*Pereat mundus, fiat iustitia*”¹⁶ – mniejsza o chorych, byle się stało zadość rutynie feldfebla Stańki. Taką jest dyscyplina sanitariuszy tutejszych, taką ich tresura. Tak być musi, gdy na czele tej organizacji stoi tępy feldfebel Stańko. Jedyną metodą Stańki w oddziaływaniu na podwładnych mu sanitariuszy jest strach. Drugi egzemplarz, mniej znaczący od Stańki i nie mający żadnej metody, ale stanowiący też władzę dla sanitariuszów – to kapral, którego nazwiska nie wiem. Jest to młody jeszcze chłopiec, Rusin rodem, ubrany w mundur kawalerzysty, bo przy kawalerii służył. Głupi jest jak pień. Ten sobie robi sport z tego, że sanitariuszów pędza, gwizdże na nich jak na psów, w dosłownym znaczeniu, maltretuje ich zawadiacko, z „kawaleryjskim” zacięciem. Pisałem raz, że chłopci Rusini są dobrymi sanitariuszami. Tak, zaiste są oni cierpliwi, wytrwali w pracy, dobrodusznicy. Ale widzę, że dla ciężko chorych są oni nieznośni; są oni tępi, ciężcy, nie mają sprytu i inicjatywy; w braku własnej mądrości są oni posłusznym Stańki narzędziem, którego wprowadzić nienawidzą, ale się lękają. Gdy choremu coś trzeba, oni to rozważają po kątem upodobań Stańki; perswadują choremu, który ledwie dyszy, że trzeba coś tam robić nie tak, a tak, bo inaczej to wypadnie nie po myśli Stańki. Zdaje się, że już lepsi są dla ciężko chorych sanitariusze Żydzi, bo ci są przynajmniej wrażliwsi, sprytniejsi, lepiej chorego rozumieją i wyczuwają, mają więcej inicjatywy własnej i niezależności przez zrozumienie zmiennej natury okoliczności, która w stosunku do ciężko chorych uniemożliwia wszelką rutynę – tylko że ci znów są leniwi i nie bardzo lubią sobie fatygi zadawać. Ach, tak, tak – źle jest w szpitalu wojennym dla ciężko chorych. Ten szpital jest względnie jeszcze dobry, ma staranną opiekę lekarską, ale cóż z tego, kiedy rutyna bezduszna takiego feldfebla Stańki całą rzecz wypacza. Mój sąsiad ciężko chory wczoraj został wyniesiony ode mnie. Gorączka się u niego zwiększała, a do choroby serca dołączyło się jeszcze zapalenie płuc, które się zaczęło wytwarzać. Zdaje się, że wszelka nadzieja utrzymania go przy życiu upadła. Wyniesiono go stąd; przynajmniej nie będę świadkiem jego konania. Znów, jak na

¹⁵ Karolina Mikułowska-Pomorska z domu Komorowska (zm. 1919), siostra Zygmunta Komorowskiego (1865-1920).

¹⁶ (łac.) Sprawiedliwości musi stać się zadość, choćby miał zginąć świat.

początku, zostałem sam w tych pokoikach. Dziś czuję się lepiej, niż wczoraj, ale ta noc wczorajsza przespana pod oknem na ciagu, zostawiła swoje ślady; bóle reumatyczne w ręku i w szyi u nasady czaszki nie minęły zupełnie. Wieczorem dziś ziębiło mnie. Pokoiki mają tę wadę, że są zimne; jest piec, który się prędko ogrzewa, ale też prędko stygnie i nie jest w stanie utrzymać ciepła w pokoju, mimo że się dwa razy na dzień pali. Trzy ściany drugiego pokoju, w którym ja się lokuję, są zewnętrzne; jest też wadą to, że nigdy tu słońce nie zagląda. A na dworze teraz mrozy wielkie, pogoda słoneczna, zima w pełni, sanna. Bardzo miła, bardzo dobra jest nasza siostra miłosierdzia, panna Maryla Mieszkowska¹⁷, Rzeszowianka. Dla każdego ma dobre słowo, jest zawsze uśmiechnięta, grzeczna, łagodna. Mam od niej książkę do czytania – Flamariona „*Excursion dans le ciel*”, rzecz bardzo ładna, która mi wielką rozrywkę sprawia i przenosi daleko od bieżących spraw tego świata walk ludzkich i trosk osobistych.

30 listopada, rok 1915, wtorek

Nie jest dobrze ze zdrowiem moim. Pierwotna choroba skórna przechodzi i jest już tylko w stanie szczątkowym, ale za to przybywają jakieś inne dolegliwości. Wspomniałem o bólu w lewej ręce, który zdaje się być reumatycznym i posuwa się w głąb w kierunku łokcia, aczkolwiek, jeżeli mnie czucie nie myli, po mięśniach tylko. Gorsza jest inna rzecz, oto od kilku dni miałem lekki ból w pasie powyżej bioder. Dziś ból ten się wzmógł szczególnie, łącząc się z ogólnym osłabieniem; mam wrażenie, że to boli wątroba, bo szczególnie odczuwam ból z prawej strony i mam poza tym dreszcze. Boję się, aby to nie było powtórzenie mojej żółtaczki, którą miałem w r. 1910. Zdaje mi się, że odczuwam też lekkie nudzenie, choć to może być z imaginacji. Jedno mnie tylko trochę uspakaja: przy zaczynającej się żółtaczce ustaje odchodzenie stolca, podczas gdy ja mam ciągle od paru tygodni obfity i rozwolniony żołądek. Ale kto wie, może to inny rodzaj wątrobowego cierpienia, bez żółtaczki. Apetytu do mięsa od paru dni nie mam wcale i dziś go już nie tknąłem; mam też obrzydzenie do tłuszczów. Wieczorem zmierzyłem dziś sobie temperaturę i przekonałem się, że mam sporą gorączkę: 38,7°. Naturalnie, że martwię się tym. Ale co pomoże zmartwienie. Niech będzie tak, jak określi wola boska. Może być, że już jutro nie będę mógł pisać dziennika. W każdym razie, choć parę słów o stanie zdrowia zanotuję co dzień. Ale tego dziennika moich wspomnień, spostrzeżeń, myśli – może nie będę mógł przez czas jakiś pisać. Tymczasem jeszcze, dopóki zdaje mi się, że jestem w stanie, będę pisał, jak żeby nic. Dziś będę pisał o jednej z największych zmor wojny, z którą się nigdy nie mogłem oswoić i która dla mnie stanowiła ohydę, straszniejszą i obrzydliwszą od najdzikszego ognia nieprzyjacielskiego. Tą zmorą, tym jakby elementem wojny, jest zniszczenie kraju nią dotkniętego, jest ruina życia i jego plonów, jest w szczególności rabunek, tysięczne formy „rekwizycji”, plądrowanie, pożary. Fakty zaboru cudzej własności, gwałtu nad ludnością i jej mieniem raziły mnie od początku i nigdy się z nim pogodzić, nigdy się do nich przyzwyczaić i usprawiedliwić nie zdołałem. Krzywda ludności w miejscu toczącej się wojny, jej męka – to najwstrętniejsza rzecz ze wszystkich, które towarzyszą wojnie. Wiele razy wspominałem o tym w moim dzienniku wojennym – obecnie chcę nieco sumarycznie o tym powiedzieć i w szczególności chcę określić stosunek legionistów do tej sprawy. Co do tego ostatniego, to interesowałem się nim szczególnie, grupowałem sobie w umyśle spostrzeżenia i badałem kolegów – starych żołnierzy, aby go sobie dokładnie uprzytomnić. I muszę też stwierdzić, że ze wszystkich wojsk, z którymi się na linii stykałem, legionisci są pod tym względem najporządniejsi, najmniej winni. Co do Moskali – to przy rozważaniu ich zachowania się na terenie, w

¹⁷ Maryla Mieszkowska – bliższych danych brak

którym obecnie toczy się wojna tam, gdzie ja byłem – na Wołyniu – należy wziąć pod uwagę to, że są oni we własnym kraju i wśród ludności Ukraińców czy Poleszuków, w każdym razie Rusinów, bardzo pokrewnych im językiem, wiarą, zwyczajem itd., uważanych przez nich za swoich. Zawsze w stosunku do swojej ludności wojsko jest względniejsze i miększe, bo bliższą i zrozumialszą mu jest jej krzywda. Inną więc trzeba by mierzyć skalą zachowanie się wojska rosyjskiego w stosunku do ludności na wojnie na Wołyniu, niż zachowanie się wojsk obcych, tak Madjarów, jak Niemców, jak Austriaków, jak wreszcie naszych legionistów. Elementów do dokładnego zorientowania się w tym stosunku Moskali do ludności i jej dobytku brak mi. Tam bowiem, gdzieśmy stopniowo postępowali naprzód, zdobywając poszczególne wsi – od Kowla aż do Kostiuchnowki i Kołodji pod Styr, i gdzieśmy zastawali ludność, tam prawie że nie było regularnych wojsk rosyjskich, jeno sami kozacy; zaczynając od Gorodka były one, ale tam się zaledwie grupować zaczęły i organizować obronę, gdy ruchem forsownym Niemców od Pińska wraz z naszym nadejściem zostały zaraz odrzucone, toteż nie zdołały jeszcze w pełni swego stosunku do ludności i dobytku ujawnić. Za to co do kozaków, to twierdzenia całej pozostałej ludności są niemal jednoznaczne, że większych mistrzów w rabunku i brutalów wobec ludności nie ma i że jeno Madjary są w stanie im w tych „zaletach” sprostać. Regularne wojska rosyjskie zastaliśmy dopiero nad Styrem i później w tych walkach w kierunku na Czartorysk, które się dla naszych Legionów od Jabłonki rozpoczęły. Tak, wojsko rosyjskie niszczyło bezwzględnie wszystko i paliło ogniem wszystkie wsie i osady, z których zwłaszcza ustępować musiało. Mogło to być wszakże metodą walki, aby nam nic w zdobyczy nie zostawić i utrudnić przez to nasz pochód i naszą sytuację zimą, gdy nawet ciepłego kąta dla zagrzania się i opatrunku rannych mieć nie będziemy. Nie świadczy to jeszcze bezwzględnie o stosunku do ludności, gdy skądinąd mieliśmy przykłady, jak w Kukli, że żołnierze rosyjscy przed cofnięciem się zbudowali lepianki dla chłopów z rodziną, co tam pozostał, choć nie da się też zaręczyć, że chłop ten nie był szpiegiem, na co pewne poszlaki, acz nie decydujące, były.

1 grudnia, rok 1915, środa

Jestem istotnie chory. Mogę tylko kilka słów dziennika pisać, nie więcej. Gorączkę mam; po obiedzie miałem 38,2°. Czuję się bardzo słaby, siedzieć długo nie mogę; jeszcze ciężiej mi chodzić, bo ból się wtedy wzmaga. Nie wiem, co mi jest. Pocieszyłem się dziś, że to nie wątrobowe, bo ból koncentruje się nie w prawym boku, ale gdzieś pod łezeczką i idzie w głąb aż po obie strony kości krzyżowej.

2 grudnia rok 1915, czwartek

Temperatura rano 37,5°, pod wieczór – 38,4°. Ból dziś najwyraźniej koncentruje się w lewym boku, gdzieś głęboko ku kości pacierzowej. Co to jest, nie mam pojęcia. Niewiele więcej wiedzą lekarze, którzy zresztą mało badają istotę mego cierpienia. Gubię się w domysłach, szczególnie wieczorem, gdy leżę w gorączce. Zdaje mi się chwilami, że to może tyfus, to że to coś w śledzionie lub w nerkach, to znów że w żołądku i kiszka. W każdym razie, jestem poważnie chory i słaby. Ból dziś ma charakter kłucia, coś niby podobnego do narywania. Ból się wzmaga szczególnie przy chodzeniu. Gdy wkładam obuwie, to przy podnoszeniu lewej nogi też zaraz ból się zaostza. Chwilami zaś, gdy leżę czas dłuższy spokojnie, bez ruchu, ciepło nakryty – ból całkiem ustaje i mam wrażenie, że już wracam do zdrowia.

3 grudnia, rok 1915, piątek

Dziś mi było z rana niby trochę lepiej. Nie czuję przynajmniej większego bólu i temperatura spadła do 37°. Dość długo siedziałem, ufając polepszeniu zdrowia i ogoliłem się. To mnie zmęczyło. Po obiedzie ból się wzmógł i stał się jednostajny, głuchy, ciągły, obejmujący całą sferę górnego pasa aż do klatki piersiowej. Natomiast gorączka po obiedzie wynosiła zaledwie 37,5°, czyli $\pm$ o cały stopień była niższa od temperatury dni poprzednich. Jedno drugiemu zdawało się przeczyć: wzmożony ból zdawał się świadczyć o pogorszeniu zdrowia, upadek gorączki ma być pono oznaką prawidłowszego stanu organizmu; gorączka jest wskaźnikiem najlepszym stanu choroby. Pokoiki nasze znowu się zapełniły chorymi; tym razem to inna publiczność. Obok mnie z jednej strony leży legionista-ułan z II Brygady, Kuźmiński¹⁸, chłopiec 20-letni, niesympatyczny, pełny romansów i nic poza tym, zajęty swoją pięknoscią i strojem jak pusta bańka, z drugiej legionista z VI pułku, młodzian 18-letni chłopak Mieszkowski¹⁹, rodzony brat naszej siostry pielęgniarki, żywy, wesóły, bardzo naturalny, sympatyczny. Dalej leży feldfebel Madjar, chory na katar żołądka, ale pełny życia i energii. Wreszcie w pierwszym pokoiku leży legionista z VI pułku, z oddziału telefonistów, człowiek lat przeszło 30, dość ciężko chory i słaby po operacji, którą mu wskutek otrzymanej rany dokonano. Wieczorem miałem niezwykłą robotę: poproszono mnie o wykonanie pędzlem (lakierem) napisu na krzyżu grobowym dla zmarłego dziś tu w szpitalu jakiegoś wachmistrza żandarmerii.

4 grudnia, rok 1915, sobota

Dziś mi stanowczo lepiej; czuję się też nieco mocniejszy. Temperaturę miałem rano i popołudniu tę samą – 37,3°. Jest to temperatura podniesiona, ale nie zasługująca na miano gorączki. Ból wieczorem się ponowił, ale w stopniu znacznie lżejszym. Zdaje się jednak, że do zupełnego zdrowia mi daleko i że długo jeszcze pociągnę w tym stanie połowicznym. Czuję bowiem, że katagorycznego polepszenia bynajmniej jeszcze nie ma. Zdaje się, że to jest jakieś większe cierpienie żołądka, choć chwilami, zwłaszcza wieczorem, gdy ból jest intensywniejszy, miewam przypuszczenia, że to choroba nerkowa.

E-e, będę teraz znowu pisać cały dziennik. I od razu wracam do przerwanego przed kilku dniami tematu o rabunkach i krzywdzie ludności cywilnej na wojnie i na wstępie o zestawieniu porównawczym zachowania się różnych wojsk w tej mierze. O Moskalach powiadam, że gdybym miał sądzić tylko z tego, co sam mógł zaobserwować w czasie mojej kampanii na Polesiu Wołyńskim, nie miałbym dość mocnej podstawy do orzeczenia jakiejś opinii. Mogłbym tylko stwierdzić to, co zresztą jest powszechnie wiadomo i zgola przysłowiowe – że mistrzami rabunku i krzywdy ludności na wojnie są kozacy – i to bez względu na to, czy chodzi o ludność obcą, czy swoją. Ale o żołnierzach regularnych rosyjskich twierdzić bym tego nie mógł. Nie jest też zupełnie miarodajne to, co się wie o zachowaniu się żołdactwa moskiewskiego podczas zeszłorocznej inwazji w Galicji. Były tam wypadki ciężkich gwałtów, rabunku masowego, dochodzącego czasem nawet do orgii, których ofiarą padało najbardziej żydostwo. Ale na ogół z tego co się słyszy i czyta o rabunkach i zniszczeniu w Galicji, gdy się to zestawia z tym zniszczeniem, jakie towarzyszy wojnie choćby teraz na Wołyniu, nie było ono większe i dzikie, może nawet łagodniejsze pod pewnymi względami, przynajmniej w stosunku do dobytku gospodarki włościańskiej, do inwentarza żywego, do chałup i sprzętów domowych oraz zbiorów rolniczych. W inwazji rosyjskiej w Galicji dominował element polityczny; Moskale Galicję niszczyli

¹⁸ Tadeusz Kuźmiński, ułan 6 szwadronu kawalerii Legionów Polskich.

¹⁹ Tadeusz Mieszkowski, legionista 1 kompanii 6 pp., ranny 24 października 1915 r. w bitwie pod Kukłami.

politycznie, kruszyli jej całą organizację, usiłowali ją historycznie przekształcić, przerobić całą jej strukturę dziejową, by z niej kraj „rdzennie rosyjski” wytworzyć; ta gwałtowność i nagłość rusyfikacji, ten gwałt polityczny na kraju okupowanym – to była główna groza inwazji moskiewskiej w Galicji, to główne jej dzieło dewastacji kulturalnej, barbarzyńskiej i typowo azjatyckiej. Przeciwnie – pod względem gospodarczym i stosunku materialnego do ludności władze moskiewskie, wychodząc z tych właśnie założeń politycznych i pragnąc znaleźć oparcie dla swych spekulacji rusyfikacyjnych w pewnych elementach ludności, hamowały rabunek i swawolę żołdactwa i wpajały wojskom przymus miękkiego obchodzenia się z ludnością, zwłaszcza włociańską ruską. Tu instynkty swawoli żołnierskiej były ujmowane w karby względów spekulacji politycznej. Ona też tworzyła ohydę tej inwazji. Jedno tam było tylko straszne w stosunku mas wojskowych do ludności, co się nie dało zażegnać żadnymi karbami politycznymi – to okropne rozpasanie gwałtów nad kobietami, dzięki orgie rozpusty płciowej. Galicja więc nie jest miarodajna. Natomiast klasycznie miarodajnym jest zachowanie się wojsk rosyjskich w Prusach Wschodnich w czasie ich dwukrotnej inwazji. Byłem wtedy w Wilnie, miałem relacje najszczegółowsze i najdokładniejsze od samych uczestników tych inwazji, oficerów, żołnierzy, Rosjan, Polaków. To, co się tam działo, co tam wyprawiano – to przechodzi wszelkie ramy i wyczerpuje zakres możliwości. Było to bezwzględne i literalne spustoszenie, niwelacja radykalna bogatego życia do poziomu pustyni. Porywano i wywożono, o ile nie zabito i nie zamęczono, każdego człowieka, którego napotkano i gnano to wszystko w najstraszliwszych warunkach gdzieś w głąb Rosji; co tylko było, zniszczono z kretesem, palono i tępiono, ewentualnie zabierano i wywożono. Nie pozostawiono nic. Radykalniejszego rabunku i zniszczenia być nie mogło i tu już nikt Moskali nie prześcignął i prześcignąć nie zdoła. Nawet to zniszczenie, jakie jest nad Styrem na Polesiu Wołyńskim, które obserwowałem i które zresztą jest w większym stopniu dziełem wypadków wojennych, niż swawoli ludzkiej, błędnie wobec obrazu spustoszenia Prus Wschodnich przez Moskali podczas ich drugiej inwazji zimowej. Poza tym to, co się działo w Królestwie Polskim, szczególnie tej wiosny w Radomskim i Lubelskim, było też koszmarnym aktem zniszczenia, którego umiejętność posiadają Moskale w stopniu wykluczającym wszelką z nimi rywalizację. Zdaje mi się więc, że Moskali, pomimo ich natury pozornie dobroduszej, a w gruncie barbarzyńskiej i rozpasanej „szerokiej”, należy postawić poza nawias wszelkich zestawień. Wojska sojusznicze nasze – Niemcy, Madjary, Austriacy, legionści – mają każdy swoje metody, swoje wady i zalety w stosunku swoim do ludności na wojnie. O Madjarach pisałem – są oni bezwzględni. Niemcy pozornie nie są od nich wiele lepsi. Pamiętam, jak mnie zgorszyło, jak mnie bolało to, com zobaczył w Gorodku. Był to pierwszy raz, żem się zetknął bezpośrednio z Niemcami na wojnie. Do Gorodka postępowaliśmy zawsze sami, tylko legionści, nie stykając się z innymi wojskami. Małe figle naszych legionistów w postaci pochwycenia gdzieś z jakiegoś chlewika chłopskiego kilku gęsi, czasem pochwycenie na ulicy świni gorszyły mnie i bolały, wobec zwłaszcza tej skali moralnych wymagań, jakie w stosunku do Legionów zawsze w mniemaniu moim miałem i mam. Pogodziłem się już z tym, że się plądruje po chatach, których gospodarze uciekli, że się bierze czy to świnię, czy gęsi i kury bezpieczeństwa lub przynajmniej te, które są pozornie bezpieczeństwa, to znaczy chodzą wolno lub się gdzieś po chlewikach i opuszczonych stodołach znajdują, że wreszcie się bierze owoce z drzew i wszelkie warzywo z grząd, gdzie się chce i ile się chce. Z początku to mnie nawet raziło, ale się już z tym oswoiłem. Nie mogłem się tylko nigdy oswoić z zaborem czegokolwiek bądź, co było wyraźną czyjąś własnością w dobytku gospodarzy obecnych. W Gorodku po raz pierwszy spotkaliśmy Niemców. Widziałem, jak są oni

zasobni we wszystko, jak są pewni siebie i wygląd mają suty, wspinały nawet wobec nas, „chudopachołków”. Toteż tym bardziej nie mogłem im darować krzywdy, jaką ludności wyrządzają.

5 grudnia, rok 1915, niedziela

Powiadam, że jednym z najcięższych i najboleśniejszych dla mnie wrażeń na wojnie było wrażenie, którego doświadczyłem w Gorodku na widok rabunku i plądrowania, popełnianego przez Niemców. Był to dla mnie widok jeszcze nowy. O rabunkach tych i o krzywdzie ludności wiedziałem poprzednio, słyszałem z opowiadań, widziałem nawet jego ślady w drodze na linię, ale sam tego dotąd na żywe własne oczy nie widziałem. Plądrowanie legionistów po opuszczonych chatach i stodołach, jakieś tam pochwycenie ukradkiem od gospodarza gąski czy kury – to, powiadam, były tylko „figle” wobec tego istotnego obrazu rabunku. Gdyśmy wchodzili do Gorodka, był on pełny ludności i pełny wszelkiego dobytku. Gorodok, czy może raczej po polsku Gródek, jak pełno jest różnych „Gródków” na Białej Rusi lub na Polesiu (Dawidgródek, Koszangródek itd.) jest osadą złożoną: od strony Maniewicz jest szeroko zabudowany dwór i za nim cerkiew, dalej ku środkowi właściwe miasteczko żydowskie i wreszcie za nim, od strony, z którejśmy przyszedli, wieś gospodarska poleska. Ludność, chłopci-Poleszuki, witała nas przychylnie, przynajmniej z pozoru, przyglądała się nam ciekawie, nie kryła bynajmniej swego dobytku, traktowała chętnie nas mlekiem, chlebem, serem, masłem; nie mogliśmy wprawdzie z tego wiele korzystać, bośmy byli w marszu i jeszcze w sąsiednich Maniewiczach wrzała bitwa; po ulicy i po dziedzińcach, jak to zwykle się po wioskach poleskich widzi, biegały świny, snuły się kury. Cieszyliśmy się, że po zakwaterowaniu w tej wsi dostaniemy wszystkiego, z przyjemnością dla nas i bez krzywdy dla ludności, płacąc zwyczajem naszym za wszystko, a ewentualnie coś w datku przyjmując. Aleśmy poszli wkrótce na Maniewicz, a gdyśmy tegoż wieczora wrócili, już Niemcy tu byli weszli, tak że ledwie z trudnością dostaliśmy kwaterę na nocleg w którymś z zabudowań dworskich. Nazajutrz rano wieś już była do niepoznania: znikły świny, kury, gęsi, chłopci siedzieli po chatach posępni, oburzeni, przejęci zgrozą; już nie traktowali nas niczym, ale wszystkie resztki, czego mieli, pochowali i już nawet sprzedać nie chcieli. Natomiast w obozowiskach niemieckich smażyono dokoła szynkę, pieczono gęsi, stały całe sznury powiązanych owiec, na wozach leżały powiązane gęsi, pełno było widać świń czekających swego losu, uwiązanych do jakiegoś kołka lub płotu. Niemcy przez wieczór, noc i rano splądrowali radykalnie wieś i co im trzeba było, zabrali, nie tylko z ulicy i z opuszczonych zagród, ale zewsząd, gdzie coś znaleźli, nie krępując się żadną obecnością gospodarzy ani ich prośbą, błaganiem, krzywdą, perspektywą nędzy – nic. Zabierali też z chat wszystko, co się przydało i co znaleźli: a więc naturalnie w pierwszym rzędzie chleb, upragniony przysmak żołnierza na wojnie masło, ser, słoninę, jaja, ogórki kwaszone, wszystko. Zasobna wioska przez jeden dzień została zamieniona w ubogie gniazdo pariasów, którym pozostały tylko kartofle i to, co się ukryć dało oraz schronisko w chatach, zresztą niepewne, bo dla potrzeb kwaterunku żołnierzy właściciel zawsze usunięty być może i bywa istotnie, a nawet gdy zostaje wśród kwatrujących żołnierzy w swej izbie, to nie zawsze on jest w niej rzeczywistym gospodarzem: zależy to od dobrej woli i od względności kwatrujących. Ten sam widok ujrzałem we dwa dni później w Maniewiczach. Był to dla mnie ohydny widok; krzywda ludności bolała mnie jak własna. Cóż dziwnego, że ludność chłopska była tam tak podrażniona tym rabunkiem Niemców, do którego jeszcze przyszła profanacja cerkwi, że gdy później cofnęliśmy się spod Kostiuchnowki i musieli odstąpić chwilowo cały teren aż do linii Maniewicz Moskalom, w sąsiedniej Gałuzji chłopci powiesili doraźnie trzech legionistów, którzy

pozostali w tyle; chłopci nie odróżniają zawsze ściśle jednych od drugich, a zresztą może pamiętali w Gałuzji o zastrzeleniu przez oficera legionowego pod cerkwią chłopca, który mu z siekierą w ręku chciał bronić wstępu do cerkwi. Ta profanacja cerkwi – to też jeden z punktów bolesnych i przykrych. Niestety – w dalszym pochodzie stała się ona powszechną, stała się nawet koniecznością. Gdy nastały zimy, gdy ilość wojska się zwiększyła, gdy walki zaczęły się coraz bardziej skupiać na ograniczonym terenie, wśród nielicznych wiosek, które coraz bardziej malały wobec ciągłych pożarów, niepodobna było rezerwować bezwzględnie cerkwi. Każdy kąt ciepły, każdy dach nad głową i każde ściany musiały być wyzyskane dla osłony ziębnącego, znużonego żołnierza; nasi zresztą, o ile mogli, używali cerkwi do takich potrzeb, jak szpital, miejsce opatrunkowe itp., a nawet gdy w niej kwaterowali, to unikali profanowania przedmiotów kultu, nie tykali obrazów i ikon ze ścian, nie rwali ksiąg, nie roznosili szat. Później zresztą, jak w ostatnich już czasach krwawych bagnetowych walk o każdy skrawek wsi, o każdy odcinek lasu, to już zniknęły wszelkie względy, bo już tam inaczej być nie mogło. Tam już ustały wszelkie pojęcia o cerkwiach, o domach i ich właścicielach, którzy już zresztą stali się rzadkością zgoła osobliwą; tam, jak w Jabłonce, Kukli, jak zresztą na całym odcinku frontu tych wściekłych walk, było tylko zmaganie się dwóch wrogów i tylko jedno prawo – prawo i konieczność walki; czy to był pień drzewa, czy okop, czy cerkiew – to było ze stanowiska tej walki obojętne, a ważne było tylko jedno – kwestia potrzeby i użytku danej rzeczy do potrzeb walki – obrony czy ataku. Tam, gdzie idzie bój śmiertelny o życie, tam obaj wrogowie mają jedyny wzgląd – na walkę samą i jej konieczności. To jest racja najwyższa – *la loi supreme*. Tam też nie ma miejsca na kwestie stosunku do ludności, jakiegoś dobytku, jakichś innych praw ludzkich. Zresztą tam już ludzi poza żołnierzami prawie że nie było, a o dobytku jakimś to chyba mogła być mowa, o ile by on w ziemi był zakopany i ukryty. Tam ustawało prawo i była tylko wojna. O zniszczeniu też, które już tam było, nie mam nawet co mówić. Stan w Gorodku i w Maniewiczach byłby jeszcze wobec niego idealny, bo tam przecież pozostały pojęcia choć ograniczonej, ale jeszcze istniejącej własności chałup, sprzętów itd., a tu już nic z tego. Ale też nie gorszyło mnie to tak, jak rabunek i plądrowanie. Bo to nie był już rabunek, jeno konieczność niezłomna wojny, jej prawo dzikie, jak z konieczności, jak ona sama, ale logiczna, jak żywioł, jak piorun zabójczy w burzy. Nikt się na działanie pioruna oburzać nie będzie, ale na czyn ludzki w społecznych warunkach dokonywany, a takim jest plądrowanie – oburzać się wolno.

6 grudnia, rok 1915, poniedziałek

Na początku słówko o zdrowiu moim, żeby już nie potrzebować potem do tego przedmiotu wracać. Otóż bóle wszelkie już ustały od dwóch dni, temperatura też wróciła do stanu normalnego; wczoraj miałem jeszcze rano i wieczór po 37,0°, dziś rano już tylko 36,5°, czyli żadnej gorączki, wieczorem już nie mierzyłem temperatury wcale. Tak więc zakończyła się szczęśliwie, dzięki łasce Boga, moja kilkudniowa choroba, która nabawiła mnie tyle niepokoju; w gorączce już wszelkie przypuszczenia powstawały we wrażliwym umyśle moim: to że wraca moja dawna wątrobowa choroba, to że się kamień formuje, to że zachorowałem na nerki. A był to po prostu jakiś większy rozstrój żołądka, który po kilku dniach diety i wypoczynku w łóżku minął.

A teraz do głównej rzeczy, do głównego wypadku dnia dzisiejszego! Wypadkiem tym list, który mi dziś wieczór z poczty przyniesiono. List adresowany ołówkiem do mnie, gruby, na kopercie pieczętka z orłem polskim i napisem „Komenda I Baonu I Pułku I Brygady Leg. Polsk.”, napis stemplowy „Cenzurowano. I Baon I Pułk I Br. Leg. Pol. Poczta pol. 118” i austriacka pieczętka poczty polowej „K.u K. Feldpostamt. 118” i z

datą 1. XII 1915. Ze wzruszeniem i pewnym niepokojem wybrałem zawartość koperty: co w niej jest, co znajdę. Gruby pakiet, ale co za pakiet! W nim dla mnie cały świat wieści. Wewnątrz znalazłem jeden list mój, pisany stąd ze szpitala do Grzmota i jedną kartkę moją pisaną do Partyki, odesłane mi z powrotem; dalej mały listek na świstku papieru, pisany do mnie przez obywatela Czerniawskiego z naszej kompanii; dalej jeszcze jakaś koperta, adresowana do mnie na imię „obywatela Rzymskiego” do brygady, odesłana mi tu przez Czerniawskiego, a zawierająca w sobie jeszcze parę listów do mnie, wśród których w jednym poznałem ze wzruszeniem pismo ukochane mojej siostry Kotuni Pruszanowskiej²⁰. W tym więc jednym liście, otrzymanym dziś z poczty – cały dla mnie świat listów. Zacznę od tego, co niekoniecznie jest dla mnie główne, ale jednak równorzędne i co się wiąże ściśle z tokiem mego dziennika w ostatnich czasach, a później dopiero przejdę do tego, co jest dla mnie najosobliwsze, najgłębsze w sercu moim, co się do listu Kotuńki, do pierwszych drogich dla mnie wieści od rodziny od czasu mego wyjazdu – odnosi. A więc dalej. Píše do mnie na małym świstku obywatel Czerniawski²¹, legionista z naszej kompanii, którego znam dość dobrze, ale o którym nie wiem ściśle, z którego jest plutonu i czy miał jakąś szarżę czy specjalną funkcję w kompanii, a bodajże coś takiego miał. Otóż zawiadamia mnie on, że niepotrzebnie pisuję do moich byłych towarzyszy z plutonu (a pisałem stąd bodajże do wszystkich, którzy ocalili po ataku na Jabłonkę z wyjątkiem Szyszkowskiego, Zięby i Kwiatkowskiego²²), bo jak pisze, żadnego z nich nie ma. W szczególności odsyła mi nazad jeden z moich listów do Grzmota, do którego ze cztery dłuższe listy ze szpitala wysłałem i moją kartkę do Partyki i powiada o nich, że Grzmot „zniknął” gdzieś po bitwie pod Kukłami, Partyka zaś odjechał z linii jako chory. Biedny Grzmocik, biedny mój mały! Pisałem do niego stąd często i często go wspominałem, a miałem wciąż jakiś niepokój o niego, jakby chwilami przeczucie, że coś mu się stało. Był taki smutny i taki przygnębiony i zrezygnowany ostatniego dnia, gdy go widziałem w Kukłach w okopach. „Zniknął”, jak pisze Czerniawski, to znaczy jest zaginiony, jak Dziengiel pod Kostiuchnowką. Najprawdopodobniej został wzięty do niewoli rosyjskiej, może ranny. Pocieszam się, że nie był zabity, bo widziano by go padającego w szeregu. Oby tylko Moskale nie ujawnili jego poddaństwa rosyjskiego, bo to by mu najgorszą ze śmierci groziło – powieszeniem, a tego chłopca, tego, już powiem człowieka byłaby wielka szkoda. Grzmot wszakże był zawsze pod tym względem bardzo ostrożny. Powiada Czerniawski, że najdłużej z naszego byłego II plutonu przetrwał Papiz, który wreszcie dostał urlop i odjechał. O innych nie wspomina, nie wymienia ani zabitych, ani rannych. Szkoda, że nic o nich nie wiem. Szczególnie by mnie interesował los zacnego obywatela Kruszyny oraz takich starych żołnierzy, którzy jeszcze po Jabłonce ocalili, jak Gutowski, Tobjasz, Pachuta. Czerniawski dodaje kilka ciekawych szczegółów, z których sądzić mogę o stratach w naszych Legionach po owych strasznych krwawych walkach w okolicach Czartoryska. Nasza kompania, która jeszcze wigilią Jabłonki, na wypoczynku w Trojanówce, była w baonie największa i liczyła 4 plutony (!), to znaczy przeszło 100 bagnetów, zmalała do 34 ludzi! Obecnie cały I baon składa się zaledwie z dwóch kompanii (poprzednio cztery!) i liczy 160 ludzi. Wnoszę stąd, że resztki naszej kompanii zostały połączone z niedobitkami jednej

²⁰Konstancja Michalina Maria z Römerów Pruszanowska (1870-1940), córka Michała Kazimierza Römera. W 1892 r. poślubiła Ezechiela Prusznowskiego, syna Eugeniusza i Elizy z Bohdanowiczów, dziedzica Bielcza i Robertowa w powiecie bobrujskim, który zmarł w 1927 r. Po I wojnie zamieszkała w Bydgoszczy. Po śmierci męża żyła w majątku Wsielub, należącym do Karola O'Rourke. Zmarła w Nowogrodku.

²¹ Emil Czerniawski, legionista 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.

²² Kwiatkowski, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.

z innych kompanii. Baonem dowodzi teraz Dąb, zastępując Bukackiego, który wyjechał na urlop (należało mu się to, bo był przemęczony straszliwie i niemal nerwowo chory), kompanią zaś dowodzi w zastępstwie Dęba Bożywoj, który dowodził u nas I plutonem, plutonami zaś dowodzą sierżanci (dlaczego sierżanci? czy to oficerowie plutonowi zostali wybici lub ranni, czy też urlopy wszyscy podostawali?). Dodaje Czerniawski, że „obecnie jesteśmy u Dziadzia (tzn. u Piłsudskiego) i już prowadzimy walkę pozycyjną w głębokim lesie, zupełnie od świata odcięci. Zima – powiada – już nam dokucza porządnie”. Listek Czerniawskiego, krótki, ale bardzo treściwy – takie oto przyniósł mi wieści. Smutne są one dla mnie, niemalże hiobowe dla biednych ocalałych spod Jabłonki resztek naszego byłego plutonu, ale dzięki mu za nie. Bolesne mi są straty moich przyjaciół, zwłaszcza serdecznego Grzmota, który może teraz znosi twarde ciosy i męki niewoli, biedny płowy strzelec polski, „buntowszczyk”, jak pogardliwie Moskale naszych braci nazywają, 18-letni jeniec, bohater polski z XX wieku, a któremu może i nawet nie tylko może, ale prawdopodobnie ja zawdzięczam ocalenie od niewoli, a może i od śmierci pod Kostiuchnówką. Ale jest też coś krzepiącego, coś radosnego w tym liście Czerniawskiego wśród smutnych jego wieści. Oto skupiły się ocalałe rzadkie bohaterów naszych szranki w nową gromadkę zwartą i znów, choć w liczbie wątlej, ale z nowym hartem przebytej ogniowej próby stoją ramię przy ramieniu ze swym wodzem ukochanym, ze swym mistrzem żywej wiary Piłsudskim i w nieśmiertelność polski bój, poleski wieczysty Wolności czyn prowadzą ze sztandarem wysoko uniesionym. Te walki nad Styrem w bagnach Polesia – to był straszny epizod w tej wojny dziejach, jeden z najkrwawszych, jeden z najdramatyczniejszych, ale sławy i bohaterstwa pełny. Nie byłem jego uczestnikiem bezpośrednim, jeno świadkiem przez krótką chwilę; Bóg tak zrządził, że mnie od uczestnictwa tego usunął i zapewne wolą swoją mnie ocalił dla innych jeszcze jakichś celów, bo sędzę, a niemal pewny jestem, że przy moim wzroku, przy mojej trudności biegania z rynsztunkiem byłbym w tych atakach albo zabity, albo, co gorzej, do niewoli, jak biedny Grzmocik, wzięty. Osobiste życie wartości dla mnie nie ma, ma ono już tylko wartość społeczną. Na list Kotuńki i na wieści drogie o rodzinie mojej rezerwuję kartę jutrzejszą.

7 grudnia, rok 1915, wtorek

Dziś o drugim moim liście wczorajszym napiszę – o liście Kotuńki Pruszanowskiej. Jest to dla mnie osobliwość wielka i radosna, niepospolita odświętna nowina: wieści z domu. Od czasu, jak w maju wyjechałem z Wilna, nie miałem właściwie nowin od rodziny. W ostatnich dniach mego pobytu w Bukareszcie, w drugiej połowie czerwca starego stylu, otrzymałem wprawdzie kilka kartek od Maryńki i jedną od Elizki Pruszanowskiej²³, ale to były listy bardzo spóźnione, pisane jeszcze w maju starego stylu (w pierwszych dniach czerwca nowego stylu), to znaczy w kilka dni, w tydzień, w 10 dni po moim wyjeździe. Nie zawierały one jeszcze dla mnie żadnych nowin i były tylko miłe jako coś stamtąd, od rodziny. Odtąd nic. A właśnie najważniejsze wypadki, które mogły rodziny mojej dotyczyć, zaszły w tym międzyczasie, w późniejszych miesiącach letnich i na początku jesieni, gdy linia ofensywy niemieckiej zagarnęła Bohdaniszki i Kowaliszki, gdy potem Wilno zajęte zostało, gdy dalej linia ta zbliżała się już do Wiązowca do Mieczkowskich²⁴, a fale uchodźców i tułaczy zalewały tak okolice

²³ Eliza z Pruszanowskich Tanajewska (1893-?), córka Ezechiela Pruszanowskiego i Konstancji z Römerów, siostrzenica Michała Römera. W 1919 r. poślubiła oficera wojska polskiego Stanisława Tanajewskiego. W czasie II wojny światowej wywieziona z synem Markiem na Ural w 1940 r.

²⁴ Mieczkowsky – Elwira Maria z d. Römer (1874-1954), córka Michała Kazimierza, siostra Michała Römera, przez większość życia mieszkała i gospodarowała w Bohdaniszkach. W 1909 r. poślubiła Stefana Mieczkowskiego, z którym rozstała się w 1936 r. W 1945 r. wyjechała do Polski. S. Mieczkowski

Wiązowca, jak dalekie strony bobrujskie, w których nad Berezyną w Bielczu siedzą Pruszanowscy. Wszystkie te wypadki musiały mocno i bezpośrednio oddziaływać na los moich najbliższych, a zwłaszcza, Papy, Maryni z jej dziećmi i Komorowskich. Nie miałem dotąd żadnej wieści – nic. Wyjeżdżając z Bukaresztu, prosiłem wprawdzie p. dr Zaplachtę, aby mi łaskawie pośredniczył w korespondencji mojej z rodziną i rodzinę moją przed wyjazdem z kraju uprzedziłem, aby pisali do mnie na adres p. Zaplachty, lecz nie mogłem wówczas dać p. Zaplachcie mego adresu do przesyłania mi listów, bo nie wiedziałem, gdzie się sam po przyjeździe do Austrii oprę. Potem, siedząc przez czas dłuższy w Piotrkowie, nie mogłem też tego załatwić, bo poczta zza granicy (z Rumunii) nie kursuje do terenów okupowanych Królestwa. Dopiero więc po bytności mojej w sierpniu w Krakowie i bezpośrednio przed odjazdem na linię ustaliłem taki skomplikowany łańcuch korespondencji mojej z rodziną: P. Zaplachta w Bukareszcie miał odsyłać listy nadeszłe do mnie pod jego adresem do p. Róga, mego znajomego w Krakowie, Róg miał je wysyłać dalej do współpracownika biura prasowego w Departamencie Wojskowym N.K.N., p. Zenona Wierzchowskiego w Piotrkowie, a Wierzchowski dopiero do mnie na linię do I Brygady. Zawiadomiłem o tym p. Zaplachtę, pp. Róg i Wierzchowski osobiście mi przyrzekli spełnianie mej prośby. Oczywiście była to droga tak długa i skomplikowana, że na dojście listów nie bardzo mogłem liczyć, tym bardziej, że potem i Wilno, i Bohdaniszki zostały zajęte przez Niemców i że już stamtąd przez Rosję do Bukaresztu pisać nie było można. I oto nagle wczoraj przyszedł list od Kotuńki pocztowej aż tu do szpitala do mnie, wędrując w niezwykle, ale ścisły przecież sposób. Cała jego marszruta jest znaczona załączonymi listami łaskawych pośredników oraz kopertami. P. Zaplachta w liście datowanym 4 października z Bukaresztu zawiadamia mnie, że mój list, pisany do niego z Piotrkowa 27 sierpnia, otrzymał dopiero 3 października. List Kotuńki do niego datowany jest z Bielcza 22 sierpnia starego stylu, czyli w pierwszych dniach września nowego. Z Bukaresztu d. 4 października został on przez p. Zaplachtę wyekspediowany do Krakowa. Z Krakowa d. 12 października wyekspediowany został przez p. Róga do Piotrkowa. Z Piotrkowa d. 17 października wyekspediowany przez p. Wierzchowskiego na linię do I Brygady. Z I Brygady zaś d. 29 października wyekspediowany łaskawie przez obywatela Emila Czerniawskiego tu do mnie do Rzeszowa do szpitala, gdzie go wreszcie wczoraj d. 6 grudnia otrzymałem. Odpiszę do wszystkich tych panów, dziękując im serdecznie za uprzejme pośrednictwo i spróbuję posłać drogą przez Bukareszt przez p. Zaplachtę list do Kotuńki kochanej. List Kotuńki jest więc pisany mniej więcej akurat w czasie, gdy linia ofensywy niemieckiej, jak ją rachuję, przeszła przez Bohdaniszki i Kowaliszki, odcinając je od Rosji i na jakieś półtrzecia tygodnia przed zajęciem przez Niemców Wilna. Kotuńka naturalnie musi pisać ostrożnie, aby cenzura wojenna listu nie skonfiskowała. O Papie kochanym pisze tak: „Niedawno miałam jeszcze przekaz od Papy kochanego ze 100 rublami z Jezioros, pisany po rosyjsku, bo inaczej nie wolno. Papuś pisał, że się spowiadał i testament napisał i wraca do Bohdaniszek, nas Bogu polecając i błogosławiąc. Biedny Papusiek ciężkie dni przebywa w samotności z Kazimierzem, bo ekonom z żoną odjechali. Mary miała wrócić, lecz ugrzęzła w swym mieszkaniu zimowym (w Wilnie) i stamtąd pisała bodaj ostatni raz do nas. Teraz tylko z Elwirą korespondować będę i to nie wiem, jak długo”. W tych kilku wierszach zawiera się dla mnie całe „clou” wiadomości, z których jak z kłębka wysnuwam i dopowiadam sobie więcej. Oczywiście więc już w tym czasie Papa tylko z Jezioros mógł pisać, bo bliższej już poczty nie było. Do Jezioros mógł Papa pojechać dla sporządzenia urzędowego testamentu; stamtąd wysłał do Kotuni i zapewne

Elwiry listy z błogosławieństwem i jeszcze wysłał pieniądze, to znaczy, że zdołał jeszcze zachować zapas na czarną godzinę, co jest dobrze. Wracał już do Bohdaniszek, zdecydowany stanowczo i definitywnie na pozostanie i zapewne pozostał. Z Papą zostaje pocziwy stary lokaj Kazimierz – i to dobre. Może w tym czasie pozostawała jeszcze służba dworska, ale czy pozostała w samej chwili inwazji – wątpię. Maryńka też już nie zdążyła zapewne wrócić do Bohdaniszek do Papy i została odcięta w Wilnie, gdzie z pewnością doczekała się wejścia Niemców. O Komorowskich nic Kotuńka nie wspomina, ale z tego, że pisze, iż wkrótce będzie mogła korespondować „tylko” z Elwirą, wnoszę, że Komorowscy zdecydowali się zostać w Kowaliszkach, inaczej bowiem i z nimi mogłaby Kotuńka nadal korespondować. Reszta listu Kotuńki – to trochę o sobie i ściślejszej swojej rodzinie oraz rozmaite zlecenia o zdrowiu i szanowaniu się moim, pisane oczywiście dla czujności cenzury. Że to przecie niby ja na kurację wyjechałem²⁵. Z listu tego mam też tę pewność, że władze rosyjskie nie miały żadnych wieści o moim wyjeździe do Austrii i wstąpienia do Legionów, tam bowiem, gdzie władze się o takich faktach dowiedziały, rodziny „winnych” miały z tego powodu tysięczne przykrości.

8 grudnia, rok 1915, środa

Dziś będę kończyć o rabunkach i zniszczeniach na wojnie, o czym przed paru dniami pisałem. Powiadam, że odróżniam ściśle dwa rodzaje zniszczenia: jedno, spowodowane samą wojną, bezpośrednio i pośrednio, to znaczy bądź samym ogniem pocisków, bądź koniecznością walki, jej warunkami, jej celami, i drugie spowodowane swawolą żołnierzy, plądrowaniem i rabunkiem. Pierwsze jest dzikie, pełne strasznej krzywdy i niedoli ludzkiej nieszczęsnym mieszkańcom danej miejscowości, ale fatalne jak sam żywioł wojny. Nie można się nań oburzać, akceptując wojnę samą. Bo wojna jest żywiołem, jest plagą, jak głód i „powietrze” i jak tamte, ma swoje prawa, ma swoje straszliwe konsekwencje i elementy, które jej z konieczności towarzyszą i klęską znaczą ziemię i ludność, których dotkną. Gdy trzeba bronić pozycji i dekunkiem pokryć okop od pocisków armatnich, to się nie można zastanawiać nad tym, czy się komu wyrządza krzywdę, czy nie i czy się narusza jakąś własność przy braniu materiału na dekunek: choćby przyszło przy tym chałupę, siedzibę ludzką rozebrać. Tak samo, gdy trzeba chałupę jakąś spalić bądź dla oświetlenia terenu na placówce, bądź dla oczyszczenia pola ostrzału albo jakiś kawałek lasu wyciąć, albo w ogóle coś dla potrzeb walki zniszczyć. Tak samo koniecznością bywa zajęcie bezwzględne wszystkich chat po wsiach w promieniu linii bojowej na użytek wojsk, dla zalokowania rezerw, koni, trenów itd., choćby przyszło całą ludność z tych chat usunąć. Nie ma też na linii i być nie może względów na własność i krzywdę czyjąś, gdy trzeba płoty i nawet ściany lub strzechy domów wyrwać na palenie ognisk dla żołnierzy lub brać słomę, choćby była nawet nie młócona, na wysłanie okopów, na podściół dla koni itp. Tu ustają wszelkie prawa, wszelkie normalne względy współżycia społecznego. Można oczywiście w tym niszczeniu niezbędnym zachować tę lub inną miarę konieczności, większą lub mniejszą względność. Ale tam, gdzie chodzi o masowe działanie i o wyższy ponad wszystko mus wojny, tam trudno o subtelne cieniowanie. Tam też ustają pojęcia o dobytku jakimś, a zresztą dobytku tam prawie już nie ma. Co innego zaś plądrowanie i swawola żołnierska, tam gdzie musu wojennego nie ma. To oburza, to jest ohydne, nie już jako element wojny, ale jako akt czynu ludzkiego. A, niestety, jest to we wszystkich wojskach upowszechnione i należy przyznać, że warunki życia żołnierskiego na wojnie, ciągle niewygody, niewywczasy, widmo śmierci, które towarzyszy stale żołnierzowi w

²⁵ W staraniach o paszport u władz rosyjskich jako przyczynę wyjazdu podał Römer konieczność podratowania zdrowia za granicą.

jego znojach, włóczędze i niewywczasach, usposabiają ludzi szczególnie do wyzucia się z karbów ładu społecznego. Żołnierz łowi rzadkie chwile wypoczynku lub przemarszu przez jakąś miejscowość nadającą się, aby użyć uciechy, jaką mu ta chwila, może już ostatnia, może dać. Wynagradza on sobie w ten sposób znoje i mękę, staje się egoistą, który chce dla siebie choć trochę czegoś lepszego bez względu na innych, liczy, że mu się należy nagroda za to, co wycierpiał i jeszcze wycierpi i sam ją sobie wymierza. To jest bardzo ludzkie. Jego pragnienia wyprzęgają się z jarzma pojęć i zwyczajów współzycia prawnego, a konieczności wojny, nowe warunki jego życia zmieniają w dużym stopniu same jego pojęcia; przywykł, że na linii wszystko wolno, co trzeba, toteż i poza linią pozwala sobie na to samo. Zresztą niewielki jest zakres tych uciech, w których swawola i samowola jego potrzeb może się wyrazić: tylko zjeść coś smacznego; toteż plądruje w jednym celu – zdobycia smacznego pożywienia: kury, gęsi, masła, mleka, jaj, chleba, miodu itd. Spieszę się bowiem zastrzec, że wypadków gwałtu nad kobietami dla uciech zmysłowych – nie ma, ani wśród Niemców, ani Madjarów, ani Austriaków, ani legionistów. Mogą się zdarzać wyjątki, ale jako reguły tego nie ma wcale. Pod tym względem żołnierze są poprawni i nie wyjarzmiają się z ogólnego ładu współzycia. Że mogą być na to łasi, to co innego, ale gwałtu, tak jak jest gwałt plądrowania w poszukiwaniu przysmaków i zaboru tego, co się da zjeść – nie ma zgola. Powiadam więc, że zrozumieć to plądrowanie żołnierzy mogę, ale usprawiedliwić go jednak i pogodzić się z nim nie mogłem nigdy. Żołnierze na wojnie wytwarzają swoje specjalne pojęcia etyczne i prawne o dobrze i źle, o tym, co wolno i nie wolno, co się godzi i nie godzi, słowem – o stosunkach na linii i na tyłach tak między sobą, jak względem zwierzchności oraz ludności cywilnej. Gdyby ktoś miał czas i możność, mógłby ciekawe studia o prawie zwyczajowym na wojnie w różnych armiach porobić. Byłby to ciekawy przyczynek do analizy zjawisk prawnych i ich genezy w umysłowości ludzkiej. Na te pojęcia prawne i w szczególności na sprawę swawoli i plądrowania oraz stosunku do ludności cywilnej mają duży wpływ oczywiście nie tylko okoliczności i warunki wojny, ale też charakter narodowy danej armii, psychologia ludu, który tę armię składa. Ale żołnierze liniowi nigdy nie są w plądrowaniu i swawoli tak straszni, jak taborcy. Ci to istotnie wyradzają się stopniowo w rabusiów, w których dominować zaczynają instynkty bandyckie, niezbyt już nawet regulowane jakimiś specyficznymi pojęciami prawnymi. Co do Niemców w ogóle, to choć są oni w plądrowaniu bardzo zaawansowani i choć mnie szczególnie zgorszyli w Gorodku jako nowicjusza, który jeszcze nie przywykł był do takich widoków, jednak nie tylko ustępują oni Madjarom (no, oczywiście i Moskałom), ale mają też pewną metodę, która łagodzi ich postępowanie. Biorą oni bezwzględnie, ale prawie wyłącznie tylko drobny inwentarz żywy. Kury, gęsi, świnie i barany nie mają u nich pardonu. Krów zaś samowolnie nie biorą. W ogóle krowy zwykle po wsiach pozostają, czego na razie nie dostrzegałem i stąd był pewien błąd w moich relacjach wojennych. O zaborze krów i koni decyduje zwykle zwierzchność wojskowa, czyli że to się odbywa w ramach rekwizycji i ma przeto charakter łagodniejszy, unormowany odszkodowaniem i względami na potrzeby. Z końmi jest dla ludności gorzej niż z krowami, bo w wojsku tak niemieckim, jak austriackim jest brak takowych i przeto ogromne ich zapotrzebowanie. Czasem za pobrane konie prócz kwitów płatnych oraz rekwizycyjnych, daje się właścicielom jakąś wybrakowaną szkapę z taboru. O ile żołnierze niemieccy biorą dość czynny udział w plądrowaniu, o tyle z drugiej strony Niemcy są mistrzami w organizowaniu ładu i życia gospodarczego na tyłach poza linią, zabliźniając klęski i zniszczenia, spowodowane przez wojnę. O wiele mięksi i względniejsi dla ludności, poprawniejsi w stosunku do sprawy plądrowania są żołnierze austriaccy; najwyżej zaś stoją pod tym względem nasi legioniści. „Plądrowanie”

legionistów, dotyczące niemal wyłącznie opuszczonych chat to są tylko „figle” wobec istotnego plądrowania. Wpływa na to przede wszystkim miękki i z natury bardziej ludzki charakter Polaków. Polacy-legioniści biją się jak bohaterzy, lepiej od Madjarów i nawet od Niemców, a przecie są ludzcy. Jest to dowód, że humanizm natury nie decyduje o waleczności i waleczności. Dokończę jutro.

9 grudnia, rok 1915, czwartek

Jeszcze dziś kończę temat, o którym już od kilku dni piszę. Powtarzam, że legioniści są ze wszystkich żołnierzy w plądrowaniu i swawoli względem ludności najmniej zaawansowani. I to trzeba jeszcze uwzględnić, że ja trafiłem właśnie na najgorszy czas w tej mierze. Albowiem dopóki wojna się toczyła na ziemiach polskich, bądź w Galicji, bądź w Królestwie, plądrowanie i wszelki samowolny zabór czegokolwiek bądź z dobytku ludności były bezwzględnie w Legionach wykluczone. Zakazywały tego surowo nasze władze i sami legioniści stawiali to sobie za punkt honoru. Wszak byli oni tym wojskiem, które szło wyzwalać ziemię polską, które za jej wolność krew swą w ofierze niosło. Musiało więc mieć ręce bezwzględnie czyste. Po wioskach legioniści uświadamiali chłopów polskich, opowiadali im o ideałach Polski wolnej, starali się zyskiwać serca i umysły. Nie wolno było się im splamić czymś, co rabunkiem tchnęło. Za wszystko, cokolwiek brali – płacili zawsze, kupowali właściwie. Grubszy towar, jak świnie, kupowali całym plutonem za wspólne pieniądze, które potracali następnie każdemu z jego żołdu w stosunku do jego udziału. Dopiero na Polesiu rygor ten się trochę rozluźnił, akurat wtedy, gdy ja do plutonu wszedłem. Tu już wyszli oni z terenu Polski właściwej, weszli w kraj ukraiński. Obowiązki ideału i sumienia jakby zelżały, i w żołnierzu, który się dotąd mocą własnej dyscypliny obowiązków trzymał w ryzach ścisłych i przestrzegał doskonałej poprawności, nastąpił pewien naturalny odruch abnegacji i pofolgowania sobie. W tym się bezwiednie wyraziła owa czysta narodowa koncepcja Polski, jaką Legiony dzisiejsze w sprawę Niepodległości i walki o Wolność kładą. Idea Rzeczypospolitej ogarnia zarówno Polskę, jak Litwę i Ruś; w tej koncepcji nie tylko rdzenni Polacy, ale też Litwini, Białorusini, Ukraińcy są uczestnikami tej wolności, o którą walczą, choćby nie cały ten lud posiadał świadomość Sprawy, jak nie posiada go dziś jeszcze cały lud polski. W każdym razie, ludy byłej Rzeczypospolitej nie mogły być obce, jak obcymi są w stosunku do Sprawy jacyś Niemcy, Węgrzy czy Rumuni. Tymczasem ze stanowiska współczesnej koncepcji legionistów polskich, przynajmniej ich masy, koncepcji, która jest na wskroś narodowościową, Sprawa ogranicza się do Polaków i narodowego państwa polskiego, a Rusini już są dla nich obcy, Wołyń i Polesie – to już kraj obcy, nie bardzo odróżniany od Rosji właściwej i rdzennej. To ułatwiało legionistom wyzucie się z poprzedniego ścisłego rygoru, z jakim się zachowywali wobec ludności na ziemiach rdzennie polskich. Tu już, w opinii większości przynajmniej, ustawały ich obowiązki czystych apostołów idei i wolności. Idea wyrażała się już tylko w walce z Moskalami, ale nie w stanowisku obywatelskim wobec ludności i wobec tego kraju. Tu już w stosunku do ludności byli oni tylko żołnierzami obcej armii, jak Niemcy i Austriacy – i niczym więcej. A gdy odpadły te szczególne względy obowiązków i sumienia, które normowały stosunek do ludności na ziemiach Polski, droga do plądrowania była otwarta. Przykładów zresztą i nauki pogładowej nie brakło. Niemcy i Madjary pokazali, co na tej drodze zrobić można. A jednak pomimo to plądrowanie i swawola rabunku nie rozwieliły się w zwyczajach legionistów. Do rabunku, do jawnego zaboru – nie przyszło nigdy. Przed tym się po prostu wzdygał każdy legionista i to by było skarcone odruchowo przez kolegów. Były tylko małe chwyty kur, gęsi, czasem nawet świń oraz innego drobnego dobytku, zawsze tylko ukradkiem, ze wstydem wobec właściciela.

Powtarzam, że były to tylko „figle” w porównaniu do istotnego plądrowania. Plądrowano szczerze i otwarcie tylko opuszczone gospodarstwa. A jednak dla mnie i te „figle” były bolesne i rażące. Występowałem przeciwko nim zawsze i nigdy się z nimi nie mogłem pogodzić, szczególnie wobec skali wymagań etycznych, jaką w stosunku do legionistów zgłaszałem. Dlatego też zawsze wołałem, gdy był marsz albo jakaś służba, niż gdyśmy się zatrzymywali na dłuższy postój w nowo zajętej wiosce, gdzie było pole do plądrowania i gdzie próżnowanie usposabiało do tego. Choć służba była męcząca, ale przecież szlachetniejsza i piękniejsza w zwierciadle dusz ludzkich od tego miazmatu instynktów plądrowniczych, które się z próżniactwa lęły. Tu także muszę zaznaczyć, że skłonność do plądrowania przeważała zawsze u nowych żołnierzy, u Lubliniaków tej kategorii, co Zięba, Szyszkowski, Machaj, poniekąd Kwiatkowski, Bieniak, u starych zaś żołnierzy nigdy się w większym stopniu nie zaznaczała, przeciwnie – budziła raczej niechęć; wyjątek stanowili tylko Mich, Iobuz Pachuta, Maniecki, którzy żyłkę do plądrowania mieli zawsze, mimo że byli starymi żołnierzami. Zresztą wkrótce przeciwko plądrowaniu, które się na razie trochę rozpasало, nastąpiła w samym poczuciu legionistów reakcja, która je niemal całkiem stłumiła. Już po cofnięciu się spod Kostiuchnowki, w Gorodku, a jeszcze bardziej w Trojanówce na wypoczynku plądrowanie ustało zupełnie w naszych szeregach i wszelkie instynkty w tym kierunku wyjałowiły się. Nastąpiło to zupełnie odruchowo, bez żadnego nacisku skądkolwiek, drogą jakiejś śmierci naturalnej instynktu, tak jak zamiera moda. Po prostu przestało być „modne”, stało się raczej źle widziane – i zamarło. W Czersku na przykład, gdzieśmy przed wypoczynkiem w Trojanówce dzień stali i gdzie było dużo wszystkiego do brania i plądrowania, wzorowe było zachowanie się; brano tylko to, co kupiono i nic więcej. Instynkt plądrowania i zaboru dobytku ludności nie zdołał się wśród legionistów uobywatelić. I cześć im za to! Bo nie zapominajmy, że żołnierz na wojnie jest bardzo narażony na tę pokusę. Trzeba wielkiego hartu lub wielkiego instynktu moralnego i obywatelskiego, aby instynkt rabunku nie rozwielił się w zwyczajach. Jutro, jeżeli nic innego ważniejszego nie będzie, kontynuować będę charakterystykę moich kolegów z plutonu.

10 grudnia, rok 1915, piątek

W czasie obiadu zostałem dziś wezwany do Obersztabsarcta („Oberstabsarzt”, czyli naczelnny lekarz sztabowy – jest to taka ranga wyższego lekarza wojskowego w armii austriackiej; na czele każdego szpitala wojskowego stoi Obersztabsarct). Obersztabsarct, którego dotąd nie znałem, przyjął mnie w gabinecie swoim bardzo uprzejmie i pokazał mi papier otrzymany z Krakowa, w którym jeden ze szpitali krakowskich reklamuje mnie do siebie. Zrozumiałem, że to jest skutek starań pocziwego Sokolnickiego, który na moją prośbę zajął się sprawą sprowadzenia mnie do Krakowa. Do reklamacji tej, jako jej umotywowanie, załączona jest prośba niejkiej Anieli Krzyżanowskiej²⁶, która prosi szpital krakowski o sprowadzenie mnie jako rzekomo jej krewnego, bym mógł być bliżej rodziny. Żadnej Anieli Krzyżanowskiej nie znam, ale ponieważ szablon praktyki szpitalnej wojskowej uznaje takie przenoszenie z jednego szpitala do drugiego na wskutek starań rodziny, więc oczywiście Sokolnicki uprosił tam jakąś zacną panią Anielę Krzyżanowską, aby wystąpiła okolicznościowo w roli mojej krewniej. W reklamacji o przeniesienie reklamujący szpital dodaje zawsze zastrzeżenie: „o ile chory jest wolny od zaraźliwości i zdatny do przewiezienia”. Owóż Obersztabsarct obejrzał mnie i znalazł, że moje ranki, którem miał od świerzb

²⁶ Prawdopodobnie chodzi o Anielę Krzyżanowską (1883-1958), żonę znanego księgarza krakowskiego Mariana Krzyżanowskiego. W 1915 r. była sekretarzem Naczelnego Zarządu Ligi Kobiet NKN oraz w Departamencie Organizacyjnym NKN.

nogach i poniekąd na ciele, choć się zagoiły, jeszcze nie wybielały zupełnie. Wobec tego odłożył jeszcze decyzję na dni kilka. Rozpytywał mnie bardzo uprzejmie, o co mi chodzi, po co mam się do Krakowa przenosić, kim jestem itd. Powiedziałem mu wszystko, co jest, powiedziałem, że chodzi mi o urlop do Wilna, który przez moje stosunki w N.K.N. spodziewam się załatwić skutecznie w Krakowie itd. Naczelny lekarz proponował mi, że sam się o urlop postara dla mnie, przesyłając do odpowiednich władz opinię swoją o udzielenie mi urlopu, ale, dziękując mu, odpowiedziałem, że pewniejszą mi się wydaje droga prywatna stosunków z N.K.N., niż formalna droga urzędowej prośby o urlop. Stało na tym, że za kilka dni naczelny lekarz (Obersztabsarct) ma mnie znów obejrzyć i zdecydować o mojej jeździe do Krakowa. Mam więc nadzieję, że może wkrótce uda mi się wreszcie dotrzeć do Krakowa i pchnąć naprzód sprawę mojej jazdy do Wilna. Jedno mnie wszakże tylko niepokoi, czy lekarz naczelny zdecyduje się na wysłanie mnie do Krakowa. Ranki moje ze świerzbu, które miałem, wszystkie się już zagoiły i zaschły kompletnie, ale pozostały po nich blizny ciemniejszej od skóry barwy i te nie ustępują, nie znikną; kto wie, jak długo pozostaną one na ciele, bo dotąd nie dostrzegam bynajmniej ich zaniku, a lekarz naczelny chciałby, aby nie było już żadnych śladów na skórze. No, będzie, co Bóg da. Przechodzę teraz do dalszego ciągu charakterystyki moich towarzyszy broni z naszego dawnego plutonu. Dziś będę mówić z kolei o obywatelu Knapczyku. Knapczyk, w wieku lat mniej więcej 23, jest z pochodzenia chłopem góralem z okolic podatrzańskich, mianowicie gdzieś od Mszany Dolnej. Jest sierotą, ma jeno ciotkę w swojej wsi rodzinnej. Wiem, że ma brata także w Legionach – w pułku IV czy też w II Brygadzie. Należał przed wojną do organizacji strzeleckich, ma więc przygotowanie militarne i podkład ideowy. Był w plutonie naszym jednym z tych nielicznych, jak nieboszczyk Kosa, kapral Papiz, Kruszyna, którzy wstąpili do szeregów zaraz po wybuchu wojny, jeszcze przed formacją Legionów, jako strzelcy polscy pod wodzą Piłsudskiego. Wszakże w plutonie legionišci nasi, nie wyłączając Borysławiaków, którzy znacznie później zaciągnęli się do szeregów, odmawiali mu zwykle tego zaszczytnego tytułu starego żołnierza z najstarszej wiary, a to z tego powodu, że Knapczyk bardzo długo chorował i tłuł się po szpitalach na tyłach, na linii zaś był względnie krótko, znacznie krócej od tych, którzy wstąpili później od niego. Opuścił całą zeszłoroczną kampanię zimową, która pochłonęła mnóstwo trudów i znojów żołnierskich. Nie można mu tego jednak brać za złe, bo był przecie chory. Jaki był zawód Knapczyka w życiu cywilnym, tego dokładnie nie wiem, mimo że byłem z nim w dość bliskich stosunkach w wojsku. Był on jednym z pierwszych kolegów, z którymi się poznałem przy wymaszerowaniu z Kowla. Udzielał mi najelementarniejszych informacji, pierwszych wskazówek – o kolegach, o stosunkach w plutonie, o zwyczajach i technice wojennej. On i Mars – to byli moi pierwsi mistrze w zawodzie żołnierskim. Był dla mnie zawsze bardzo uprzejmy. Czy Knapczyk był gdzieś w szkołach czy też samoukiem – tego nie wiem, ale w każdym razie ma pewne początki ogólniejszego wykształcenia, łaknie wiedzy i interesuje się nią; nie są mu obce żadne zagadnienia; chwyta zewsząd chciwie elementy wszelkiego poznania i reaguje na wszystkie zagadnienia, choć takowe nieraz przekraczają zakres jego umiejętności i nabytej inteligencji. Ta żądza poznania, te żywe odruchy myśli i inteligencji stanowią jego cechę dodatnią i sympatyczną. Lubi rozmawiać, rezonować i dyskutować, choć tu mu są przeszkodą jego naturalne braki wymowy, jąkanie się, zacinanie się na słowach, ciągły brak wyrazów, jakby się ciągle przerywała ciągłość jego myśli. Jest góralem, ale nie ma w sobie nic z góralskiego typu duchowego – tej wyniosłości, dumy, jakiejś wspaniałej wielkości i potęgi ducha, które cechują, przynajmniej w przeciętnym pojęciu, typ górala. Przeciwnie, jest on małostkowy, drobiazgowy, ma skłonność do

pedantyzmu. Stąd płynie jego obraźliwość, pewna zgryźliwość w stosunkach z ludźmi i kolegami, nieumiejętność współżycia, wreszcie pewna sklepikarska rachunkowość w wymianie usług, nawet koleżeńskich, oraz ambicyjka drobna, pewna uszczypliwość i nieufność do ludzi. Dla tych cech jest niepopularny i mało lubiany w plutonie, dość lekceważony przez starszych żołnierzy-kolegów. Knapczyk łączy w sobie cechy sympatyczne z niesympatycznymi. Ma niewątpliwie aspiracje ideowe, ale pewnymi wadami charakteru nie dorósł do poziomu wielkiego człowieka idei. Ma wybitne zdolności rysunkowe, ma talent nawet, ale surowy, niewyrobiony, trochę już zmanierowany. Talent jego zaznacza się w kierunku portretowania, jednym z najrzadszych i najtrudniejszych. Sam on ma bardzo wysokie pojęcie o zdolnościach swoich, choć udaje skromnego, to jednak ostra krytyka lub zbagatelizowanie jego talentu byłoby dlań najboleśniejszą urazą. Mam trzy małe szkice podobizny mojej na kartkach, rysowane okolicznościowo na poczekaniu przez Knapczyka. Są one wcale niezłe jako szkice. Niektóre udają mu się bardzo dobrze, inne – marnie. Jest to talent technicznie zupełnie nieukształcony. Jutro dokończę o Knapczyku i będę pisać dalej – o Pachucie.

11 grudnia, rok 1915, sobota

Dalszy ciąg charakterystyki moich towarzyszy broni z naszego dawnego plutonu. Słówko zakończenia jeszcze o Knapczyku. Pisałem o jego zdolnościach artystycznych do rysunku. Zdolności te z natury są dość wybitne, ale nie wykształcone, a raczej psute przez samego Knapczyka. Bywają talenty tak wielkie, że są przy wszelkich okolicznościach, bez odpowiedniego kształcenia – *in crudo* – wznoszą na wielkie wyżyny twórczości genialnej. Talent Knapczyka nie jest tej miary, choć sam on ma o nim pojęcie przesadnie wygórowane. Zdolności Knapczyka, by się rozwinąć, wymagałyby kształcenia, a przynajmniej inteligentnego ich użytkowania. Tymczasem Knapczyk nie ma tyle inteligencji, aby swój talent, który tak ceni, na poziomie ciągłego rozwoju utrzymać. Marnuje go sam przez to, że wykonywa szkice portretowe rozmaitych osób, których względy chce dla tych czy innych powodów pozyskać lub dla których ma jakieś długi sympatii i wdzięczności i stara się przy tym swój talent do upodobań i kaprysów portretowanych osób nagiąć, upiększając ich twarze, maskując lub uwydatniając jakieś szczegóły rysów itd. Talent swój oddaje na usługi względów spekulacyjnych, zaniedbując jego prawa i wymogi, wykoślawiając jego twórczość, nie licząc się z naturą i cechami swego talentu. To ujarzmianie surowego talentu gwoźli przeróżnym upodobaniom i kaprysom zewnętrznym kaleczy go w samym zawiązku i oczywiście psuje. Obserwowałem to dużo razy, ale nie mogłem zwrócić Knapczykowi uwagi, bo na tym punkcie jest on bardzo drażliwy i wnet się obrazi. Tak więc w osobie obywatela Knapczyka mieliśmy w plutonie naszym samorodnego artystę, marnującego co prawda swój talent, jak się zresztą tyle innych talentów po ludziach marnuje bądź z braku środków do ich wykształcenia, bądź z braku inteligencji ich posiadaczy. W zakresie kwalifikacji wojskowych był Knapczyk niezłym żołnierzem, starannym i uważnym, przejętym zawsze wagą powierzonego mu obowiązku; szkodził mu tylko nadmiar imaginacji i płynąca stąd przesadność w obserwacji i wnioskach. Tyle o nim. W ataku pod Jabłonką został ranny i odjechał na tyły.

Z kolei przechodzę do obywatela Pachuty. Jest to też w swoim rodzaju artysta, jak Knapczyk, jeno artysta nie ołówka i pędzla, ale gestu i ruchu w sztuce naśladownictwa ludzi i wyobrażania scen rodzajowych. Jest to raczej talent sceniczny w komicznym rodzaju, nigdy zresztą na estradzie nie produkowany, wyłącznie w doraźnej improwizacji dla uciechy własnej i dla zabawienia innych swobodnie się objawiający. Pachuta, jeżeli się nie mylę, należy do kategorii Borysławiaków, w tym znaczeniu, że

razem z nimi czy może tylko jednocześnie się do Legionów zaciągnął, pochodzi zaś ze Lwowa i jest znakomitym typem łobuza lwowskiego. Z zawodu jest rzemieślnikiem, malarzem; lat ma ze 20. Ma twarz bardzo ładną, moim zdaniem – piękną nawet i niezmiernie wyrazistą oraz charakterystyczną. Podobny jest do Cygana czy do górala co najmniej; twarz ma suchą, nerwową, cerę ciemną, nos wydatny i ładnie zarysowany, oczy czarne, niezwykle wyraziste i sprytne, włosy czarne i bujne. Jest w jego wzroku i całym wyrazie twarzy coś wesołego i ironicznego zarazem, a układ ust jeszcze bardziej podkreśla tę cechę; zdaje się, jakby zawsze uśmiech igrał na jego twarzy, ale nie jest to uśmiech zwykły, jeno pełny figlarności, sprytu i zarazem inteligencji. Istotnie też jest wesoły i inteligentny z natury. W ruchach jest zwinny, zgrabny, sprężysty, choć wielkiej siły fizycznej nie ma, bo jest wymęczony długą wojną i zagrożony suchotami. Dowcipny jest bardzo, umie znakomicie uchwycić charakterystyczne cechy każdego, wyczuć w każdym jego słabość główną, zwłaszcza też komiczne rysy każdego i odtworzyć je w głosie, ruchu, wyrazie, naśladować go do złudzenia wiernie. Pachuta ma swoje namiętności, jak gra w karty, wielka wrażliwość na wdzięki niewieście. Są też w nim pewne cechy przesądów tajemniczych, jakichś niezgłębionych kaprysów upodobań, sympatii i antypatii, w ogóle działania podmiotowych wpływów na umysłowość i psychikę. Pomimo zmęczenia i słabego zdrowia, tryska cały łobuzerią uliczników lwowskich w najlepszym zresztą stylu. Złośliwości jednak nie ma w nim prawie wcale; przeciwnie – jest raczej łagodny z natury i pogodny; czasem się zniecierpliwi, ale nie ma w tym złości i zaciętości; owszem, zaraz po zniecierpliwieniu lub chwilowym gniewie nagle się w nim jakaś strunka komiczna zbudzi i zaleje go wnet humorem i dowcipem. Jest to zdolny i bardzo miły typ człowieka. Wspomniałem przed paru dniami, mówiąc o płądrowaniu, że Pachuta był jednym z tych starszych żołnierzy, którzy mieli żyłkę do chwytania cudzej własności. Tak, to prawda: złapać ukradkiem kurkę, upolować na wiosce gęś albo nawet świnkę na rzecz plutonu, rozbić ul z pszczołami dla miodu – to Pachuta lubił; był to jego sport, w którym się natura łobuza i figlarza budziła. Ale serce miał dobre i do brutalnego jawnego rabunku nie był zdolny. Nie krzywdził też nigdy słabszych i pośledniejszych kolegów spośród Lubliniaków, jeno nie lubił ślamazarności i szydził, gdy ją spostrzegał. Pomimo że był tak wesoły, dowcipny, towarzyski i był w plutonie lubiany, z nikim nie wiązał się specjalnie przyjaźnią lub tak częstą wśród żołnierzy spółką i zawsze wystarczał sam sobie. Gdym odchodził do szpitala, Pachuta był zdrow i był w szeregu. Teraz Czerniawski mi pisze, że nikt z byłych moich kolegów już nie pozostał w linii. Co się stało z Pachutą – nie wiem.

Może zmieszczę tu jeszcze o obywatelu Garbieniu. O nim niedużo mam do pisania, bo zresztą znam go mało, i nie był to typ, który by mnie interesował. Był to Lwowiak w wieku lat ± 20 , przyjaciel i zdaje się osobisty znajomy z dawnych czasów Partyki. Gdym wstąpił do plutonu, nie było go: był we Lwowie na urlopie razem z podporucznikiem Kozickim i razem z nim wrócił, gdyśmy stali w Kostiuchnówce. Podobnie jak Partyka, był to gbur, brutal nawet, dogadzający tylko sobie, egoista; miał jednak pozory większej ogłady, niż przyjaciel jego Partyka: umiał się zdobyć na większą kurtuazję, choćby tylko pozorną, w ogóle mniej był nieco wulgarny. Ale na ogół był tak samo niewybredny w łajaniu, w ordynarnym klęciu, pamięta zawsze tylko o sobie, a nigdy się nie zatroszczy o innych, nigdy dla innych nie robi ustępstwa z czegoś, co jemu jest wygodne, jest gruboskórny, mało inteligentny i z natury cham. Z Partyką jest w przyjaźni, ale jest to przyjaźń bez żadnej iskry poświęcenia wzajemnego; przyjaciele się łąją od ostatnich słów, ale się nie obrażają nigdy i po kłótni i wyzwiskach są znów w zgodzie doskonałej.

12 grudnia, rok 1915, niedziela

Podsumowując w samotności i ciszy szpitala moje wrażenia z Legionów, muszę stwierdzić, że nie zawiodłem się na nich. Zapewne – legenda jest zawsze piękniejsza od rzeczywistości, ma od niej więcej kolorytu tęczowego, ma więcej blasku i plecie swoją tkankę z samego wyboru elementów pięknych, szlachetnych, wielkich, odrzucając to, co brzydkie, nędzne i ułomne. W legendzie nawet szara powszednia męka służby żołnierskiej, te wszystkie placówki i marsze, klęcie znużonego żołnierza, jego chwile szarżyny i tępego znoju – nabierają barw i podnoszą się do stopnia ciągłości bohaterskiej. Ataki krwawe, sama nawet śmierć, która jest w naturze rzeczą niewypowiedzianą brzydką i pełną okrutnego szyderstwa nad duchem człowieka – mają wielkość świąteczną, pełną wyniosłej wspaniałości. Ludzie są w legendzie odarci ze swej nędzy, ze swych ułomności ludzkich i w blasku wielkiej Sprawy, której z siebie ofiarę złożyli, świecą jak czyste gwiazdy. W rzeczywistości, z bliska, w szarzyźnie codziennej życia i męki na linii, rzeczy wyglądają naturalnie inaczej. Obok przeczystych blasków jest brud, obok świetnych wyżyn jest nędza i marność tysiąca szczegółów, i w ludziach – świecznikach ofiary plenią się wady, małostki i instynkt-zbrodnie. Wspaniałe nawet, sięgające samych szczytów ducha obrazy bohaterstwa, śmierci, momenty walk – mają w sobie w praktyce dużo szpetnego, zgoła dalekiego od wielkości. Wszelkie gady podłe pełzają po żywych sercach ludzkich obok najszlachetniejszego kruszcu ducha. Inaczej być nie może, bo doskonałości wyśniewanej nie bywa w praktyce rzeczywistości. I kto ma rację, kto jest z dwojga prawdziwszy: Legenda czy Rzeczywistość? Zdaje mi się jednak, że legenda, bo ona bierze to, co istotne, co nieprzemijające, co wielkie i wyzwolone z pozorów. Rzeczywistość oplata istotę rzeczy miliardem głupstw i zasnuwa głąb tak, jak powierzchowna siatka znikomej zieleni-pleśni zasnuwa stawy wód. Rzeczywistość banalna dla pustego widza daje przewagę pozorów nad prawdą i zmysły jego wprowadza w błąd. Każda wielka rzecz, wielki czyn – ma swoją wielką legendę i ta jest jego prawdą, jego istotą najgłębszą. Pamiętam, jakem dopiero przyjechał z Litwy przez Rumunię do Austrii. Legionów nie widziałem jeszcze, znałem tylko ich legendę, wyczutą tam, w dalekiej Litwie, pod pełnią władzy moskiewskiej. Jechałem do nich z wiarą w ich legendę, z wolą urosłą na cichym wileńskim cmentarzu nad Aninki grobem, z naszego, jej i mego ducha wykwitła. Legionisty nie widziałem jeszcze dotąd żadnego. Ujrzałem ich po raz pierwszy w Wiedniu, gdy jechałem na nabożeństwo, odprawiane przez biskupa Bandurskiego za poległych pod Rokitną. Tegoż dnia wracałem wieczorem skądś tramwajem do hotelu mego; stałem na peroniku zewnętrznym; obok mnie stał młodziutki legionista w swej maciejówce z orzełkiem polskim; był widocznie ranny, bo rękę miał zawieszoną na przepasce i obandażowaną. Na jakiejś głuchej ulicy, nie dojeżdżając do Mariahilferstrasse, wysiadł z tramwaju; porwała mnie nagle jakaś chęć, coś jakby instynkt, który przemknął mi wichrem przez głowę, wysiąść za nim i złożyć w osobie jego hołd dla tych Legionów przez proste, powiem nawet – dziwaczne, ucałowanie mu ręki bez żadnego słowa. Nie zrobiłem tego, wstrzymał mnie bowiem inny instynkt – instynkt zwyczajów i konwenansu, a tramwaj pobiegł dalej. Przemknęło mi to przez myśl i umarło niewykonane, ale pozostała mi pamięć tej chwili. To jest miarą entuzjazmu mego dla Legionów, gdy jechałem ich zgoła poza legendą nie znał. I cóż? Teraz po ich poznaniu, po przebyciu w nich osobiście półtora niemal miesiąca na linii, po przyjrzeniu się całej rzeczywistości z jej pozorami małostek i rzeczy brzydkich, nie zawahałbym się, gdyby to miało być miarą prawdziwą hołdu, ucałować ze czcią i powagą ręki nie tylko najlepszego z legionistów, ale nawet takiego oto obywatela Partyki, tego gruboskórnego i osobiście mało wartościowego człowieka. Jest bowiem dostojność bohatera i czynnego wyznawcy w każdym z tych ludzi, jakikolwiek by on

skądinąd osobiście był. Nie przeczę, że mogą być tacy, którzy jeszcze tej dostojności nie posiadli i którzy jej nie posiadą nigdy. Do takich należą przede wszystkim np. taborcy. Tych, a przynajmniej ich ogół, wykluczam instynktem i świadomością ich natury ze szranków Legionów. Może i wśród nich są tacyż dostojni idei czynni wyznawcy, ale dla mnie są oni obcy, są dalecy, są od Legionów murem oddzieleni. Tak, tak. Nie zwątpiłem w Legiony, nie straciłem wiary w ich Legendę piękną i prawdziwą, choć się wielu brudom „Rzeczywistości” przyjrzałem. I mam wrażenie, mam w sumieniu moim przekonanie, że nie błądzę przez to i że właśnie tak się należy.

13 grudnia, rok 1915, poniedziałek

Dziś po całomiesięcznej przerwie wyszedłem ze szpitala na miasto. Gdym się dostał tu do tego wydziału (urzędowo: Obiektu) Landwehrszpitala, sądziłem, że wychodzenie stąd na miasto jest zakazane, bo nie widziałem żadnego z chorych wychodzącego, a szpital ten uchodzi za szpital dla cięższych chorych. Przykład dali mi dopiero obecni sąsiedzi w pokoju, legionieści Kuźmiński i Mieszkowski, młodzi chłopcy i właściwie już zupełnie wyleczeni z ran, którzy regularnie co dzień wybiegają na miasto, a często nie są nawet obecni przy wieczornej wizycie lekarskiej. Wreszcie sam Obersztabsarzt podczas rozmowy czwartkowej zachęcił mnie do wychodzenia na przechadzkę na miasto. Byłbym to już nawet wcześniej zrobił, ale miałem w płaszczu szpetną dziurę, wypaloną przez nieuwagę przy piecu. Musiałem więc dopiero krawca wojskowego sprowadzić, który mi na dziś dziurę w płaszczu załatał, i to tak świetnie, że łaty nie znać wcale. Wyszedłem więc dziś, choć powietrze było ohydne, padał mokry śnieg z wiatrem i błoto było okropne. Dużo na mieście do robienia nie miałem; posiedziałem jeno w kawiarni, kupiłem parę potrzebnych rzeczy i wróciłem za jakąś godzinę do szpitala. Ale sama przechadzka stanowiła główny cel w sobie i zrobiła mi bardzo dobrze; nawet te grudniowe słotne powietrze odświeżyło mnie i orzeźwiło; powietrze działało na mnie podniecająco, jak prąd zdrowej energii. Będę teraz wychodzić częściej. Wracam znów do mych wspomnień legionowych, którymi, korzystając z braku innych aktualnych tematów w szpitalu, uzupełniam mój dziennik wojenny. Wspomnę tu o pewnym wrażeniu moim z pierwszych dni pobytu w plutonie. Piechotę zawsze – i zupełnie zresztą słusznie – uważałem za tę część wojska, która jest najbardziej narażona na straty, na niebezpieczeństwo i śmierć. Gdym szedł do Legionów, nie przypuszczałem, że zostanę do piechoty przydzielony. Nie dlatego wcale, abym się osobiście bał niebezpieczeństwa, ale dlatego, że sądziłem, iż będę do niej najmniej zdatny, tak z powodu wzroku, jak zupełnego braku wyćwiczenia, i że po prostu nie podołam. Opisałem już w swoim czasie w dzienniku rozmowę moją z Piłsudskim, która zdecydowała o wstąpieniu moim właśnie do piechoty. I oto znalazłem się nagle w środowisku tych właśnie żołnierzy, na których z daleka widziałem zawsze jakby piętno wiszącej nad nimi śmierci: „*Morituri!*”. Wyszedłem z nimi z Kowla, zapoznawałem się z nowymi towarzyszami, przyglądałem się ich środowisku – a zawsze miałem o nich tę jedyną tkwiącą myśl-wrażenie, że to są „*morituri*”, ludzie żywi, prowadzeni na trzeźwo na rzeź; oto rozmawiają między sobą, oto dyskutują, oto się posprzeczą o coś, oto klą, oto wszy ich trapią, oto na postoju kopią kartofle, aby zaspokoić swoje apetyty, oto czytają, śpią i jedzą jak zwykli ludzie, jak ci, którzy mają przed sobą dziesiątki lat spokojnego życia i żadnej jeszcze troski o śmierć; a przecież nad każdym z nich wisi ta śmierć na włosku i czyha na niego jak na swą prawowitą ofiarę. Wydawało mi się to jakieś dziwne, nienaturalne, tajemnicze, jak zaiste wielką tajemnicą jest życie, rodzące się i pleniące wśród śmierci, zamykające groby nowymi pędami zwycięskich porostów. I wydawało mi się coś dzikiego i ohydneho w tym żywiole wojny, coś zgola bestialnego i niemoralnego w tym, że oto się żywych, młodych ludzi prowadzi świadomie i

brutalnie na śmierć, na krwawą rzeź; tu się ich karmi, tu się o ich pewne elementarne potrzeby dba, a tu przecież na śmierć się ich wydaje, na krwawą mękę, na dziką orgię tępienia; a każdy z tych ludzi jest dla siebie światem, ma swoje rodziny, swoje uczucia i tęsknoty, swoją teraźniejszość i przyszłość, co się wszystko w jego życiu zamyka i streszcza i co przez śmierć brutalnie zostaje przecięte, unicestwione. Straszne to, tajemnicze i jakieś pozaludzkie, niemoralne. Nie mogłem się z tym na razie oswoić; rozumiałem umysłem, ale uczuciem i instynktem nie mogłem pojąć, nie mogłem tej tajemnicy, tego dziwnego zjawiska rozwiązać. Wiedziałem przecie, że Legiony mniej od innych jakichkolwiek wojsk są spętane, bo to są żołnierze ochotnicy, których własna wola, własna wiara, własna idea, a więc to, co właśnie jest najistotniejsze w ich życiu, tu skupiła i do tej walki pchnęła. Że więc nawet w tej ewentualnej śmierci, która ich czeka, jest akt najwyższego wykwitnięcia ich życia, akt zwycięskiego życia. Wiedziałem przecie, że każdy z nich, a przynajmniej niemal każdy jest jak ja. A jednak nie mogłem się z tym oswoić i przez kilka dni żyłem w tym środowisku pod tym przemożnym wrażeniem. Takie było dominujące moje wrażenie instynktu przy zetknięciu się w praktyce ze środowiskiem żołnierzy na linii. Po kilku dniach to się zatarło i później wrażenie to już nie wracało do mnie. Oswoilem się, poznałem i wyczułem wspaniałą ciągłość życia, jego większą moc od mojej śmierci, nawet na wojnie, wreszcie z rozmów z żołnierzami i ze zgłębiania psychologii ludzi na wojnie pojąłem i wyczułem znikomość strat, które zmalały zgoła przy zrozumieniu ich istoty.

14 grudnia, rok 1915, wtorek

Dziś znowu wyszedłem na miasto. Wykąpałem się w wannie, odwiedziłem kawiarnię, kupiłem gazety i wróciłem do szpitala. Będę się starał, ile możliwości, co dzień wychodzić na miasto.

Wracam do dalszego ciągu galerii typów legionistów z naszego plutonu. Dziś pisać będę z kolei o obywatelu Grzmocie, najlepszym przyjacielu moim w plutonie, z którym kochaliśmy się najserdeczniej. Była to oryginalna przyjaźń – najstarszego z najmłodszym. Ja bowiem, mężczyzna 35-letni, miałem palmę pierwszeństwa „sędziwego” wieku w plutonie (obdarzany byłem czasem z tego względu tytułem „Wujka” przez kolegów, a Guc odezwał się nawet raz do mnie na samym początku „staruszkę”!), Grzmot natomiast należał do najmłodszych, bo miał lat 18, a nie było nikogo w plutonie, kto by miał mniej lat niż 18. Ale wspólność poziomu kultury, pewien dobór cech charakteru, pewne upodobania i tendencje pokrewne, a nade wszystko ten instynkt sympatii, który trudno sformułować i uzasadnić, zbliżył nas serdecznie do siebie, mimo różnicy wieku. Grzmot – to był pseudonim; właściwe nazwisko Grzmota było Konaszewski, imię zaś – zdaje się Józef, bo słyszałem, jak go raz jakiś legionista, jego dawny z Lublina znajomy, nazwał „Józikiem”. Dla mnie wszakże był on i pozostał Grzmotem, w spieszczeniu Grzmocikiem; przybrane to imię zastępowało tak imię chrzestne, jak nazwisko. Grzmot był Lubliniakiem. Kim są jego rodzice i do jakiej klasy społecznej należą – tego nie wiem, bo się go nigdy o to nie rozpytywałem; Grzmot nie lubił zresztą rozmów na tematy rodzinne i zawsze też sam unikał wypytywania mnie o moje stosunki domowe; dlaczego to tak było między przyjaciółmi – nie potrafię określić, w każdym razie, od Grzmota to pochodziło; pamiętam, że ile razy wspominałem coś Grzmotowi o moich stosunkach rodzinnych, zawsze słuchał on mnie jakoś obojętnie i sucho, jakby nie słyszał. Nasze rozmowy, nasze obcowanie duchowe streszczało się w sferze naszych myśli, wrażeń, aktualności życia, ewentualnie nawet jego powszednich szczegółów oraz w sferze ideałów, dążeń i pragnień ludzkich. W każdym razie, Grzmot pochodził ze środowiska inteligenckiego i rzetelnie kulturalnego; znać to było na jego charakterze, zwyczajach, upodobaniach, na

całym jego układzie intelektualnym i duchowym; nie było w nim ani krztu prostactwa, ani najlżejszej skazy ordynarności i chamstwa. Przeciwnie – przez swój charakter wyniosły, dumny, pełny wielkiej godności pomimo bardzo młodego wieku, zdawał się on być dzieckiem wysokiej kultury, osnutej na tym arystokratycznym szlacheckim pierwiastku, który tak wybitnie cechuje inteligencją kulturę polską. Znać też było na nim staranne wychowanie i wybitny wpływ domowy, może nawet nieco cieplarniany. Była to dusza subtelna i delikatna, jak zwykle w naturach dumnych, które są wewnątrz wrażliwe bardzo i czułe. To nie przeszkadzało jednak, że pod względem fizycznym był to chłopiec zahartowany, wytrwały, o bardzo rozwiniętych i tęgich zmysłach i odporności na wszelkie niewygody, co go robiło znakomitym materiałem wojskowym na żołnierza. Wzrok miał doskonały, miał zmysł spostrzegawczości, doskonałe zdolności orientacyjne, trzeźwość rozważań itp. Wspomniałem raz w dzienniku, gdym jeszcze nie tak dobrze poznał Grzmota, że pochodzi on z klasy najwyżej średniej, a miałem tu na myśli właśnie poziom sfery inteligentckiej. Stanowczo tak nie jest. Środowisko, które wydało Grzmota i które go wychowało, to znaczy nade wszystko jego rodzina – musiało należeć do wysokich poziomów sfery inteligentckiej, raczej może kulturalnej. Nauka szkolna, wykształcenie – mogłoby w nim wyrobić tylko inteligencję, tylko wyższy zakres pojęć, ale nie zatarłoby całkowicie elementarnych cech duchowych niższego pochodzenia, a zwłaszcza nie rozwinięłoby tych delikatnych, jakby cieplarniano wypielęgnowanych pierwiastków duchowych wysokiej kultury, które go charakteryzują. Być może, że rodzina Grzmota jest materialnie niezamożną – tego nie wiem, ale musi być kulturalną i inteligentką. Zresztą pewne rysy jego upodobań, jego poglądów nawet, wskazują, że bodaj niedostatku nie zaznał i żył w przeciętnych przynajmniej warunkach zamożności. Grzmot był w Lublinie uczniem prywatnej polskiej szkoły handlowej i przeszedł tej wiosny do VII klasy. Uczył się doskonale, był pierwszym w klasie. Podniecała go do tego pierwszeństwa nie tylko miłość nauki, którą niewątpliwie ma, i nie tylko zmysł staranności wzorowej w wykonaniu swych zadań, co go cechowało zawsze we wszystkim również na linii, ale też ambicja, którą posiadał w wysokim stopniu. Gdyby ofensywa austro-niemiecka nie zajęła latem Lublina, Grzmot-Konaszewski byłby teraz nadal uczniem, z pewnością pierwszym, w VII klasie swej szkoły. Ale w Lublinie należał on do gorącej młodzieży patriotycznej, która zgodnie zresztą z ogólnym nastrojem społeczeństwa lubelskiego, nienawidziła Moskali i uważała najazd moskiewski za największe zło narodowe, sprzyjała Austrii i gorąco się rwała sercem i tęsknotą do idei Legionów. Patriotyczna młodzież Lublina tworzyła tam pewne związki i organizacje o charakterze pogotowia narodowo-wojennego, do których też Grzmot należał. Było to już w czasach wojny. Poprzednio zaś Grzmot należał, zdaje się, do skautów. Gdy Moskale uciekli z Lublina, a wśród wojsk zwycięskich wkroczyły też Legiony i rozpoczął się werbunek, Grzmot ani chwili się nie namyślał i stanął w pierwszych szeregach nowozaciecznych. Wielu z jego kolegów, z tych najbardziej patriotycznych, cofnęło się w ostatniej chwili. On bez słów, bez rezonowania, stanął. Było to zresztą zgodne z jego charakterem.

15 grudnia, rok 1915, środa

Dalej piszę o obywatelu-legioniście Grzmocie. Natychmiast po wypędzeniu Moskali z Lublina Grzmot w liczbie pierwszych zgłosił się do Legionów. Była to konsekwencja jego poprzednich aspiracji, przekonań i tęsknot, a Grzmot nie należy do tych, którzy by w ostatniej chwili, gdy chodzi o przetopienie aspiracji w czyn, stanęli w pół drogi i tak pozostali dla jakichś praktycznych względów wygody czy bezpieczeństwa osobistego. Grzmot ma niezmiernie rozwinięte poczucie honoru i uczciwości w znaczeniu wyciągania prostych i bezpośrednich konsekwencji z założeń swoich oraz zgodności

woli i czynu z sumieniem i przekonaniem. Grzmot nie zniósłby, aby za jego słowem głoszonym nie nastąpił czyn, gdy nastały warunki wykonalności takowego. Wstydziłby się tego przed ludźmi i wobec sumienia własnego. Jest to chłopiec, który ma niezmiernie wykształcone poczucie odpowiedzialności moralnej. Toteż zaraz do Legionów wstąpił. Niektórzy mu odradzali tego rodzaju krok, ale na ogół nie sprzeciwiano mu się zbyt energicznie w rodzinie. Pierwszy zastęp rekrutów lubelskich, w którym był Grzmot i wszyscy nasi Lubliniacy z plutonu, otrzymał przywilej przydzielenia do I Brygady i zaraz też w pole wyruszył w charakterze batalionu uzupełniającego. Szedł on ślad w ślad za I Brygadą przez Lubelskie i Siedleckie do guberni grodzieńskiej na Litwę; przez ten czas nie brał on udziału w bitwach, bo żołnierz był zupełnie surowy i niewycwiczony; szedł więc jeno wciąż na tyłach Brygady i był stale ćwiczony; w charakterze też batalionu uzupełniającego zawrócił ten zastęp Lubliniaków i dopiero w Kowlu, coś w pierwszych dniach września, został wcielony do liniowych szeregów Brygady, ale nie jako całość, jeno rozbity drobnymi paczkami, właściwie jednostkami nowego rekruta, po wszystkich kompaniach i plutonach. Tą drogą dostał się do naszego plutonu także Grzmot wraz z innymi naszymi Lubliniakami. Był więc on w plutonie nieco o jakiś tydzień czy dni 10 starszym żołnierzem ode mnie, i jeszcze przed moim przybyciem do Kowla i zaliczeniem do plutonu (14 września) odbył z plutonem króciutką wycieczkę z Kowla do miasteczka Niesuchoże dla wyparcia z tamtych okolic kozaków. Grzmot jest bardzo wrażliwy, ma duszę subtelną, dużo wymaga od ludzi. A że jest jeszcze bardzo młody i nie zawsze potrafi oddzielić plewy od ziarna, odróżnić rzeczy pozorne od istotnych, więc w Legionach, przy zetknięciu się bezpośrednim z praktyką życia i środowiska w plutonie, doznał wielkiego zawodu. Znał on tylko legendę świetlaną Legionów, ich ideę i gwiazdę przeczystą, o której marzył i śnił, którą pokochał całym idealizmem 18-letniej młodości. Rzeczywistość przyprószyła te blaski szarą szarą; raziły Grzmota charaktery ludzkie w Legionach, dalekie od wyidealizowanych doskonałości, w ogóle raziły tysiące powszednich drobnych i brzydkich szczegółów życia żołnierskiego w Legionach. Przyszło nań rozczarowanie, smutna rozterka między przedmiotem ideału a praktyką rzeczywistością. Zwalczałem w nim to zawsze, wykreślałem w jego umyśle granice i elementy pozorów od granic i elementów istotnej prawdy, ale całkowicie tego rozczarowania wyplenić nie mogłem. Był to ból zawodu, wyczuwany zbyt intensywnie, zbyt odruchowo przez naturę młodzieńczą i niedoświadczoną w skomplikowanych arkanach życia, a niezmiernie czułą na wszelkie zgrzyty i rozdzźwięki. Toteż Grzmot odosobnił się zupełnie od towarzyszy i zamknął się w dumnej samotności swego bólu i rozczarowania jak lew raniony w najdotkliwsze miejsce. Ze mną jednym obcował serdecznie i poufnie, przede mną jednym się otwierał i jeszcze do Marsa czuł większą sympatię i zaufanie. Im bardziej jednak cierpiał z powodu doświadczonego zawodu i im bardziej się w sobie zamykał, tym stawał się twardszy i hartowniejszy w spełnianiu swego obowiązku żołnierskiego, tym więcej wobec własnego sumienia usiłował być ścisły i doskonały w linii raz powziętego postanowienia czynu. Zdawało się, że własnym czynem chciał odrobić to, czego nie dostrzegał w Legionach i co mu się ich brakiem wydawało. A nie skarżył się nigdy na swój zawód, nie obnosił swojej rozterki po ludziach, bo był za dumny na to. Był to charakter zgoła niepospolity w tak młodym, niemal dziecinny wieku. Grzmot też daleki był od popularnych i modnych popisowych upodobań chłopaków swego wieku. Był czysty i nieskalany pod względem płciowym, nie uprawiał żadnych miłostek, unikał wszystkiego w tym kierunku i wszelkich podobnych rozmów i przechwałek. Naturalnie, że Grzmot pod wielu względami był jeszcze niewyrobiony i nawet dziecinny. To wytwarzało w nim, pomimo skądinąd powagi, pewną odruchowość i wybuchowość uczuć i wrażeń oraz humoru,

która się w naszych poufnych stosunkach przyjaźni przejawiała, bo na zewnątrz wobec ludzi obcych czy obojętnych był prawie zawsze równy i nawet zimny i raczej sztywny. Sprawiało to w naszej przyjaźni urozmaicenie i coś szczególnego, co wyodrębniało ten stosunek od świata zewnętrznego, bo ten sam Grzmot innym był, szczerzym i prawdziwszym, człowiekiem ze mną, a zgoła innym wobec ludzi. O całkowitym wykształceniu społecznych pojęć Grzmota nie było jeszcze mowy; był on jeszcze surowym materiałem w tym względzie; największe sympatie, ale raczej z instynktu, niż przekonania dojrzałego, żywił do obozu secesji narodowo-demokratycznej, reprezentowanego w Lublinie przez patriotyczne pismo „Ziemia Lubelska”, które odegrało wybitną i ładną rolę w ruchu narodowym. Pobożny był naiwnie, jeszcze tak, jak wyniósł tę pobożność z domu rodzicielskiego. Wadami Grzmota były: obraźliwość wielka i pewna zarozumiałość. Górowała zaś w jego charakterze wielka, ale szlachetna duma. Biedny Grzmocik! Co się z nim stało, gdzie jest teraz? Zaginął pod Kukłami, w końcu października, jest pewnie w niewoli rosyjskiej.

16 grudnia. rok 1915, czwartek

Gdy przed tygodniem naczelny lekarz sztabowy (Obersztabsarzt) wezwał mnie do siebie, pokazał mi reklamację szpitala krakowskiego o ewentualne przeniesienie mnie do Krakowa i po zbadaniu mnie, odłożył decyzję swą na później, nie będąc jeszcze przekonany o wygojeniu moim i o tym, że blizny z ranek poprzedniego świerzb mego są już „infektionsfrei”, to znaczy niezaraźliwe, wówczas składając z tego relację w dzienniku, pisałem, że będzie tak, jak Bóg da. I Bóg dał jak najlepiej. Przez tydzień było cicho – Obersztabsarzt nie wzywał mnie do siebie; dziś koło godz. 10 wezwał mnie i zaproponował mi wyjazd do Krakowa, jeżeli chcę, bo właśnie pogoda sprzyja (istotnie mroziak malutki, czas słoneczny i spokojny); kazał mi się obnażyć, rzucił okiem na ciało i orzekł, że blizny są już dostatecznie wygojone (zdaje się, że od tygodnia nie zaszły w nich najmniejsze zmiany). Chętnie zaakceptowałem propozycję; sądziłem, że pojadę nazajutrz, ale Obersztabsarzt zaproponował mi wyjazd dziś jeszcze pociągiem popołudniowym. Na tym też stanęło. Zaraz się ubrałem, rzeczy poskładałem i gotów byłem do drogi. Cieszyłem się, że wyjeżdżam już wreszcie z Rzeszowa i że nie będę zmuszony spędzać tu świąt. Nie mogę zaprzeczyć, że w szpitalu rzeszowskim było mi dobrze i że korzystałem tu ze względów szczególnych. Tak lekarze, jak służba szpitalna byli dla mnie uprzejmi i bardzo względni, utrzymanie miałem dobre, dobre łóżko, dobry pokój. Ale jak grzyb utkwilem w tym Rzeszowie i zdawało się, że końca nie widać memu tutaj siedzeniu. Cieszę się z Krakowa, bo to mnie zbliża do starań o ewentualny urlop, do związku aktualniejszego z życiem. W kancelarii napisano mi i wręczono papiery do jazdy i do zgłoszenia się do szpitala krakowskiego. Przeznaczony jestem do szpitala fortecznego w Krakowie nr IV („Festugsspital nr IV”). W cedulce mojej, czyli kartce o stanie zdrowia, wydanej mi ze szpitala do przedstawienia w Krakowie, dopisano oprócz „Scabies” (tak się nazywa w języku medycznym ów świerzb, który miałem) jeszcze neurastenię. Nie wiem, skąd to wykombinował Obersztabsarzt, bo dotąd neurastenii mi w cedulce nie pisano, ale mniejsza o to. Może to nawet będzie lepsze dla starań o urlop. Po południu sanitariusz odprowadził mnie na kolej i o godz. 1 ½ pociągiem wojskowym wyjechałem do Krakowa, gdzie po godz. 6 wieczór stanąłem. Poszedłem wprost do przeznaczonego mi szpitala. Chciano mi tam znów włosy strzyc pod maszynkę, ale się wykręciłem, może tylko na razie, i jeno się ogolić dałem. Potem mnie wykąpano w wannie i wreszcie zalokowano w III Obiekcie szpitala (podobno wydział chorób wewnętrznych) w pokoju, gdzie lokują na razie świeżo przybyłych, zanim ich lekarz zbada i wyznaczy, gdzie zalokować. Jutro na rannej wizycie lekarskiej zostanę zbadany.

17 grudnia, rok 1915, piątek

Rano do wizyty przyszedł do mnie lekarz, który zaczął od tego, że źle się wybrałem przenosząc się z Rzeszowa do Krakowa, bo tu bynajmniej na żadne udogodnienia liczyć nie mogę i że przeciwnie rygor tu jest jak największy i to właśnie w stosunku do legionistów. Przez cały czas badania mówił wciąż na ten sam temat, znajdując jakby przyjemność w kreśleniu przede mną najczarniejszych barw pobytu, który mnie tu czeka. Mówił tonem monotonnym i nudnym człowieka, którego nic nie wzrusza i który lubi na chłodno i na tępo zadawać ból innemu. Naturalnie, że zażądał bezapelacyjnie, abym się dał ostrzyć i na wszelkie moje perswazje i prośby pozostawał niewzruszony. Na moją wzmiankę o urlopie, o znajomych w mieście itd., zapowiedział kategorycznie, że o urlopie nie ma co marzyć, że z wychodzeniem na miasto też nie pójdzie łatwo, bo przede wszystkim przez pierwszych pięć dni każdy nowy chory odbywa kwarantannę i pod żadnym pretekstem wychodzić nie może, a potem tylko za specjalnym dla każdego poszczególnego razu pozwoleniem naczelnego lekarza. Dodał, że naczelnik lekarz jest bardzo zniechęcony do legionistów z powodu ciągłych zająć na mieście i wypadków niesubordynacji oraz awantur w samym szpitalu. Zaznaczył wreszcie, że w szczególności co do tych, którzy, jak ja, robili starania o przeniesienie ich do Krakowa, wyszedł zakaz wypuszczania ich na miasto i rozkaz szczególnego w stosunku do nich rygoru. Cóż mu miałem na to wszystko odpowiadać! Przyjmowałem to do wiadomości, zmuszony do biernego posłuszeństwa, a on z jakąś flegmatyczną złośliwością bawił się oblewaniem mnie zimną wodą i studzeniem moich nadziei na lepsze warunki pobytu w Krakowie. Co do zdrowia mego, to przede wszystkim zbadał mnie pod względem „Scabies'u”, tj. tego świerzbu, który miałem poprzednio i uznał mnie pod tym względem za uleczonego, zgodnie z opinią naczelnego lekarza sztabowego w Rzeszowie; blizny, które pozostały po rankach świerzbowych, uznał za rzecz bagatelną. Spytał następnie, na czym polega owa „neurastenia” wpisana do cedułki o moim zdrowiu, wydanej ze szpitala rzeszowskiego. Powiedziałem, że nie wiem, jeno że doświadczam często, bez żadnych pozornych przyczyn, bicia serca. A dziś rano miałem właśnie gwałtowne bicie serca, większe niż kiedy indziej. Doktor wysłuchał serca, przyznał że rzeczywiście funkcjonuje kiepsko, oznajmił mi, że wkrótce będę szczegółowiej zbadany i wyszedł. Wizyta ta sprawiła na mnie przykre wrażenie. Było coś więcej mechanicznego, niż ludzkiego, w tym traktowaniu chorego przez lekarza, był ton sztywny, suchy, niechętny, złośliwy nawet. Wkrótce wezwano mnie do gabinetu lekarskiego na ponowne, szczegółowsze badanie. Badał mnie jakiś młodziutki lekarz, wyglądający na chłopca dopiero, co najwyżej na studenta medycyny, o którym się dopiero później dowiedziałem, że jest doktorem. Serce moje wyprawiało dziś prawdziwe hece; biło tak gwałtownie i nierównie, że doktor uznał je za poważnie chore; puls miałem 144 podczas stania i 120 podczas leżenia. Doktor określił diagnozę „newralgia serca” („Herzneuralgie”), zachowując równolegle diagnozę rzeszowską „neurastenia”. Nie przepisał mi żadnych lekarstw, jeno „Bettruhe”, to znaczy spokojne leżenie w łóżku. Że skierowana została uwaga na serce, to może i dobrze, bo ewentualnie może mi to dopomóc w skomplikowanych kombinacjach możliwości wyjazdu do Wilna, ale ta „Bettruhe” może się stać przeszkodą do wypuszczenia mnie na miasto nawet po owych pięciu dniach „kwarantanny”. Zresztą co do wychodzenia na miasto, to, jak się później od towarzyszy niedoli dowiedziałem, jest ono bardzo ograniczone; nie tylko że każdorazowo trzeba stawać do raportu i uzyskać pozwolenie naczelnego lekarza, ale jeszcze podobno nie można wychodzić częściej, niż raz na tydzień, i nie dłużej, niż od godz. 1 do 3/4 w południe. Zalokowano mnie na II piętrze w pokoju nr 14, gdzie z wyjątkiem jednego Węgra, są sami legionieści. Są tu z różnych

brygad i rodzajów broni. Jest nawet jeden z mojej kompanii, jeno z plutonu innego, Radomiak, który już zresztą jutro do Zakopanego odjeżdża. Stosunek w szpitalu tym do legionistów (a szpital ten jest właśnie prawie wyłącznie dla legionistów przeznaczony) jest ze strony władz szpitalnych, to znaczy lekarzy i głównie komendanta-naczelnego lekarza, bardzo ciężki. Rygor jest wielki, brak względności jakiegokolwiek, nieufność i nawet niechęć. To są rzeczy bardzo przykre i bardzo utrudniające spełnienie moich zamiarów. Mam pewne projekty co do zdobycia sobie urlopu czy choćby zwolnienia się na razie od wojska – drogami ubocznymi, bo zdaje się, że otrzymać stąd wprost urlopu się nie da, ale nie wiem, czy Sokolnicki, mój jedyny protektor, będzie się mógł tym zająć i to wszystko załatwić i czy w ogóle te drogi uboczne, które wykombinowałem, okażą się w praktyce używalnymi. Na łóżku, na którym leżę na sali nr 14, leżał wpierw Wiatr, komendant byłego III plutonu naszej kompanii i jednodniowy mój komendant w Kuklach w dniu 23 X. Wiatr, choć dowodził u nas plutonem i był na stopie oficerskiej, nie ma jeszcze formalnej nominacji na oficera i jest urzędowo w szarży sierżanta, toteż w szpitalu leżał nie z oficerami, lecz z „Mannschaftem” i wszędzie na tyłach na równi z „Mannschaftem” jest traktowany. Wiatr wieczorem wstąpił do szpitala odwiedzić byłych towarzyszy niedoli. Przy tej okazji pogawędziłem z nim i trochę się nowin o moich byłych towarzyszach dowiedziałem, że do plutonu jego byli przydzieleni ci z naszych żołnierzy, którzy należeli do starych, to znaczy wszyscy, prócz Lubliniaków, a z nich jeden tylko Gutowski został ranny, inni wszyscy albo wyjechali do szpitalów jako chorzy, albo dostali urlopy. O naszych Lubliniakach, którzy byli przydzieleni do I plutonu, Wiatr nic nie wie. Wiatr w tych dniach wraca na linię. Ciężko kontuzjowany szrapnelem w dolne okolice brzucha i karku został Rybosiewicz²⁷, komendant b. radomskiego plutonu. Ma kontuzjowany pęcherz i sparaliżowany członek.

18 grudnia, rok 1915, sobota

Zawiadomiłem listownie Michała Sokolnickiego i Zygmunta Limanowskiego o mojej obecności w Krakowie. Przewiduję, że będą wielkie trudności ze sprawą wyjazdu mego do Wilna, czy to w drodze urlopu, czy też zwolnienia się od wojska. Wolałbym uzyskać dłuższy urlop, niż zostać formalnie z wojska zwolnionym. Wprawdzie stan mego zdrowia, zwłaszcza wobec ujawnionego cierpienia sercowego, jest taki, że dziś o powrocie na linię nie mogę myśleć, to jednak wolałbym zarezerwować sobie możliwość powrotu na przyszłość, gdy stan serca się polepszy i gdy może rezultaty mego pobytu w Wilnie będą mi to nakazywały ze względu na dobro Sprawy. Wolałbym też być w Wilnie w charakterze rzeczywistego, niż byłego legionisty; to by odpowiadało lepiej moim zamiarom. Dlatego wolałbym urlop, niż zwolnienie. I jedno, i drugie jest wszakże trudne do urzeczywistnienia. Dziś jeszcze przesądzać nie mogę, nim się nie rozmówię w tej sprawie z Sokolnickim i w ogóle z ludźmi kompetentnymi w tej mierze, którzy mi zdołają udzielić wskazówek, rady i pomocy. Dziś stosunki się tak ułożyły, że niezależnie zgoła od mego stanu zdrowia, obecność moja w Wilnie byłaby daleko skuteczniejsza, niż pozostawanie na linii w Legionach. To, o co mi chodziło: być w Legionach, wziąć udział osobiście i bezpośrednio w czynie – to już przez mój pobyt w szeregu na linii zostało dokonane. Moralne znaczenie tego faktu już pozostanie nabytkiem trwałym. Teraz mogę być nadal w kraju rzecznikiem Sprawy, mając do innych moich kwalifikacji ten wielki atut. Przez mój bezpośredni udział w Legionach chodziło mi o czyn polityczny w stosunku do Wilna. Spełniłem go i spełniłem należycie; nie byłem bowiem tylko figurantem w Legionach, który nosi mundur i ma legionisty tytuł, objając się gdzieś na tyłach i będąc tylko doczepionym do wielkiego

²⁷ Rybosiewicz – brak bliższych danych.

ruchu, jak setki i może tysiące ludzi, zajętych w rozmaitych biurach i mniej lub więcej potrzebnych posługach wielkiego ruchu legionowego, jeno byłem żołnierzem w szeregu na polu walki; nie ubiegałem się też o żadne zaszczyty, o żadne odznaki osobiste, o żadne tytuły i szarże, choć żebym chciał tę drogę wybrać, zamiast iść na szeregowca do Brygady, byłbym dziś z pewnością jakimś oficerkiem z ramienia Komendy Legionów, ozdobionym gwiazdkami, choć nigdy nie widzącym nieprzyjaciela i nie mającym pojęcia o wojnie. Nie o to mi jednak chodziło, gdym z Wilna wyjeżdżał, by do Legionów wstąpić. Nie kariery przecie w Legionach szukałem, nie dla niej bym Litwę opuszczał, nie dla tych zaszczytów przemijających, nie dla drobnego błysku gwiazdek oficerka poświęcałbym to, co do najdroższych rzeczy życia mego należy, możliwość powrotu do ukochanego kraju, Bohdaniszki, całą przyszłość normalną, bo przecie zaręczyć nie mogłem i dotąd nie zaręczy jeszcze nikt, że Litwa i Wilno nie pozostaną po wojnie w ręku Rosji, a wtedy grozi mi emigracja na lata, może na zawsze. Nie dla „kariery” zaiste narażałbym się na to. Poszedłem, bo w przekonaniu moim najgłębszym czyn Legionów winien był się stać wielkim dziełem wolności tak Polski, jak Litwy, tej ostatniej bądź bezpośrednio, bądź pośrednio – przez samą choćby wolność Polski. Poszedłem, by wyciągnąć we własnym moim czynie konsekwencje z tego, co było pobudką mej wiary i działalności całej poprzedniej, umiłowania Litwy, jej ludu, jej kultury i przyszłości, jej wolnego życia. Gdy zrozumiałem, że wolność Polski i czyn Legionów w tej wojnie są narzędziem spełnienia wolności Litwy, a choćby tylko zbliżenia tego momentu, jej świtem, jej etapem, żeby nawet dalekim od całkowitego ziszczenia ideału, musiałem tym czynem osobistym uwieńczyć moją poprzednią działalność, dać wyraz wierze. I wykonałem to. Bo nie chodzi o to, jak długo byłem w Legionach i jakich tam aktów wojennych dokonałem. Byłem szeregowcem i spełniałem to, co mi spełniać wypadło. Dziś wrócić mogę do Wilna, powinienem nawet, aby dalej Sprawie tej służyć i tam w myśl jej potrzeb, stosunków, warunków i okoliczności oddziaływać. Korzystać winienem z tego, że w Wilnie nie ma Moskali i że przeto mogę doń wrócić, zwłaszcza gdy zdrowie nie pozwala mi na dalszy udział w linii. A może dziś więcej niż kiedykolwiek potrzebny jestem w kraju, gdzie moje kwalifikacje uzdalniają mnie do działania bardziej i lepiej, niż gdziekolwiek indziej. Tak pragnę dziś powrotu do Wilna i ze wszech sił dążyć będę do tego, przezwyciężając niezmiernie liczne przeszkody. Coraz trudniej jest teraz o urlop lub zwolnienie od wojska, coraz większymi pętami krępowany jest żołnierz przez władze wojskowe austriackie, coraz ściśsze są karby, w które ujęci są legioniści. W sali, na której leżę w szpitalu, spełnia czasowo obowiązki pielęgniarki siostra, którą zwą „siostrą Rachelą”. Prawdziwe jej imię jest inne, ale nazywają ją tak, ponieważ jest ona tą, z której wzór wziął Wyspiański do swojej „Rachel” w „Weselu”. Jest już obecnie w średnim wieku, brunetka, twarz sucha i ściągła, w „*pince-nez*”²⁸.

19 grudnia, rok 1915, niedziela

Dziś bicie serca miałem mniejsze, niż dni poprzednich. Wszakże lekarze powiadają, że stan serca i dziś bynajmniej dobry nie jest. Co dzień mi tu też mierzą temperaturę i co dzień, choć to jeszcze nie jest gorączka, temperatura jest podwyższona: rano bywa 36,9° - 37°, wieczorem 37,3° - 37,5°. Lekarze uznają, że mam osłabienie klap sercowych, to znaczy mniej więcej to samo, na co cierpiała Mama. Dziś mi zapisano Strofantus po 12 kropel trzy razy na dzień. Z doświadczenia Mamy choroby wiem, że to środek dość silny na serce; trochę się go obawiam, zwłaszcza zaś nie podoba mi się

²⁸ Józefa Singer (1881-1955), córka Hirsza i Debory z Unterweiserów, w sierpniu 1914 r. ukończyła kurs samarytański, od 5 IX 1914 r. do 30 IV 1917 r. pracowała jako pielęgniarka w Szpitalu Rezerwowym nr 3 w Krakowie.

przyzwyczajenie serca do ostrych środków, ale cóż robić, będę brał, jak przepisano. Jestem w Krakowie, ale dotąd tak, jak żebym w nim nie był. Nie mogąc wychodzić na miasto, nie mam z Krakowem żadnej styczności. Wszystko się dla mnie zamyka ścianami mojej sali szpitalnej, poza którą się nie wychylam. Toteż, dopóki nie skomunikuję się z żywym pozaszpitalnym Krakowem, będę, jak w Rzeszowie, wypełniać mój dziennik pamiętnikarskimi wspomnieniami z Legionów i o Legionach. Dziś pomówię jeszcze, poniekąd w związku ze sprawą ewentualnych starań moich o urlop, o Piłsudskim. O to chodzi, że jako piłsudczyk z I Brygady i przez stosunki z kołami Piłsudskiego urlop będzie mi tu tym trudniejszy do uzyskania. To może być nie ułatwieniem, ale raczej przeszkodą do uzyskania urlopu. Starania moje chcę wspierać głównie na stosunkach z kół Piłsudskiego, ewentualnie na wpływach N.K.N. Otóż N.K.N. jest bliższy Piłsudskiego i piłsudczycy mają w nim przewagę; to sprawia, że wpływy N.K.N. mierzą się przeważnie wpływami Piłsudskiego, a Piłsudskiego firma jest w miarodajnych kołach politycznych tutejszych oraz wśród władz legionowych źle widziana. Autorytet i wpływy Piłsudskiego, jego popularność sięgają kół radykalnych, są wielkie w masach niepodległościowych, w całej prawie masie legionistów i wśród młodzieży obojga płci. Tu jest on uważany za właściwego ojca Sprawy Polskiej, za wodza narodowego. Tu panuje niepodzielnie kult Piłsudskiego i słowo jego jest hasłem. Poniekąd w niektórych kołach konserwatystów krakowskich jest także szczere uznanie dla Piłsudskiego i lojalny stosunek do niego. W większości zaś politycznych kół Galicji Piłsudski jest traktowany nieufnie i raczej niechętnie. Jest on dla tych kół solą w oku. Lękają się go one, boją się go otwarcie zaczepiać, ale go po cichu paraliżują, zwalczają krętymi drogami, wpływy jego niwelują wszędzie, gdzie się da. A koła te mają siłę, mają wpływy możne i potężne środki, które umiejętnie użytkować potrafią dla swych celów. Piłsudski jest dla nich intruzem, jest niebezpiecznym „czerwonym”; boją się jego popularności, której nie śmieją zwalczać otwarcie, jeno ją paraliżować w działaniu tajnymi intrygami. Czują one, że Piłsudski ma jakieś inne cele, dalej idące, niż Legiony w ich pojęciu, i nie ufają tym celom; czują, że z I Brygady Piłsudski stworzył coś odrębnego od innych brygad, coś jakby gwardię jemu oddaną, gotową do służenia jego celom i jego osobie wierną; a że ta I Brygada, jak sama osoba wodza, ma szczególną popularność w niepodległościowym obozie – to ich niepokoi; czują oni, że przez Piłsudskiego wymyka się im z rąk pewność kierownictwa i że ten człowiek, silny wiarą i czynem, znający potężną sztukę stwarzania faktów dokonanych, może w pewnej chwili zaszachować ich mrówczą robotę. Piłsudskiego potęga jest głęboka, oparta na głównej czynnej masie ruchu, ale jest do czasu jakby utajona; może ona nagle wyświecić hasłem i idącym za nim czynem, który, jak w dniu 6 sierpnia r. 1914²⁹, może stworzyć wielki fakt przełomowy, nadający od razu nowy konkretny kierunek Sprawie. Ale na tyłach w stosunkach bieżących owe koła polityczne, niechętnie nowym obrotom kierunku, stworzonego przez Piłsudskiego, o ile nie zdołały go unicestwić w załączku i przeszkodzić jego urzeczywistnieniu – biegną one skwapliwie, usiłują się go ucześcić, i oplatają go siecią swojej drobnej roboty, aby go opanować i zastosować do swoich celów. W Piłsudskim wietrzą one zawsze niebezpieczeństwo dla siebie i tam, gdzie one są gospodarzami, tam marka Piłsudskiego jest źle widziana, choć się tego jawnie nie mówi. Wszystkie też organizacje i grupy, które się wywodzą z ducha Piłsudskiego, są tu także źle widziane i wpływy ich paraliżowane. Stosuje się to też do N.K.N., który przez to zbyt rozległej sfery wpływów nie ma na miarodajne czynniki nawet w Legionach samych. Ewentualnie zaś, ponieważ N.K.N. bądź co bądź ma swój autorytet w społeczeństwie i reprezentuje element silny w ruchu, koła rzeczzone dążą do utworzenia

²⁹ Mowa o wymarszu 6 sierpnia 1914 r., na rozkaz Komendanta Piłsudskiego, z krakowskich Oleandrów Pierwszej Kompanii Kadrowej, co zapoczątkowało polski czyn zbrojny w I wojnie światowej.

z nim kompromisu i zdobycia stanowiska w jego łonie, mając na myśli opanowanie go. Taki kompromis obecnie się właśnie wytwarza. Ma on swoje dobre cechy, o ile zdoła utworzyć poważniejszą konsolidację narodową, zwłaszcza jeżeli konsolidacja ta będzie w stanie promieniować na Królestwo, ale ma też pewne niebezpieczeństwa dla siły ruchu; trzeba tylko ufać, że elementy świadome w obecnym N.K.N.-ie przewidzą i zastrzegą sobie w układzie, raczej obwarują przeciwko ewentualności opanowania i spaczenia ruchu. Jednym z narzędzi cichej walki z Piłsudskim jest rozbijanie i psucie środków, którymi on rozporządza. Takim najpoważniejszym środkiem jest I Brygada. I otóż jest ciągle dążenie do mieszania ludzi w brygadach i rozpylania piłsudczyków z I Brygady po innych brygadach. Robi się to przemocą nad żołnierzami na tyłach, robi się też korupcją, ofiarowaniem szarż i gwiazdek, działaniem na ambicję, próżność i kieszeń ludzi, by ich pozyskać i z Brygady wyrwać na rzecz innych brygad, niebezpiecznych, bo opanowanych.

20 grudnia, rok 1915, poniedziałek

O ile w kołach polityków galicyjskich, kierujących sterem spraw publicznych, jest niechęć do Piłsudskiego, obawa przed nim i ciągle usiłowanie paraliżowania jego wpływów, o tyle w radykalnych kołach narodowych, wśród szerokiej opinii niepodległościowych elementów, wśród młodzieży i wśród legionistów Piłsudski jest otoczony aureolą, która dochodzi do kultu. W szeregach I Brygady jest prawdziwy kult Piłsudskiego. „Dziadzio” Piłsudski jest tam wcieleniem ideału, wiary, mocy, prawości, doskonałości wojennej i narodowej. Wszyscy dowódcy, nawet najbardziej popularni, mają swoich krytyków i malkontentów; każdemu coś zarzucają, na każdego mają jakąś satyrę, dla każdego w jakiejś chwili niecierpliwości mają słówko złośliwe, ale nigdy, bezwzględnie nigdy – dla Piłsudskiego. Zdaje się, że gdyby ktoś ośmielił się odezwać źle o Piłsudskim lub mu coś zarzucać, wywołałoby to więcej, niż oburzenie: byłoby poczytane za bluźnierstwo. Piłsudski jest kochany i czczony jak kochany i czczony być może wódz najdoskonalszy przez swoje wierne wojsko. Widziałem żołnierzy najbardziej gruboskórnych, o naturach wulgarnych, dalekich od idealizmu, ludzi, których nic w sferze ich przekonań nie łączy z „czerwoną” przeszłością Piłsudskiego³⁰, którzy nie byłiby z pewnością w stanie zrozumieć wzniosłych Piłsudskiego ideałów i z jego potężnym duchem obcować, a którzy przecie życie by za niego oddali i mieli dlań miłość słodką jak baranki. Imię Piłsudskiego jest dla nich święte i jak promień słońca budzi w ich sercach najlepsze i najszlachetniejsze uczucia. Piłsudski jest hasłem, jest żywym wcieleniem całej Sprawy, której oni krew swą w ofierze dają. Wielkim musi być człowiek, który taką miłość w ludziach budzi i który zdołał z tysięcy serc ludzkich wykrześć najszlachetniejsze pierwiastki i na sobie je skupić, stając się ich żywym sztandarem i wiarą wcieloną. I wielkim jest zaiste ten, który z popiołów tradycji, z ksiąg i legendy wywiódł bohaterstwo walk polskich w rzeczywistość czynu: przygotował je pracą organizacyjną i w chwili stanowczej przełamał waśnie i rozterki dnia powszedniego i na czele hufca wiary stworzył fakt, z którego wyrósł współczesny czyn. Bez Piłsudskiego wszelki odruch młodzieży, gdyby nawet powstał na początku wojny, zmalałby rychło do poziomów takich, jak rozmaite „legiony” Snarskich³¹,

³⁰ Mowa o przynależności Piłsudskiego do Polskiej Partii Socjalistycznej.

³¹ Bonawentura Snarski, nauczyciel gimnazjum kieleckiego, w końcu sierpnia 1914 r. otworzył biuro werbunkowe w Warszawie. Sformował oddział liczący ok. 150-200 ochotników. Oddział ten walczył krótko po stronie Rosjan, po dużych stratach został późną jesienią 1914 r. rozwiązany.

Gorczyńskich³² etc., tworzone przez moskalofilów po stronie rosyjskiej. Piłsudski był tym, który utrzymał sztandar narodowego wojska polskiego i stworzył z Legionów organ Niepodległości. I jeżeli dzieło Legionów wyda owoce, jeżeli Niepodległość Polski osiągnięta zostanie, to przez tę wolę Narodu, objawioną w tej wojnie i stwierdzoną czynem i krwią, a mistrzem tej woli Piłsudski, a więc przez niego. W I Brygadzie kult Piłsudskiego jest zupełny. Gdyby Piłsudskiego nagle zabrakło, nikt by go zastąpić nie zdołał. Wskazywano mi raz na Żymierskiego³³ i Śmigłego jako tych, którzy ewentualnie mogliby podjąć spadek po Piłsudskim. Tak nie jest. Nikt nie posiada ani drobnej części tego rządu dusz, który ma Piłsudski. W blasku i kulcie jego imienia giną wszystkie, nawet najbardziej zasłużone imiona wodzów. I nie tylko w I Brygadzie żywą jest wiara w Piłsudskiego. Legioniści z III i zwłaszcza z II Brygady, aczkolwiek wielu z nich tęskni do I Brygady i chętnie się do jej szeregów wymyka, często jednak przez uczucie zazdrości i jakiejś rywalizacji lubi coś przytknąć Brygadzie, coś z jej sławy i legendy urwać. I oto nawet ci, niechętni Brygadzie, dla Piłsudskiego mają cześć i mają kult podobny do kultu w Brygadzie. Imię jego w Legionach ma urok i siłę olbrzymią. W nim wodza, w nim bohatera narodowego uznają. I znowu tu, jak tylekroć w dziejach męczeńskich Polski – szlachcic „kresowy”, Litwin stanął na czele Narodu w walce jego o Wolność Sprawie. Hart Piłsudskiego, jego duch skupiony i wielki – z Litwy się urodził i stamtąd naturę swą wyssał. Piłsudskiego nie znałem osobiście poprzednio, choć słyszałem o nim dużo dawniej jeszcze i potem, zwłaszcza od roku 1905. W szczególności mój przyjaciel paryski, nieodżałowany Stach Gierszyński, zmarły w r. 1911, był wielkim Piłsudskiego wielbicielem. Znał Piłsudskiego, wyczuł w nim potęgę i wielkość i wierzył, iż ten człowiek dokona rzeczy wielkiej. Chciał też mnie Stach zawsze z Piłsudskim zapoznać, chciał nas, dwóch „Litwinów”, odmiennymi drogami idących, zbliżyć i zespolić, uważając, że się uzupełniamy wzajemnie i z dwóch naszych dróg jedna się droga stopi. Przeceniał Stach mnie, nie przeceniał Piłsudskiego. Wszakże ja dość sceptycznie słuchałem entuzjasty Stacha wywodów i nie kwapiłem się do „stapiania”, a nawet specjalnie do poznania Piłsudskiego, z którym zresztą okazji do spotkania się nie miałem. Miałem pewne uprzedzenia do Piłsudskiego, jak miałem je w stosunku do PPS i do bojówki z r. 1905. Nie bardzo się też na razie orientowałem w pierwszych początkach organizacji militarnych, tworzonych przez Piłsudskiego w roku mniej więcej 1908. Dopiero właśnie listy Stacha Gierszyńskiego z ostatnich lat przed jego śmiercią zaczęły mnie w tej sprawie orientować i dawać pewne elementy nowe do myślenia, chociaż zawsze miałem względem tego ruchu liczne zastrzeżenia. Byłem daleki od niego. Potem w roku 1912-1913, gdy już elementy ruchu promieniowały do Wilna, więcej się nad nim zastanawiać zacząłem i pojmować istotę. Wszakże dopiero ta wojna i czyn Legionów dały mi poznać wartość i istotę dzieła Piłsudskiego. Wówczas zespoliłem w umyśle i w sercu moim ten wielki czyn ze Sprawą wolności Litwy i stanąłem osobiście do szeregu. Żałuję dzisiaj, że nie pojąłem i nie poznałem wcześniej tego ruchu i że nie poczyniłem w okresie jego tworzenia się żadnych kroków do zaszczepienia doń sprawy Litwy. Stach miał rację. Dziś w ogniu czynu to się już w

³² Witold Gorczyński (1878-1929), podpułkownik, organizator po stronie rosyjskiej polskich oddziałów ochotniczych zwanych Legionami. Pierwszy dowódca tzw. Legionu Puławskiego, organizacji słabej liczebnie, która nie odegrała większej roli bojowej.

³³ Michał Żymierski, właśc. nazw. Artur Łyżwiński (1890-1989), od 1909 r. członek Polskich Drużyn Strzeleckich, major 1 pułku piechoty I Brygady, następnie dowódca 3 pułku piechoty II Brygady Legionów, od 1917 r. dowódca 2 pułku piechoty Polskiego Korpusu Posiłkowego. Po bitwie pod Rarańczą i przedarciu się na Ukrainę szef sztabu II Korpusu Polskiego i działacz POW w Rosji. Od 1918 r. w Wojsku Polskim. W wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. dowódca brygady i dywizji. W 1927 r. skazany prawomocnym wyrokiem sądowym na więzienie i wyrzucony z wojska. W komunistycznej Polsce mianowany marszałkiem.

zupełności odrobić nie da. Można coś łątać i dostawiać, ale organicznie już natury dzieła przekształcić się nie da.

21 grudnia, rok 1915, wtorek

Szczepiono mi dziś ospę i oprócz tego ma być szczepiony tyfus. Każdy przebywający w szpitalu tym żołnierz musi mieć szczepioną: ospę, tyfus i cholere. Cholere mi w czasie wojny już szczepiono, pozostały więc ospa i tyfus. Jestem już ostrzyżony bez pardonu, teraz będę regularnie szczepiony, słowem – akuratnie ostemplowany, jak się na żołnierza należy.

Był dziś u mnie Zygmunt Limanowski. Był bardzo miły i serdeczny. Stęskniłem już do znajomych prywatnych, osobistych; stęskniłem do rozmowy z nimi. Toteż rozmowa z Limanowskim sprawiła mi prawdziwą przyjemność. Limanowski ma mi przynieść książki, ma dać znać o mnie niektórym znajomym, ma zbadać nieco możliwości ewentualnego urlopu mego. Wdzięczny mu byłem za to, że tak zaraz po otrzymaniu mojej kartki zajrzał do mnie i że tak pocziwie ofiarował się być użytecznym dla mnie i pośredniczyć między mną a światem zewnętrznym.

Dowiedziałem się od Limanowskiego o nowym epizodzie zatargu w Legionach.

Podobno Durski wydał rozkaz dzienny, w którym oświadczył, że wskutek „warcholstwa oficerów (czy dowódców) I Brygady” Legiony znów rozdzielone zostały. Chodzi tu o to, że po sprowadzeniu II Brygady z frontu besarabskiego na wołyński Legiony chwilowo się złączyły wszystkie na jednym terenie walki i że świtała nadzieja, iż zostanie z nich utworzona jakaś cała jednostka pod jednolitym dowództwem. Piłsudski wówczas miał się postarać o wcielenie jego Brygady do innego korpusu, co mu się udało i tą drogą odseparował I Brygadę od dwóch innych, uchylając się spod władzy Komendy Legionów, ale jednocześnie udaremniając projekt scałkowania Legionów. Limanowski sam tego rozkazu Durskiego nie widział, ale twierdzi, że takowy z całą pewnością był wydany i powołuje się w szczególności na panią brygadierową Piłsudską, która mu o tym sama przed paru dniami mówiła. Co do rozkazu Durskiego, to co prawda wątpię w jego istnienie, bo nie przypuszczam, aby wynosił tak jawnie na widok publiczny wewnętrzne rozterki w Legionach, kompromitując cały ruch w opinii swoich i obcych i aby tak publicznie rzucił w twarz Piłsudskiemu i oficerom I Brygady zarzut warcholstwa. Ale co do samego faktu tego rozdziału Legionów – to zdaje się, że jest on prawdziwy, bo słyszałem to już z kilku stron przez legionistów w szpitalu.

Niektórzy robią z tego poważny zarzut Piłsudskiemu. Nie podejmuję się go ani bronić, ani krytykować. Wiem, o co mu chodzić musiało – o to, aby się uchronić od ściślejszej zależności od Komendy Legionów i tych wpływów, które przez nią działają. Piłsudski ma swoje cele, swoją politykę własną i chce mieć dla tych celów ręce wolne. Mniej się boi zależności od komendy austriackiej, która się ogranicza sferą militarną i politycznie go nie krępuje, niż zależności od Komendy Legionów, przez którą się polityczne wpływy w zakresie Sprawy Polskiej sączą. W każdym razie nie ambicja osobista powodowała Piłsudskim. Ten człowiek wolny jest od ambicji w znaczeniu robienia kariery, ale rozumie i wie, że Sprawa, którą on stworzył, w osobę jego się wcieliła i że on jest za nią odpowiedzialny, a przeto on musi nią do końca kierować w myśl własnego pojmowania jej dróg i celów. Abdykować z tej roli Piłsudski nie myśli i nie myśli rezygnować z siły, którą w rękę dzierży; o władzę mu chodzi, tak, ale o władzę w imię Sprawy, nie zaś dla próżności osobistej. Czy należało Piłsudskiemu ocalić swą niezależność kosztem ofiary z jedności Legionów, czy też należało raczej w imię tego dobra – jedności nagiąć się na razie do obroży, która by może ostatecznie nie była tak twardą i którą by zapewne Piłsudski w chwili decydującej zdołał przełamać, tego przesądzać się nie podejmuję. To wiem tylko, że Piłsudski dźwiga na sobie od półtora

roku straszliwą odpowiedzialność, która by już od dawna tysiące innych charakterów złamała. On zaś dźwiga ją samotnie, potęgą swojej wielkiej woli i idzie przed siebie ku gwiazdom wiary swojej, by je porwać i czynem w konkretną rzeczywistość zamienić. Nieobcym jest z pewnością jego świadomości to brzemie ciężkie. Widziałem Piłsudskiego i wyczułem, spostrzegłem nawet jego wysiłek moralny. Ten człowiek nie ma życia lekkiego. Cała jego istota moralna jest w ciągłym tragicznym wytężeniu. Jego spokój zewnętrzny, jego skupiona twarz o pięknych kształtach i wyrazie, przypominającym maskę Nietzschego³⁴, nie kryją sielankowej pogody ducha, przeciwnie – zamykają olbrzymią ciężką pracę całej istoty moralnej tego niezwykle człowieka. Piłsudski przeszedł już w czasie tej wojny najcięższą próbę, która go musiała kosztować olbrzymiego wysiłku woli i zaciążyć najsilniej na jego odpowiedzialności, to kwestia przysięgi Legionów. Przysięgę tę, która formalnie wypaczała jego dzieło, przyjął, złożył sam i Legionom ją złożyć na swoją odpowiedzialność zlecił. Przysięgą tą ocalił dzieło, ale kosztem, którego wagę rozumie dobrze. Niestety – nie siał wybierać: *aut-aut*. Był to moment najcięższy, a dziś musi wciąż walczyć z mrówczym czy raczej szczurzym podgryzaniem korzeni jego dzieła przez swoich!

Szkoda mi, że będąc w Brygadzie nie byłem pod bezpośrednim dowództwem Piłsudskiego. Zaraz bowiem, w kilka dni po wymaszerowaniu naszym z Kowla, wydzieloną została osobna grupa, złożona z II pułku naszej Brygady i IV pułku III Brygady, która po wodzą Piłsudskiego wyruszyła na inny odcinek, pod Kołki, gdzie w stronę Łucka, podczas gdy reszta I Brygady, to znaczy nasz pułk I i tzw. pułk III, posuwały się dalej na Styr, na północ od kolei Kowel-Sarny, pod wodzą Śmigłego-Rydza jako zastępcy brygadiera. Później dołączył się do nas świeżo przybyły na linię VI pułk III Brygady, z którym współdziałaliśmy ciągle i aż do mego odjazdu z linii pozostawaliśmy oddzieleni od Piłsudskiego. Piłsudski był tylko tytułarnie moim komendantem, ale faktycznie i konkretnie nie służyłem pod nim, jeno pod Śmigłym. A szkoda, bo chciałbym poznać Piłsudskiego jako bezpośredniego dowódcę. Tyle o tym słyszałem od starych żołnierzy! Piłsudczykiem wszakże jestem jako legionista z I Brygady.

22 grudnia, rok 1915, środa

Odwiedził mnie dziś staruszek Bolesław Limanowski. Pocziwe to z jego strony, bo dla staruszka to wielka fatyga. Przyniósł mi książek i zabawił jakąś godzinkę na rozmowie. Głuchy jest, toteż trudno doń mówić, ale za to sam mówi dużo i chętnie, a umysł ma zawsze żywy, wrażliwy na sprawy aktualne i na wielkie zagadnienia społeczne i narodowe. Jest w nim jeszcze szlachetny typ rewolucjonisty z połowy wieku XIX, połączony z gorącym patriotyzmem. Jest on idealistą w najlepszym znaczeniu słowa. Przez całe życie, we wszelkich okolicznościach, pozostał zawsze wierny swoim ideałom, gołębio łagodny, pogodny i prosty. Nie zeszytywniał wszakże w jakiejś jednej formie, przeciwnie – badał i postępował z ewolucją pojęć i zagadnień. Będę dziś kontynuować charakterystykę kolegów z mojego dawnego plutonu. Kapię tę charakterystykę po kropelce na przestrzeni już przeszło dwóch miesięcy, a dochodzę dopiero do końca II sekcji; pozostanie mi jeszcze sekcja III do scharakteryzowania, co potrwa jeszcze długo, gdy pisać będę nadal z takimi przerwami, a na to się zanosi. Dziś poświęcę miejsce obywatelowi Komackiemu, który należał jeszcze do II sekcji. Komacki, z imienia Brunon, należy do kategorii Lubliniaków, jak Grzmot i wielu

³⁴ Friedrich Nietzsche (1844-1900), filozof niemiecki, jeden z głównych przedstawicieli immoralizmu, irracjonalizmu i tzw. filozofii życia XIX/XX w. Głosił koncepcję „woli mocy”, przewartościowanie obowiązujących wartości i elitaryzm w aksjologii i teorii moralności (ideał „nadczołowieka”).

innych. Pseudonimu żadnego nie przybrał w Legionach, pozostał pod własnym nazwiskiem. Zresztą z Lubliniaków w naszym plutonie jeden tylko Grzmot miał pseudonim. Komacki pochodzi z klasy średniej; skończył kilka klas średniej szkoły i przerwał dalsze studia, zdaje się, z powodu słabego zdrowia; miał się imać jakiegoś fachu rzemieślniczego, ale coś mu tam przeszkodziło, bodaj właśnie zdrowie czy też brak energii; słowem – pozostał człowiekiem niedokończonym, wykolejonym czy raczej nie wykolejonym, bo w żadne stateczne łóżysko się nie wdrożył. Jest zresztą człowiekiem tak młodym, ma lat 18, że gdyby mu nie brakło energii, sprężystości charakteru i woli, to oczywiście miałby jeszcze niemal wszystkie drogi życia otworem i mógłby wszystko zdobyć. Nie wiem, czy Komacki jest jedynakiem w rodzinie, ale sądząc z charakteru i z pewnych szczegółów, które o sobie opowiadał, musiał być w domu pieczołowanym, a przynajmniej traktowanym ze szczególnymi względami jako chłopiec słaby i delikatny. Do Legionów wstąpił impulsywnie; zapragnął bohaterstwa i sławy, pomyślał sobie, że skoro jest w życiu nieużyteczny, to może choć na tym polu swój czyn wykazać i choćby zginął, przecie coś własnego zdziałać. Tak mi sam pobudki swoje tłumaczył. Jako żołnierz był niezgrabny i mało pojętny, raczej nie sprytny. Brakło mu inicjatywy, domyślności, tej elementarnej zaradności, która jest jedną z największych zalet żołnierza. Wysilał się, starał robić jak najlepiej, ale nie umiał. Poznać w nim było od razu chłopca, który się chował pod skrzydełkiem matczynym, nie radził sobie sam w życiu i potrzebował zawsze kierownictwa i opieki. Naturalnie, że w środowisku żołnierskim taki był zaraz wyśmiany. Komacki zadawał nieraz tak dziecinne pytania co do obowiązków żołnierskich, zasięgał rady w tak elementarnych rzeczach, które każdy inny własnym rozsądkiem od razu bez wahania rozstrzygał, że pobudzał tym jeszcze bardziej kolegów do śmiechu. Toteż Komacki stał się pośmiewiskiem całego plutonu, szczególnie na początku, bo później jakoś przyzwyczajono się doń stopniowo i przestano nań w ogóle zwracać uwagę. Co do mnie, to też mi się Komacki na razie bardzo nie podobał; raziła mnie nie tyle jego niezaradność, ile inne pozorne cechy jego charakteru. Mianowicie Komacki był bardzo łakomy i o ile był niezaradny w rzeczach wojskowych, o tyle wysilał się na ciągłą mrówczą zapobiegliwość i spekulację na zaspokojenie swego łakomstwa; spekulował ciągle na zamiennym handlu bądź papierosów na cukier, bądź jakichś innych rzeczy i robił to po geszefciarsku, jak najohydniejszy sklepikarz-Żyd. Na wszystko inne był obojętny, martwy, niezaradny, jeno na łakomstwo swoje żywy i czynny; na zewnątrz też był posępny i wyglądał zły. Z tego względu był dla mnie niesympatyczny. A w istocie pochodziło to stąd, że gdy zeń wszyscy drwili i prześladowali, wrażliwa i delikatna natura Komackiego zamknęła się na zewnątrz w masce złej sztywności i przykryła się pod pozorami obojętności na wszystko i dla wszystkich. Dopiero w Trojanówce go poznałem bliżej, gdyśmy mieszkali na jednej kwaterze na tygodniowym postoju. Wówczas dopiero poznałem go i zmieniłem o nim zdanie. Tam, gdy go nikt nie prześladował i nie drażnił, porzucił maskę i okazał się, jakim jest: łagodny, cichy, delikatny chłopiec, słabego zdrowia i słabego charakteru.

23 grudnia, rok 1915, czwartek

Święta nadchodzą. W szpitalach wojskowych obchodzą się one uroczystością przede wszystkim gwiazdki. Instytucje i towarzystwa, zajmujące się opieką nad rannymi i chorymi żołnierzami, obdarowują żołnierzy po szpitalach podarunkami, zebranymi w drodze ofiarności publicznej. W szczególności działają w tym kierunku Czerwony Krzyż i Liga Kobiet N.K.N. Kraków, jak Galicja cała, wytężają ofiarność głównie w kierunku zaopatrzenia w podarki gwiazdkowe legionistów. Przez długi miesiąc, a może i dłużej napływały obfite datki na ten cel, tak w naturze, jak w ofiarach pieniężnych, za

które zakupywano następnie artykuły podarków. Prócz Ligi Kobiet, potworzyły się po miastach specjalne w tym celu komitety gwiazdkowe. Duże transporty podarków wysłane zostały w odpowiednim czasie na front. Resztę przeznaczono dla legionistów przebywających w szpitalach, a tych jest obecnie o wiele więcej, niż zostających na linii. My tu mieć będziemy następujący program uroczystości gwiazdkowej: dziś choinka w szpitalu dla wszystkich przebywających tu żołnierzy, tak legionistów, jak Austriaków, jutro zaś po południu wieczerza wigilijna (po naszymu: kucja) u „Sokoła” dla legionistów ze wszystkich szpitalów krakowskich. Jutrzejsza wilia urządzana jest przez Ligę Kobiet; wezmą w niej udział legionści, oficerowie legionowi, panie z Ligi Kobiet, członkowie N.K.N. i zapewne jeszcze liczni goście tak z rozmaitych towarzystw, mających związek z Legionami, jak spośród znakomitszych osobistości krakowskich. Choinka zaś dzisiejsza w szpitalu urządzona była, zdaje się, staraniem miejscowego oddziału Czerwonego Krzyża i nie miała charakteru wyłącznie legionowego. Urządzono ją dziś, żeby umożliwić legionistom pójście jutro do „Sokoła” i w ogóle nie krępować tych, którzy mają w Krakowie rodziny i którzy jutro na dzień wili urlup do wieczora dostaną. Na naszym oddziale szpitala ustawiono choinkę w sali nr 15, sąsiedniej z naszą salą. Przed godz. 3 po południu na sali zebrało się grono pań z Czerwonego Krzyża, ksiądz, jakiś oficer austriacki w stroju galowym, chór złożony z młodzieży, przeważnie szkolnej, lekarze i zwierzchność szpitalna, wreszcie masa żołnierzy-pacjentów szpitalnych. Zapalono świeczki kolorowe na choince. Pierwszy przemówił po polsku ksiądz. Mówił o święcie gwiazdki, o wspomnieniach rodziny, o narodzinach Chrystusa, Mesjasza Miłości, o upragnionym pokoju europejskim, o sercach, które przygarniają żołnierzy, nieco, choć dość umiarkowanie, o Ojczyźnie. Po księdzu przemówił po niemiecku oficer austriacki, po nim jakiś Węgier po węgiersku. Po tych przemowach ksiądz obszedł wszystkich żołnierzy, łamiąc się z nimi opłatkiem. Następnie panie z Czerwonego Krzyża rozdawały w tłumie medaliki wszystkim, kto je chciał mieć i książki do nabożeństwa. Na ogół uroczystość odbyła się bezbarwnie, banalnie, ale przynajmniej prosto, bez wielkich ostentacji, bez zbytniego ceremoniału i pompy, których się obawiałem. Przykre bowiem jest dla obdarowywanych owo publiczne ostentacyjne, łaskawe rozdawnictwo podarków. Jest to tak, jak na drzewku, urządzanym u nas po dworach dla dzieci parobczanych i chłopskich: w kątecisku z ustami otwartymi szeroko, poniekąd z zachwyty, poniekąd z zażenowania, skupi się stropiona gromadka dzieci chłopskich; pośrodku choinka, oświetlona jaskrawo i połyskująca świecidełkami, łakociami i cackami; a z drugiej strony jaśnie panowie i łaskawe jaśnie panie, uszczęśliwiające maluczkich oraz grono dzieci pańskich, przypatrujących się wzruszającej scenie obcowania panów z prostaczkami. Znam te sceny z widzenia i zawsze miałem do nich niechęć, bo wyczuwałem w nich obłudę, a w najlepszym razie konwencjonalną popisującą się dobroć. Robiły one na mnie zawsze przykre wrażenie. Otóż teraz podobnie mi się przedstawiają te uroczystości obdarowywania świątecznego żołnierzy, z tą tylko różnicą, że ja tutaj jestem na stopie owych dzieci parobczanych, a mam od nich czujniejszą świadomość i przeto dokładniejsze poczucie upokorzenia. Myślałem jednak, że będzie gorzej; względnie dość prosto się wszystko odbyło. Najlepszy ze wszystkiego był chór, który odśpiewał parę kolęd i „Jeszcze Polska nie zginęła”. Po tym większość gości się rozeszła; została tylko garstka pań z Czerwonego Krzyża, liczny tłum żołnierzy, przeważnie legionistów, i siostry pielęgniarki. Zaczęło się rozdawnictwo podarków, które były podzielone na poszczególne paczki w papierowych workach; każda paczka była przeznaczona dla jednego żołnierza. Ja i wszyscy chorzy z naszej sali wróciliśmy do siebie przed rozdawnictwem paczek. W naszej sali mieści się element wyborowo inteligentki, najwrażliwszy na takie rzeczy, które mogą tchnąć upokorzeniem. Gdy nas

wywoływano, a nikt z nas się nie stawiał, dr Czaplicki³⁵ nazwał nas podobno z przekąsem „arystokracją czternastki” (sala nasza ma nr 14). Nie arystokracja ale ludzie, kulturalni i wrażliwi. Wiedzieliśmy zresztą, że paczki nam przyniosą. W paczce było kilka jabłek, fig, cukierków, pierniczków, małe lusterko, ołówek, paczki papieru pocztowego, zapalniczka, papierosnica z papierosami, wreszcie wielki sztrucel. Na ogół wcale niezłe podarki. Nie potrzebuję wspominać, że medalików nie brałem i że ten epizod ich rozdawnictwa, niemal forsowania raził mnie przykro. Jestem religijny, dziś bardziej jeszcze wierzący i z Bogiem obcujący, niż może kiedykolwiek dotąd w życiu, ale, Boże! – czyż medaliki należą istotnie do „narzędzi” związku z Tobą?

24 grudnia, rok 1915, piątek

Mieliśmy wilię w „Sokole”, urządzoną przez Ligę Kobiet N.K.N. Ci, którzy mają rodziny w Krakowie, otrzymali ze szpitala przepustki na miasto od południa do godz. 8 wieczór, wszyscy zaś legionieści, z wyjątkiem oczywiście tych, którym stan zdrowia nie pozwala na wstawanie z łóżka, zostali zaprowadzeni do „Sokoła”. Wielka sala „Sokoła” była cała ustawiona długimi, wąskimi stołami, aby jak najwięcej uczestników biesiady mogło się zmieścić. Ze wszystkich szpitali krakowskich przybyły partie legionistów. Żołnierze i oficerowie siedzieli pospół. Obecna była bodaj cała krakowska Liga Kobiet, członkowie N.K.N. i goście z wybitnych osobistości Krakowa. Ogółem było przeszło 500 osób. Przed paru dniami wahałem się jeszcze, czy iść na tę wilię do „Sokoła”. Wieczera ta ma tradycje rodzinnych nastrojów; spożywana jest zawsze w najściślejszym kółku rodziny i ma w sobie ten opłatek, którego przełamywanie, połączone z najgłębszymi życzeniami serca, jest niemal tajemnicą obcowania duchów najbliższych; zdaje się przeto, że wilia spożywana poza rodziną, i opłatek przełamywany pomiędzy obcymi jest niemal świętokradztwem, niemal profanacją tajemnicy najświętszej. Toteż gdy się jest przez okoliczności oderwanym od rodziny, to się zdaje milszą samotność w tej chwili uroczystej, niż wieczerza huczna wśród obcych. Poza tym, na naszej czternastce powstawały uprzedzenia „arystokratyczne” względem tej wili w „Sokole”, ofiarowanej łaskawie przez panie, patronujące Legionom. Węszono coś upokarzającego w tej uroczystości. Poszedłem wszakże – i nie żałuję. Atmosfera nie była wcale napuszona i „łaskawa”, przeciwnie – była serdeczna i prosta, szczerza, choć nie mniej uroczysta. Młodzież, dominująca w Legionach, wniosła gorący ton życia i zapału, ton szczerości, który by sam przez się poskromił i zabił wszelką sztuczność i wszelką konwenansową nadętość; starsi zaś z N.K.N. i z gości cywilnych wniesli niekłamano głęboką wiarę w dzieło Legionów i gorącą serdeczną myśl patriotyczną, która tłumiała całkowicie wszelkie odruchy próżności osobistej i miała ton głębokiej prostoty i prawdziwej podniosłości. Tragiczny moment dziejowy, kiedy się losy Polski wazą w olbrzymim napięciu katastrofy światowej i kiedy ona wskrzesiła z siebie całą moc bohaterskiej ofiary, w Legionach streszczonych, zdawał się w tej uroczystej wili pogłębiać ducha zebranych tu ludzi, umarzając wszystkie powszednie małości. Kraków zaiste jest łonem Legionów. Tu idea Legionów otoczona jest wierną czcią i ciągłym ofiarnym wysiłkiem społeczeństwa. Tu nie trzeba ludzi przekonywać dialektyką, ważyć chłodne polityczne *pro* i *contra*. Wszystko to zostało już zważone i przesądzone, sercem i duchem przepojone, wiarą wielką utrwalone. W Krakowie Legiony mają rzecznika gorącego, legionieści mają serca otwarte. Przemawiał pierwszy Jaworski, prezes N.K.N. Mowa jego była piękna treścią, silna prawdą przekonania. Przemawiało także sporo innych mówców, których wszakże z powodu zgiełku nie było

³⁵ Brunon Czaplicki – doktor medycyny, jako lekarz wojskowy służył w randze kapitana w Legionach Polskich, Polskim Korpusie Posiłkowym i w I baonie sanitarnym WP. W 1926 r. przeszedł w stan spoczynku.

słychać z oddali. Wznoszono wiwaty huczne za ukochanych wodzów legionowych, za świętą Sprawę; chór z galerii wykonywał pieśni narodowe i kolędy, legionieści śpiewali piosenki żołnierskie. Zrobiono parę zdjęć fotograficznych. Panie z Ligi Kobiet krzątały się i usługiwały serdecznie. W Krakowie legionieści – to nie są biedni „maluczy”, znękanii żołnierze, do których wielkie panie i wielcy panowie raczą się zniżać dla zdawkowego osłodzenia ich losu; są oni tutaj najlepszą krwią z krwi, najlepszą kością z kości tych wszystkich panów i pań, Narodu całego. Cześć ich otacza, serca ich pieści, wiara się ich czynu gorąco trzyma. Na sali byli też weterani z roku 1863. Mało ich jest, ale się trzymają dobrze jeszcze, biali starcy, poprzednicy bezpośredni Legionów w łańcuchu narodowego bohaterstwa. Ich postacie w czamarach pośród siwoszarych mundurów legionistów sprawiały wrażenie podniosłe nieprzerwanej ciągłości wielkiego dzieła walki o Wolność. Ze wzruszeniem patrzałem na nich. W sercach tych starców musi być dużo wesela, że oto widzą oni czyn w Narodzie, który ich czynu jest potwierdzeniem i usankcjonowaniem, ich męki uświęceniem. Są odrodzeni i wieczyści, jak wieczystą jest Wolności potrzeba i idea, która w ich Czynie świeciła.

25 grudnia, rok 1915, sobota

Święto Bożego Narodzenia. Smutne ono tutaj dla mnie. Oznajmiono dziś rano, że każdy chory w szpitalu, kto tylko chce, może dziś dostać przepustkę na miasto od godz. 1 do godz. 6 wieczorem. Ci, którzy skorzystają z przepustki dziś, nie będą mogli wyjść na miasto jutro, a jutro udzielone będą także przepustki tym, którzy nie skorzystają z nich dziś. Oto jest cała łaska świąteczna szpitala dla chorych! Wziąłem przepustkę, bo miałem dziś odwiedzić Limanowskich, co już wczoraj zapowiedziałem Zygmuntowi Limanowskiemu i chciałem też być u Sokolnickiego. Limanowskich zastałem, ojca i syna; wypilem u nich herbatki, pogawędziłem i spędziłem czas do godz. 3. Zygmunt Limanowski zakomunikował mi jedną rzecz o możliwości przeniesienia mnie do innego szpitala w Krakowie, o czym wspomnę niżej. O godz. 3 poszedłem do Sokolnickiego. Słyszałem już poprzednio, że Sokolnicki jest chory i podobno leżący. Nie był też wczoraj na willei legionistów u „Sokoła”. Dowiedziałem się wczoraj, że mieszka on w „Grand Hotelu” przy ul. Sławkowskiej. Poszedłem tam. Sokolnicki jest dla mnie w tej chwili centralną osobą w Krakowie. Przez niego chcę się dowiedzieć o możliwościach mojego wyrwania się na urlop lub choćby na razie precz z wojska, słowem – o możliwościach odzyskania swobody, by móc spędzić czas produkcyjniej, niż marnowanie się bezmyślne i bezużyteczne po szpitalach, gdzie człowiek jest gratem szczątkowym żołnierza, jałowym i pustym, i gdzie się jeno raczej rozchorować nerwowo, niż do równowagi i zdrowia przyjść może. Być może, że Sokolnicki nic mi nie poradzi i nie będzie zgoła w stanie dopomóc mi w moich zamiarach. Ale jest on jedynym, w którego przychylność i zrozumienie wszystkich moich pobudek i intencji wierzę i który jednocześnie, będąc członkiem N.K.N., zna dokładnie wszystkie sprężyny i drogi możliwości i ewentualnie sam też może coś zrobić, bo może mieć jakiś głos tam, gdzie głosu tego potrzeba. Są inni nie mniej życzliwi, ale ci są dalsi od tych spraw. A znów inni z N.K.N., jak sam prezes Jaworski, choć zapewne by jeszcze więcej mogli od Sokolnickiego, nie rozumieją mnie i nie oceniają wagi takiego lub innego zużytkowania mojej osoby, to znaczy bądź zużytkowania jej w Wilnie lub w ostateczności gdzie indziej lub inaczej, bądź marnowania mnie, jak obecnie; bo z chwilą, gdy nie mogę być żołnierzem w szeregu na linii, legionistą czynnym tam w ogniu walki z Moskałem, to się w wojsku marnuję, nie tylko bezwzględnie po szpitalach, jak teraz, ale gdybym nawet w jakichś czynnościach tyłowych Legionów był zatrudniony i gdyby nawet obdarzono mnie szarżami. Wojskowym z zawodu nie jestem i w tej dziedzinie żadnych wielkich usług nie oddam; mogę być albo żołnierzem na linii,

prostym i bezpośrednim uczestnikiem rycerskiego czynu, albo być poza wojskiem. Jako żołnierz w szeregu na linii, stoję w ogniu i wiem, czym jestem i co robię: jestem tam jednostką w ruchu. Na tyłach jestem w wojsku niczym: ani rycerzem, ani pożytecznym działaczem w sferze, która mi jest właściwie obcą. Toteż czepiam się teraz Sokolnickiego jako tego jedyne, który mi może poradzić, bo sam zaiste nie poradzę: jestem pionkiem skrępowanym, igraszką wielkiej maszyny wojskowej. A gdyby mi nic Sokolnicki nie mógł poradzić i żadnych dróg wykombinować, to chyba postaram się za wszelką cenę wrócić wprost do Brygady (co też wymaga obejścia form przepisowych) i albo pozostać tam bez względu na zdrowie, albo przez Piłsudskiego być wyznaczonym do jakichś czynności organizacyjnych pozawojskowych w Królestwie. Niestety – Sokolnickiego nie zastałem. W Grand Hotelu powiedziano mi, że Sokolnicki wyniósł się wczoraj i przejechał do „siebie”, gdzieś na Zwierzyńiec, ale adresu dokładnego nie wiadomo. Musiałem wrócić do szpitala, bo więcej nie miałem nic na mieście do robienia. Innym razem dowiem się adresu Sokolnickiego przez Limanowskiego albo w biurze N.K.N., które dziś jest zamknięte.

Limanowski Zygmunt mówił mi dziś, że rozmawiał o mnie z lekarzami szpitala dr Piltza³⁶; jest to szpital wojskowy dla chorych nerwowo. Lekarze tamtejsi zgadzają się mnie przyjąć i gotowi są nawet dać mi osobny pokój oraz obiecują mieć dla mnie wzgląd szczególny. W szpitalu tamtym ma się podobno więcej swobody, można wychodzić na miasto i w ogóle lekarze są staranni i względni dla chorych, a o mnie są już uprzedzeni przez Limanowskiego. Limanowski radzi mi bardzo, abym z tego skorzystał i przeniósł się tam. Powiada, że nie tylko będę tam swobodniejszy, ale że ewentualnie dla urlopu czy superrewizji łatwiej będzie tam o odpowiednią opinię czy orzeczenie lekarzy, niż tu w tym szpitalu, w którym teraz jestem. Ale potrzeba, żeby nasz lekarz Czaplicki orzekł o potrzebie przeniesienia mnie do szpitala Piltza i skierował mnie tam. Otóż dziś wieczorem wspomniałem Czaplickiemu o tym. Ale gdzie tam! Czaplicki ani chce słyszeć o tym. Powiada, że nie widzi potrzeby i że nie ma żadnej podstawy jako lekarz do skierowania mnie do tego szpitala, a że kwestia większej wygody dla mnie nie może być żadną racją po temu. Na próżno mu przedstawiałem, że skoro tamci lekarze zgadzają się mnie przyjąć, to przecie dość byłoby formalności skierowania mnie, bez jakichś głębszych podstaw. Ale nic z tego. Czaplickiego się nie przekona. Zły jestem na niego, bo doprawdy przykry to człowiek. Podobno ma być „dobrym człowiekiem”, ale ja dostrzegam w praktyce tylko jedno: tak, dla pań z Czerwonego Krzyża, dla łaskawego obdarowywania nas przez nie ciastkami i tortami świątecznymi jest pełny zachwyty i rozczulenia nad ich wspaniałomyślnością i dobrocią, którą nam wciąż w oczy tyka, a dla nas ma tylko przestrzeganie rygoru, ograniczanie przepustek, strzyżenie pod maszynkę, pilnowanie, abyśmy szli do „Sokoła” koniecznie tylko parami, co już i feldfebel bez niego dopilnować potrafi, słowem – ma dla nas w praktyce kamień zamiast tego serca, którego dostrzec niepodobna i tylko utrudnianie nam warunków pobytu; a wobec tych rozczulań się nad wspomnianą dobrocią tych pań, którym bynajmniej ujmować zasługi nie myślę, czy

³⁶ Jan Piltz (1870-1930), lekarz neurolog i psychiatra. Studiował w Zurychu nauki przyrodnicze i matematykę oraz w Bernie rozpoczął studia lekarskie. Asystent kliniki psychiatrycznej uniwersytetu w Zurychu (II-V 1895); w Petersburgu (IV 1897 – VIII 1898), asystent w klinice i katedrze neuropatologii i psychiatrii Akademii Wojskowo-Medycznej; wicedyrektor kliniki psychiatrycznej w Lozannie (IV 1899 – I 1900); pracownik kliniki neurologicznej w Paryżu (I-XII 1900). Od 1902 r. w Królestwie Polskim. Twórca oddz. Neurologicznego w Praskim Szpitalu Miejskim w Warszawie i fundator pracowni histopatologicznej. Od r. 1905 prof. UJ, twórca kliniki neurologiczno-psychiatrycznej w Krakowie (1914). Zbudował aparat dla fotografowania źrenicy w czasie jej ruchów. Członek komitetu budowy Zakładu Krajowego dla Umysłowo Chorych Zachodniej Galicji w Kobierzynie. Opublikował ok. 50 prac w językach: polskim, niemieckim i francuskim oraz wiele artykułów w prasie codziennej.

choćby się zastanowi, ile tam może który z legionistów poświęcił ze swego życia i co złożył w ofierze do Legionów stając.

26 grudnia, rok 1915, niedziela

Stan mego serca względnie się polepszył. Strophantus, który biorę regularnie trzy razy dziennie po 12 kropel, działa skutecznie. Gdy przez dłuższy czas leżę albo siedzę spokojnie, a także w nocy serce się uśmierza zupełnie i bije regularnie. Rano wszakże, gdy wstanę i aż do obiadu – bicie serca się ponawia. Gdy wychodzę też na miasto i przejdę się trochę, zawsze mam bicie serca. Szczególnie zaś szkodzi mi chodzenie po schodach. Wszelkie też większe poruszenie, dyskusja, rozmowa żywsza, jakaś wiadomość, obchodząca mnie więcej sprawia ten sam skutek. To bicie serca jest przykre nie tylko samo przez się, ale przez to, że wywołuje jakiś niepokój wewnętrzny, a czasami nawet depresję. Dr Czaplicki powiada, że moje cierpienie sercowe nie ma źródła w nerwach, jeno ma charakter czysto fizyczny: osłabienie kłap sercowych – rozszerzenie serca. Zdaje się, że na takie cierpienie strophantus powinien dobrze skutkować, bo własnością jego jest wzmacnianie mięśni sercowych. Temperaturę miałem przez cały czas podniesioną, przeciętnie po 37°-37,5°. Dziś po raz pierwszy miałem znów temperaturę normalną: rano 36,3°, wieczorem 36,7°. Na miasto dziś nie wychodziłem; nie mogłem dziś mieć przepustki, a zresztą dzień był ohydny, mgła z drobnym deszczkiem.

Przechodzę do moich wspomnień i pamiętnikarskich pogawędek. W moim dzienniku wielokroć podnosiłem zasługi I Brygady i wynosiłem ją ponad inne brygady. Mogłoby się здаwać, że inne brygady Legionów lekceważę i nie doceniam ich zasług i zalet we wspólnym bądź co bądź dziele. Szczególnie do pułku VI są w moim dzienniku pewne zwroty, tchnące być może nawet niechęcią. Naturalnie, że brygady i pułki Legionów mieć będą – i już mają – swoich historyków, którzy kompetentniej ode mnie zważą i ocenią ich czyny, toteż moja obrona, moja protekcja nie jest im zgoła potrzebna. Ale chcę być obiektywny w dzienniku i odpowiednio do zakresu moich wiadomości oddać każdemu, co mu się słusznie podług zasług należy. Nie chcę też, aby pozostało wrażenie, że I Brygada tylko siebie ceni, a innym zaszczytu ujmuje i dumnie siebie tylko na piedestał wynosi, odrzucając inne brygady na poziomy czegoś mniej godnego, czegoś pośledniejszego w wielkim dziele Legionów. I Brygada góruje nad innymi – osobą Piłsudskiego. Z osoby jej wodza, Piłsudskiego, który jest istotnym obecnego polskiego ruchu zbrojnego twórcą i duchowym wodzem, płyną wszystkie ideowe elementy przewagi I Brygady: przede wszystkim to, że jest ona nie austriacką, ale narodowo-polską formacją wojskową z ducha i praktyki, i że służy ona nie polityce Komendy Legionów, polityce austriackiej, ale polityce Piłsudskiego, polityce państwowej polskiej. To jest najgłębszy i najtreściwszy element przewagi I Brygady. Skądinąd zaś II i III Brygada są jak najbardziej godnymi współnikami I-wszej w wielkim wspólnym dziele Legionów. II Brygada zdolnością dowódców (Haller³⁷, Januszajtis³⁸, Zieliński, śp. Wąsowicz³⁹ i wielu innych) oraz wspaniałą dzielnością i

³⁷ Józef Haller (1873–1960), generał broni, Organizator Połowych Drużyn „Sokoła” okręgu lwowskiego. Organizator Legionu Wschodniego, następnie dowódca I batalionu 3 pułku piechoty, od lipca 1916 r. dowódca II Brygady Legionów, potem Polskiego Korpusu Posiłkowego. Po bitwie pod Rarańczą 15/16 lutego 1918 r. przedarł się na stronę rosyjską i objął dowództwo II Korpusu Polskiego. W l. 1918-1919 dowódca Armii Polskiej we Francji. W wojnie polsko-sowieckiej 1920 r. Generalny Inspektor Armii Ochotniczej. Zmarł na emigracji.

³⁸ Marian Józef Januszajtis pseud. Żegota (1889-1973), generał dywizji w st. sp., inżynier rolnik. Absolwent Akademii Rolniczej w Dublanach. Współorganizator i komendant od 1912 r. Polskich Drużyn Strzeleckich. Uczestnik wyprawy na Kielce w sierpniu 1914 r. jako d-ca I baonu 1 pp. Z ramienia NKN organizował 2 pp. z którym wyruszył na Węgry 30 IX 1914 r. Od 15 IV 1915 r. dowodził 2 pp. Był

męstwem żołnierzy nie ustępuje ani kroku Brygadzie I. Ma ona świetne bohaterskie karty w dziejach czynów swoich, karty, które ją stawiają na najszczytniejszym poziomie polskich dziejów wojskowych. Dla tych czynów II Brygady jest w I Brygadzie szczere, rzetelne uznanie, bez krzty zawiści, bez najmniejszej tendencji obniżenia jej zasług. I Brygada żywi nawet więcej niż koleżeństwo dla II Brygady: żywi ona dla niej serdeczne, poniekąd rzewne współczucie jako dla nieszczęsnej a wspaniałej zasługami siostrzycy, którą los od początku rzucił na dalekie obce kresy, na krwawe boje po cudzych ziemiach, od Węgier poprzez Bukowinę na Besarabię. W biesiadach i uroczystych chwilach w I Brygadzie wspominana jest zawsze ta daleka II Brygada ze czcią szczególną i wzruszeniem, jak się wspomina brata, oderwanego od rodziny a jaśniejącego z dala czynami. Męczeńską jest ta pielgrzymka II Brygady po obcych ziemiach, i któż by to jej za winę poczytał i serca jej swego ujął? I czy winien żołnierz - legionista II Brygady, że nie ma za wodza Piłsudskiego, że jest igraszką bierną w rękę prądów politycznych, które władają Komendą Legionów, że nie ma w swoich szeregach tego ducha obywatelskiego, którym tak pięknie przepoili Piłsudczycy Brygadę I-szą, że wreszcie stosunki między oficerami a żołnierzami (wyłączając kawalerię wszakże) są tam cięższe, niż w Brygadzie I-szej? Ten brat legionista II Brygady poszedł do szeregu z tą samą iskrą wiary, co strzelcy I Brygady, dla tej samej Sprawy, dla tej samej świętej idei. Co winien, że losy mu dały część gorszą, że może spaczyły nawet w pewnej mierze wielką Sprawę i wciągnęły dzieło w łożysko służby austriackiej, z czym walczy ciągle i czemu się wciąż najmocniej opiera I Brygada. I Brygada jest szczęśliwsza tylko, bo ma Piłsudskiego i bo walki jej wypadły na ziemiach polskich. II Brygada wróciła teraz z dalekiej Besarabii, ale i tu trafiła w dalekie półdzikie Polesie, poza Polskę właściwą. Waleczna jest i dzielna II Brygada, ale też krwawe są niezwykle jej dzieje. Poniosła ona wielokroć straty tak dotkliwe, jak chyba po raz pierwszy teraz doświadczyła szczęśliwsza dotąd od niej I Brygada – na Polesiu w końcu października i listopadzie. Zresztą i II Brygada tutaj, po przybyciu na Polesie, nie mniejszą od razu złożyła daninę krwi.

27 grudnia, rok 1915, poniedziałek

Nigdy II Brygada nie jest krzywdzona w uczuciach legionistów I Brygady. Jest zawsze wielkie uznanie dla jej czynów i serdeczne współczucie dla jej doli, która ją zagnała het na kresy, poza ojczyznę ukochaną. Nie spotkałem nigdy drwin lub jakichś złośliwości w stosunku do II Brygady. I Brygada wyczuwa swoją wyższość, ale wyższość nie zasług, czynów i ideałów, jeno wyższość osoby swego wodza Piłsudskiego, z którego płynie doskonalsza trafność jej dróg w służbie wspólnego ideału. Taka wyższość daleką jest od chępliwości, bo nie polega ona na własnej wartości wewnętrznej, jeno na czynniku zewnętrznym, czynniku osoby Piłsudskiego. Jest to tak samo, jak gdyby stały dwa bloki

dowódcą I Brygady do marca 1917 r., następnie przeszedł do Inspekcji Wyszkożenia PSZ. W nocy z 4 na 5 stycznia 1919 r. wziął udział w zamachu stanu przeciwko rządowi J. Moraczewskiego. Od 1 II 1920 r. był d-cą OW Chełmno, w marcu 1920 r. mianowany gen. brygady i dowodził 12 DP na Ukrainie. W l. 1924-1926 był wojewodą nowogródzkim. W 1929 r. przeszedł w st. sp. Po kapitulacji Lwowa we wrześniu 1939 r. przejął funkcję komendanta tajnej POW, aresztowany przez Rosjan 27 X 1939 r. Zwolniony w 1941 r., wyjechał do Londynu, w l. 1942-1947 był inspektorem ds. Zarządu Wojskowego i przew. Wojskowego Trybunału Orzekającego. Zmarł na emigracji.

³⁹ Zbigniew Dunin-Wąsowicz (1882-1915), absolwent korpusu kadetów w Łobzowie. W 1910 r. mianowany ppor. kawalerii. W 1912 r. jako por. kawalerii przeszedł do rezerwy. W sierpniu 1914 r. objął dowództwo oddziału Sokołów Konnych przy oddziale J. Piłsudskiego. Po połączeniu Sokołów z kawalerią W. Beliny-Prażmowskiego odszedł do Krakowa dla formowania dalszych oddziałów kawalerii. Sformował 2 szwadron kawalerii LP. Poległ 13 czerwca 1915 r. pod Rokitną prowadząc szarżę 2 szwadronu.

marmuru, oba równie nieskazitelne, równie doskonałe; z jednego mistrz wyrzeźbił arcydzieło, z drugiego inny rzeźbiarz mniejszej miary zrobił mierne dzieło sztuki; zasługa wyższości pierwszego nad drugim jest zaiste w mistrza talencie, nie zaś w naturze pierwotnej marmuru. Powiedziałbym raczej, że o ile przynajmniej teraz po szpitalach zaobserwować zdołałem, stykając się z legionistami II Brygady, większą i częstszą zawiść i czasami nawet jakby źle tajoną niechęć do I Brygady u legionistów z II-giej, niż odwrotnie. Legioniści z II Brygady, którzy tyle wycierpieli w Karpatach, w Siedmiogrodzie i na Bukowinie i tylu czynami wspinałymi się wsławili, jakby zazdroszczą I Brygadzie jej legendy i sławy szczególnej w Narodzie i nieraz z przekąsem się o niej odzywają, wytykając zwłaszcza „szczęście” I Brygady w małej względnie ilości strat i szydząc sobie z lekka z tych „obywatelskich” tendencji, które I Brygada utrzymać usiłuje i którymi się szczyci. Jest to zawiść i jakby poczucie krzywdy, że za tyle ofiar i męki nie ma się takiego uznania i takiej chwały, co ma Brygada I-sza. Niesłuszne uczucie, bo chwała wojskowa II Brygady jest przez jej czyny tak ustalona, że świeci dziś jasno i przejdzie w całym swym blasku do historii, a nikt jej zresztą niczego ujmować nie myśli; ale wartość takiego czynu, jak legionowy, mierzy się nie tylko zasługami oręża, ale też metodami służenia Sprawie i celnością takowych w zastosowaniu do warunków i okoliczności politycznych, tak wewnętrznych, jak zewnętrznych, niezmiernie skomplikowanych i ciężkich w położeniu obecnym. Otóż na tym się właśnie zasadza wyższa wartość I Brygady, kierowanej ręką Piłsudskiego. W tym nie ma żadnej ujemy dla wojennych zasług Brygady II. Zastrzegam się, że te elementy zawiści nie są, o ile obserwowałem, powszechne wśród legionistów II Brygady: są one częstsze wśród szarż (kaprale, sierżanci), niż wśród szeregowców, i wśród kawalerii, którą drażni Beliny sława, niż wśród piechoty (dlaczego? – czyż szarża Wąsowicza pod Rokitną jest mniej popularną i mniej chluby zasłużonej a głośniejszą, niż imię i dzieło Beliny?). Słowo teraz o III Brygadzie. Trudno o niej dotychczas mówić jako o całości, tak jak się mówi o Brygadzie I-szej lub II-giej. Dwa bowiem pułki, z których się ona składa, pułk IV i pułk VI, do ostatnich czasów działały osobno, bez żadnego ze sobą związku; nie mają więc żadnej wspólnej historii, żadnych wspólnych czynów ani wspólnej tradycji. Są to dwa nowe pułki. Pułk IV był długo formowany i wyruszył wreszcie w pole latem roku bieżącego, mniej więcej w końcu czerwca czy początku lipca pod wodzą Roi. Na placu boju stanął w Lubelskiem; debiut miał niefortunny; poniósł ciężkie straty w pierwszej większej bitwie, zdaje się, pod Jazdkowem⁴⁰. W kampanii poleskiej pułk IV był przydzielony do grupy Piłsudskiego wespół z tzw. II pułkiem naszej Brygady (czyli pułkiem V podług numeracji urzędowej). Tam pod Kołkami, w okolicach Łucka, pod wodzą Piłsudskiego pułk IV zajaśniał wspinałymi czynami wojennymi. Pułk ten przez swoją przynależność do grupy Piłsudskiego, podczas której właśnie przeszedł przez swoją najchlubniejszą próbę ogniową, spokrewnił się z I Brygadą i stał się poniekąd pułkiem piłsudczyków. Więzy sympatii, uznania i współdziałania, które się zadzierzgnęły między IV pułkiem a Piłsudskim, nie dadzą się łatwo zerwać i pozostaną głęboko wryte w pamięci i sercu czwartaków. Gdy IV pułk w listopadzie (czy grudniu) odchodził od Piłsudskiego, Piłsudski pożegnał czwartaków śliczną odezwą-rozkazem, w którym podniósł ich zasługi i czyny i podkreślił braterstwo z nimi. Czwartacy duchem spokrewnili się z piłsudczykami. Pozostaje wreszcie pułk VI, najmłodszy w Legionach. O nim w dzienniku moim są liczne wzmianki, bośmy w kampanii poleskiej byli razem; ze wzmianek tych może powstać wrażenie mojej wielkiej niechęci do tego pułku. Pułk ten dopiero we wrześniu wyruszył w pole i dognał nas nad Styrem, gdzie rozpoczął swój

⁴⁰ Bitwa pod Jastkowem miała miejsce od 30 lipca do 1 sierpnia 1915 r.

debiut pod wodzą Ryłskiego jako bezpośredniego dowódcy i Grzesickiego jako brygadiera. Pułk VI miał wielu niedoświadczonych oficerów, fabrykowanych na poczekaniu z kiepskiego elementu przy bardzo pośpiesznym formowaniu pułku. To była jedna z jego plag. Debiut wypadł dla nich bardzo nieszczęśliwie. Trafili zresztą na najgorszy moment w kampanii poleskiej, kiedy Moskale skupili się do forsownego oporu i kontrataku. Szósty pułk poniósł straty ciężkie, został niemal zdziesiątkowany. Wielki jest w tym pułku procent dzieci, z których mnóstwo rychło odpadło; pułk zaś po licznych porażkach i klęskach zrehabilitował się w krwawych walkach pod Kukłą (czy: Kukłami), gdzie wśród ciężkich strat dokonał czynów dość znacznych. Materiał żołnierski w VI pułku jest waleczny i dzielny, ale dowództwo było złe.

28 grudnia, rok 1915, wtorek

Zaszczepiono mi dziś po raz pierwszy tyfus. Dr Czaplicki przy wizycie rannej, badając mi serce, pokiwał głową i nie wiem, po raz już który powtórzył, że serce mam liche.

Gdy mu wspomniał, że chcę dziś wyjść na miasto, nie zaoponował mi kategorycznie, ale odradzał, mówiąc, że każde wyjście i chodzenie po schodach na pięć dni zepsuje to, co już przez leczenie było osiągnięte; dodał, że stan mojego serca jest gorszy, niż przypuszczam i że jeżeli wkrótce się nie polepszy, to on będzie zmuszony skierować mnie do superrewizji (to znaczy skierować przed komisję, która orzeka o ewentualnej niezdadności do służby wojskowej i zwalnia od wojska). Odpowiedziałem na to, że wolałbym dłuższy urlop dla poratowania zdrowia, niż zwolnienie całkowite. Czaplicki zaznaczył, że taki urlop możliwy jest także li tylko w drodze superrewizji. Z tej rozmowy z dr Czaplickim wnoszę, że nie jest wykluczonym wydostanie się moje na swobodę dla ewentualnej później jazdy do Wilna – w drodze zupełnie formalnej, bez żadnych szczególnych starań i zabiegów. Nie jest to zresztą jeszcze pewne, ale w każdym razie wobec stanu mego serca – możliwe.

Otrzymanie przepustki dla wyjścia na miasto połączone jest w tym szpitalu z licznymi formalnościami. Przede wszystkim, musi się uprzedzić ordynującego lekarza przy wizycie, to znaczy u nas Czaplickiego, i uzyskać jego zgodę. Wówczas się staje „do raportu” przed osobą naczelnego lekarza – komendanta szpitala. W tym celu o godz. 10 wszyscy mający stawać do raportu, bądź dla otrzymania przepustek, bądź dla zameldowania samego odjazdu ze szpitala, bądź dla innych powodów, w tej liczbie też ci, którzy są winni jakichś wykroczeń i których się prowadzi do raportu dla wymiaru kary przez komendanta, zbierają się na korytarzu I piętra. Tam sanitariusz sprawdza nazwiska wszystkich zebranych i przedstawia spis dr Czaplickiemu, który go kontroluje. Ci, którzy odjeżdżają ze szpitala, otrzymują do rąk jakieś kartki, na których wypisany jest, zdaje się, przebieg ich choroby, konkluzja lekarza i miejsce, dokąd są skierowani; kartki te muszą oni przedstawić przy raporcie komendantowi. Następnie paru sanitariuszów prowadzi całą gromadkę w szeregu parami do obiektu I, gdzie się odbywa procedura „raportu”. Tam gromadki z każdego obiektu (są w tym szpitalu cztery obiekty, czyli wydziały) ustawiają się rzędem wzdłuż korytarza. Każdej gromadce towarzyszy jej lekarz. Po dosyć długim oczekiwaniu, które dziś trwało koło godziny, ukazuje się komendant – naczelnny lekarz dr Pakosz⁴¹, człowiek starszy, wysoki, szczupły, srogi z oblicza i mowy, trochę głuchy, w asyście jakichś podoficerów kancelaryjnych, którzy notują prośby i rezolucje. Pakosz idzie wzdłuż szeregu, stając przy każdym interesancie z kolei. Wówczas ten, który jest z kolei, salutuje go i melduje mu swój interes. Pakosz słucha i wydaje rezolucję, czasem gromi petenta. Po obejściu

⁴¹ Tadeusz Pakosz, starszy lekarz sztab. garnizonu krakowskiego.

całego szeregu Pakosz oświadcza, że raport zakończony, jeden z feldfeblów woła „Baczność!” – i po wszystkim: gromadki wracają do odnośnych obiektów. Otrzymawszy przepustkę, wyszedłem po obiedzie o godz. 1 na miasto. Przede wszystkim, pośpieszyłem do biura Naczelnego Komitetu Narodowego, aby dowiedzieć się adres Michała Sokolnickiego. Trafiłem tam na ostatnią chwilę, bo właśnie o godz. 1 biuro się zamyka; zastałem już funkcjonariuszy wychodzących. Spotkałem tam aż dwóch znajomych: dr Stanisława Kota, redaktora „Wiadomości Polskich” i kierownika biura prasowego przy Departamencie Wojskowym N.K.N. w Piotrkowie, który tu przyjechał na święta do rodziny, oraz Leona Wasilewskiego⁴², starego publicystę PPS-owego pod pseudonimem ongi Płochockiego i autora „Litwy i Białej Rusi”; Wasilewski zatrudniony jest obecnie w biurze N.K.N. Ucieszyłem się z tego spotkania, bo choć do dr Kota wielkiej sympatii osobistej nie mam, a z Wasilewskim miałem w przeszłości pewne zatargi publicystyczne, jednak wierzę, iż wyczuwają oni we mnie obecnie sprzymierzeńca, mają uznanie dla mego charakteru legionisty i w niejednej rzeczy mogą mi się okazać użytecznymi. Obaj wiedzieli już o tym, że jestem w szpitalu, ale myśleli, że jestem jeszcze w Rzeszowie. Obaj wyrazili chęć widzenia się ze mną i przyrzekli, że się postarają mnie odwiedzić. Pożegnawszy ich, pośpieszyłem do Sokolnickiego, którego zastałem w mieszkaniu jego rodziców, leżącego, chorego na influencję i zapalenie ściegna. Z Sokolnickim nagawędziłem się do syta przez 1 ½ godziny, które u niego spędziłem. O rozmowie tej i jej temacie napiszę jutro. Dwa były momenty naszej rozmowy: jeden o sposobach dostania się mego do Wilna, i drugi – o stosunku polskiej Sprawy Niepodległościowej do Litwy. Przede wszystkim więc o pierwszym. Wbrew moim pesymistycznym przypuszczeniom, Sokolnicki nie wątpi bynajmniej o znalezieniu tej lub innej drogi do dostania się mego do Wilna. Osobiście bardzo on tego pragnie, bo do Wilna przywiązuje bardzo wielką wagę i uważa za niezbędne nawiązanie z Wilnem kontaktu, do czego właśnie ja, jako Wilnianin, najlepiej się nadaję. Toteż Sokolnicki szczerze to bierze do serca. Powiada, że obmyślił on dwa ewentualne sposoby dopięcia tego. Pierwszy sposób – to droga legionowa: trzeba mnie przydzielić do Departamentu Wojskowego N.K.N. w Piotrkowie, a następnie Departament wydelegowałby mnie w jakiejś formie do Wilna, jak mu się udaje delegować czasem do Warszawy. Sokolnicki pisał już w tej materii do Piotrkowa, ale odpowiedzi jeszcze nie ma. Sam Sokolnicki uważa jednak tę drogę za niepewną i przewiduje trudności, które mogą stanąć na przeszkodzie. Powiada on, że stosunki Departamentu Wojskowego, jego traktowanie przez władze niemieckie na niemieckim terenie okupacyjnym i przeto zakres tego, co Departament w tej mierze uczynić może, ulegają ciągłym fluktuacjom i są zmienne z tygodnia na tydzień; niczego więc ściśle przewidzieć nie można. Sądzę, że względem Wilna władze niemieckie będą jeszcze trudniejsze dla Departamentu, niż względem Warszawy.

29 grudnia, rok 1915, środa

Dr Czaplicki, badając mnie dziś rano, zażartował, że chyba do marynarki byłbym zdatny, bo do piechoty ani kawalerii nie, ale ponieważ polskiej floty nie ma, więc ze służbą czynną w wojsku wypadnie mi się chyba pożegnać. To znaczy, że Czaplicki jest coraz bardziej przekonany o złym stanie mego serca i coraz bardziej się skłania do skierowania mnie do superrewizji. Ciekawe, że ja sam nie wiedziałem dotąd o mojej

⁴² Leon Wasilewski (1870-1936), polityk, publicysta, dyplomata. Działalność polityczną rozpoczął w Lidzie Narodowej (1893-1894), od 1896 r. w PPS. Redaktor prasy partyjnej („Robotnik”, „Przedświt”). W latach wojny aktywny działacz Polskiej Organizacji Narodowej (1914), NKN (1915-1917), CKN (1917), POW i członek Tymczasowej Rady Stanu (1917). W wolnej Polsce minister spraw zagranicznych (1918-1919) oraz członek delegacji polskich na konferencje międzynarodowe.

chorobie sercowej. Wprawdzie wiedziałem, że jest tam jakiś feler, ale nie leczyłem się nigdy na serce i nie domyślałem się, że jest tak źle. Może zresztą Czaplicki przesadza i bierze przejściowe bicie serca za wadę stałą. Otrzymałem dziś list od niejakiego p. Lewenberga⁴³, inżyniera z Krakowa, którego zgoła nie znam. Chodzi o rzecz taką. Z Rzeszowa pisałem do prof. Józefa Pomorskiego w Warszawie, prosząc go o zawiadomienie Maryni w Wilnie o tym, że jestem w Legionach i że obecnie dostałem się do szpitala. Pierwszy list do Pomorskiego spróbowałem wysłać pocztą, ale mi go z poczty zwrócono, ponieważ komunikacji pocztowej prywatnej z Warszawą nie ma. Wówczas posłałem drugi list do Pomorskiego na ręce p. Zenona Wierzchowskiego w Piotrkowie w Departamencie Wojskowym, prosząc go o przesłanie tego listu do Warszawy, gdyby była możliwość. Jednocześnie prosiłem Pomorskiego, aby zawiadamiając Marynię o mnie, poprosił ją o przysłanie dla mnie na ręce Pomorskiego kwoty pieniężnej ± 100 rubli. Otóż ten p. Lewenberg, który teraz pisze do mnie, zna Pomorskiego i widział się z nim niedawno w czasie pobytu w Warszawie. Pomorski list mój otrzymał i prosił p. Lewenberga o napisanie do mnie z Krakowa. O rodzinie mojej, nawet o Zysiącach Komorowskich, Pomorski nic nie wie, obiecuje nawet, że postara się zawiadomić moją rodzinę o mnie. Dalej Pomorski zawiadamia mnie przez p. Lewenberga, że na sukurs pieniężny od niego mogę liczyć i że jeno zachodzi trudność dostarczenia mi takowego, p. Lewenberg zaś od siebie proponuje mi awansem *a conto* tej sumy 100 koron, które później sobie od Pomorskiego odbierze. Podziękuję p. Lewenbergowi za jego uprzejmość, ale pieniędzy tych nie wezmę, ponieważ na razie tutaj nie są mi one potrzebne. Właściwie to i Pomorskiego o sukurs pieniężny nie prosiłem, jeno chciałem skorzystać z pośrednictwa jego, aby na jego ręce Marynia przesłała pieniądze dla mnie, bo łatwiej mi je będzie otrzymać z Warszawy, niż wprost z Wilna. W każdym razie cieszę się, że może przez Pomorskiego Maryńka coś się o mnie dowie i dobrze mi też wiedzieć, że w razie czego mogę się odwołać po pieniądze do Pomorskiego, gdyby mi zabrakło.

Teraz przechodzę do mojej wczorajszej rozmowy z Sokolnickim i przede wszystkim do tej jej części, która dotyczy ewentualnych sposobów dostania się do Wilna. Pierwszy sposób drogą legionową przez Departament Wojskowy, o którym pisałem wczoraj, wydaje mi się najmniej pewny. Sokolnicki pomyślał i o innym sposobie. Mianowicie jechanie po cywilnemu jako Wilnianin, który chce wrócić do kraju, nie zdradzając wobec władz niemieckich mego charakteru legionisty. Na to trzeba się wystarać o pozwolenie u odnośnych władz niemieckich. Sokolnicki powiada, że tu by mogło dużo dopomóc moje nazwisko, które ma brzmienie niemieckie i które jest znane na Litwie. Wprawdzie nie mam tu krewnych wśród arystokracji galicyjskiej, ale ewentualnie mógłby te starania moje poprzeć hr. Jerzy Mycielski⁴⁴, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, posiadający stosunki w Berlinie, i Sokolnicki też mógłby mi swymi stosunkami służyć. Trzeba tylko poprzednio uregulować moje dokumenty cywilne tutaj. Ta droga nie wydaje mi się też zresztą bynajmniej łatwa, bo choć mam w Piotrkowie mój zagraniczny paszport rosyjski, to przecież musiałbym jakoś wykazać mój pobyt od czasu przejazdu granicy rumuńsko-austriackiej aż dotąd, a jak to zrobić z zatajeniem mojego udziału w Legionach? Bo dopóki nie zostanę z Legionów formalnie uwolniony albo dopóki nie otrzymam formalnego urlopu, to przecież zawsze obowiązany będę do służby i ulegalizować dokumentów moich z pominięciem mojej do Legionów

⁴³ Lewenberg – brak bliższych danych.

⁴⁴ Jerzy Mycielski (1856-1928), historyk sztuki i kolekcjoner, prof. UJ, od 1902 r. członek AU, członek austriackiej Izby Panów. Współdziałał z NKN szczególnie w okresie przeniesienia jego siedziby do Wiednia w 1914 r. Publikował prace z dziejów malarstwa polskiego i obcego. Swą kolekcję obrazów ofiarował zbiorom na Wawelu.

przynależności się nie da. Sokolnicki ma w ostateczności jeszcze trzecią kombinację, najbardziej może awanturniczą ze wszystkich, ale może też najrealniejszą. Powiada mianowicie, że N.K.N. czy też Departament Wojskowy ma własny automobil, który może jeździć swobodnie po całym terenie wojennym, nie wyłączając nawet Litwy. Jadący tym automobilem nie podlegają zwykłym przepisom i ograniczeniom co do podróżujących po terenie okupacyjnym. Otóż można by mnie zawieść po prostu tym automobilem do Wilna. Wprawdzie nazajutrz po przyjeździe władze pruskie mogą wyprosić przyjezdnych gości automobilowych, ale ja jako stały mieszkaniec Wilna, co oczywiście mógłbym zawsze w Wilnie udowodnić, zostałbym na miejscu. Ale tę drogę rezerwuje Sokolnicki tylko na ostateczność. To by już tylko w marcu dało się zrobić, gdy drogi na Litwie będą wolne od śniegów. Wszystkie sposoby Sokolnickiego są niepewne, ale w każdym razie Sokolnicki myśli o tym i ma mnóstwo kombinacji. Bodajże najprostszą formalnie byłaby droga urlopu przez superrewizję, droga, na którą może mechanicznie skierowany zostanie ze szpitala. W każdym razie, dla wszelkich pomysłów Sokolnickiego, dla wszystkich jego domniemanych sposobów niezbędne jest przydzielenie mnie poprzednio do Departamentu Wojskowego w Piotrkowie. Inaczej bowiem nic przedsięwziąć nie będę w stanie, bo nie będę od siebie zależnym i li tylko pionkiem, szeregowcem, odesłanym ze szpitala będę. Tylko przy Departamencie Wojskowym będę miał swobodę przygotowania sobie dróg do Wilna. Otóż pierwszą rzeczą w programie Sokolnickiego jest przydzielenie mnie do Departamentu. W tej materii skierował mnie on do pani Heleny Radlińskiej⁴⁵, z którą się postaram zobaczyć przy następnym wyjściu.

30 grudnia, rok 1915, czwartek

Na sali naszej jest obecnie pielęgniarką siostra Morzycka⁴⁶. Przyszło mi dziś na myśl spytać ją, czy nie jest ona krewną p. Witolda Morzyckiego⁴⁷, inżyniera w Petersburgu, żonatego z panią Krystyną, Komorowską⁴⁸ z domu, siostrą Zysia Komorowskiego. Okazało się, że jej mąż Karol Morzycki⁴⁹, jest stryjecznym bratem Witolda i że nasza pielęgniarka, siostra Morzycka, zna go dobrze i nawet była u Witoldostwa Morzyckich w Naukacie w Turkiestanie, gdy oni tam przed kilku laty mieszkali. Jej mąż, Karol Morzycki, osiadł nawet na stałe w Turkiestanie, mianowicie w Kokandzie, gdzie założył, zdaje się, jakieś biuro techniczne, i jest tam obecnie, ona zaś została odcięta przez wojnę w Krakowie, dokąd była przyjechała dla wychowania dzieci, i wstąpiła na pielęgniarkę do szpitala wojskowego. Tak oto znajduję tu przypadkowo związki wspólnych znajomości i powinowactwa. Miło jest zawsze, będąc daleko od swoich, natrafić na kogoś, z kim można wspólnych znajomych czy krewnych ze swoich stron odszukać.

Dr Czaplicki spytał mnie rano przy wizycie, na co się decyduję: czy być przedstawionym do superrewizji, czy też pojechać do kadry i stamtąd wziąć urlop. Zdziwiło mnie na razie to pytanie, bo od lekarza chyba zależy przede wszystkim decyzja. Odrzekłem, że na razie chcę jeszcze kilka dni poczekać, a że z kadry mogę

⁴⁵ Helena Radlińska pseud. H. Orsza (1879-1954), działaczka społeczna, pedagog i historyk oświaty. Jedna z organizatorek walki o szkołę polską w Królestwie (1904-1906). Studiowała na UJ u prof. St. Krzyżanowskiego (1907-1911). Działaczka Polskiego Skarbu Wojskowego i KSSN. Od sierpnia 1914 r. pracowała w NKN, m.in. jako delegat NKN do spraw oświaty i propagandy w Dąbrowie Górniczej, od 1915 r. w Centralnym Biurze Szkolnym, członkini POW. W wolnej Polsce profesor pedagogiki Wolnej Wszechnicy Polskiej, od 1945 r. prof. Uniwersytetu Łódzkiego.

⁴⁶ Morzycka – bliższych danych brak

⁴⁷ Morzycki Witold – bliższych danych brak

⁴⁸ Morzycka Krystyna z d. Komorowska – bliższych danych brak

⁴⁹ Morzycki Karol – bliższych danych brak

dostać tylko dwutygodniowy urlop, który dla mnie nie ma żadnej wartości i że przeto chyba do dłuższego urlopu w drodze superrewizji chciałbym aspirować. Doktor odparł, że mogę tu jeszcze zabawić z tydzień albo ze dni 10, ale że on będzie musiał wiedzieć, czy się chcę zgłosić do superrewizji, bo w takim razie mnie tam skieruje. Prawdopodobnie zdecyduję się na to, bo sądzę, że to będzie jednak najprostsza droga dostania się do Wilna, o ile tylko komisja superrewizyjna uzna moją chorobę sercową. Muszę się spieszyć z pomówieniem jeszcze z panią Radlińską, do której mnie Sokolnicki skierował, w sprawie przydzielenia mnie do Departamentu Wojskowego. Trzeba te rzeczy jakoś pokombinować razem i poradzić się z ludźmi. Wspomnę teraz o najważniejszym przedmiocie mojej pozawczorajszej rozmowy z Sokolnickim. Sokolnicki jest, zdaje się szczerze przejęty tym, aby mi się udało dotrzeć do Wilna. Potrzebę nawiązania stosunków z Wilnem uważa za jedną z najpilniejszych w systemie akcji obecnej i uważa brak kontaktu z Wilnem za jedną z wielkich i bardzo ujemnych luk. Niestety – stosunki polityczne na terenie okupacji niemieckiej w Królestwie, a tym bardziej na Litwie wykluczają możliwość posłania tam jakiegoś delegata. Teraz zaś w mojej osobie trafia się człowiek, który zna stosunki miejscowe i zarazem taki, który, jako stały mieszkaniec Wilna, może mieć szanse uzyskania zupełnie legalnego pobytu w Wilnie. Ale naturalnie chodzi Sokolnickiemu o to, aby ten człowiek, to znaczy w tym wypadku ja, był tam w Wilnie rzecznikiem tych właśnie prądów, które w stosunku do Wilna wyraża kierunek, reprezentowany przez Sokolnickiego i jego przyjaciół. Tym bardziej o to chodzi, że będę tam jedynym rzecznikiem Sprawy, stąd przybyłym i interpretującym tutejsze tendencje ruchu, z samego jego źródła. Do Wilna zaś przywiązuje Sokolnicki szczególną wagę. Zdaje się, że jego traktowanie Wilna i w ogóle wszystko to, co mówił o stosunku polskiej sprawy niepodległościowej do Wilna i do Litwy, nie jest li tylko jego osobistym poglądem, ale poglądem i tendencją kierunków radykalno-niepodległościowych. Przede wszystkim, Sokolnicki podzielił w zupełności moją myśl o tym, że pożądane byłoby zwerbowanie do Legionów specjalnego oddziału z Wilna – kompanii czy plutonu albo też szwadronu ułanów (to ostatnie jest trudniejsze, ponieważ w Wilnie liczyć można raczej na młodzież rzemieślniczą albo ze sfer półinteligencji i pracowników instytucji prywatnych, niż na młodzież ziemiańską, odpowiednią do kawalerii). Tę myśl jako akt czynnego zaznaczenia stosunku Wilnian do polskiego ruchu niepodległościowego uważa Sokolnicki za bardzo udatną, pomimo zawieszenia przez Piłsudskiego werbunku do Legionów w Królestwie (fakt tego zawieszenia potwierdził Sokolnicki). Co zaś do Wilna i Litwy w kombinacjach państwowych polskich, to Sokolnicki wypowiedział następujące poglądy. Zdaniem jego, Polacy w ruchu obecnym muszą się liczyć z warunkami realnymi, stosunkami sił i możliwościami konkretnymi; muszą być, niestety, politykami, choćby wypadło przy tym ograniczyć lot i uszczuplić ramy swego ideału. Otóż jak nie mogą obecnie i nie powinni Polacy podnosić kwestii Poznańskiego i stawiać żądania wcielenia go do Państwa Polskiego, co nie znaczy bynajmniej, aby się w ideale narodowym rezygnowało z niego, tak nie powinni dziś podnosić żądania wcielenia do Polski północno-zachodnich dzielnic Litwy, w szczególności gub. kowieńskiej i nawet północnej części wileńskiej oraz Kurlandii. Zdaniem Sokolnickiego, wymaga tego zmysł polityczny, zmysł miarkowania swych żądań warunkami realnymi, aby nie żądać za dużo i ponad to, co osiągnąć można i przez nadmierne maksymalne żądanie nie skompromitować całej swojej Sprawy i nie stracić tego, co by się zdobyć mogło. Niemcy – powiada Sokolnicki – mają ekspansję w kierunku Kurlandii i prowincji bałtyckich, a droga ta prowadzi przez Kowno, Żmudź i północno-wschodnią Litwę etnograficzną, a ponieważ Polacy, którzy koordynują swe działania z Niemcami, muszą się z Niemcami, a szczególnie z Niemcami zwycięskimi

liczyć, przeto muszą tak samo wykreślić dziś ze swych żądań państwowych Kurlandię, Żmudź i Kowno, jak wykreślają dziś z bólem Poznańskie. Natomiast jak największy kłasek trzeba, zdaniem Sokolnickiego, nacisk na Wilno z terenem otaczającej [go] tzw. Rusi Litewskiej czyli Białej Rusi katolickiej i połączeniem z Królestwem przez gub. grodzieńską. Taka jest „realistyczna” polityczna koncepcja Sokolnickiego, w której z łatwością odnajduję elementy dość popularnej koncepcji polskich kół radykalno-narodowych, a nawet części Polaków litewskich z niektórymi „przeglądowcami” wileńskimi włącznie. Jutro napiszę, jak Sokolnicki usprawiedliwiał tę koncepcję w stosunku do ewentualnego zarzutu krzywdy względem Litwinów.

31 grudnia, rok 1915, piątek

Sokolnicki, wykładając mi swoją koncepcję w stosunku do Litwy i Wilna i pragnąc mnie do niej przekonać, uważał za potrzebne usprawiedliwić ją jakoś w moim pojęciu. Będąc świadom moich sympatii litewskich, obawiał się zapewne, że dostrzegę w tym dobrowolnym oddawaniu Litwinów na pastwę germanizmu i przywłaszczaniu państwowości polskiej li tylko stolicy litewskiej – Wilna wraz z Zachodnią Białą Rusią katolicką, krzywdę wyrządzoną Litwinom, a przynajmniej niedopełnienie zobowiązań historycznych do braterstwa i współdoli, płynących ze starych założeń Unii i wspólności dziejowej. Upewniał mnie więc, że był zawsze przyjacielem Litwinów, rozumiał ich aspiracje narodowe i zawsze bronił ich w rozmowach politycznych z narodowcami polskimi, dopatrującymi się w ruchu litewskim cech zaborczych, warcholskich i separatystycznych. Przede wszystkim tłumaczył to wykreślenie postulatu Kowna, Żmudzi i Kurlandii z państwowego programu polskiego koniecznością taką samą, jak w stosunku do Poznańskiego obecnie. Przekonywał, że tak samo, jak w stosunku do Poznańskiego, nie jest to bynajmniej rezygnacja, bo nie ulega wątpliwości, że państwo polskie podejmie w zadaniach swoich ciągłość historyczną i przeto tendencję do odzyskania Poznańskiego i ziem Litwy etnograficznej i Żmudzi oraz zapewne Kurlandii z ujściem do morza, którą przy sprzyjających okolicznościach nie omieszka w czyn wcielić, nie przesądzając, kiedy to nastąpi. Co zaś do Litwinów w szczególności, to jedno z dwojga: albo ich ruch narodowy okaże się czymś zgoła próżnym i w zetknięciu z zorganizowanym germanizmem Litwini spadną do poziomu jakichś, jak się Sokolnicki wyraził, Pomorzań, gasnących stopniowo i służących li tylko za strawę i nawóz dla panującej narodowości państwowej, albo też w tej próbie ogniowej wykażą zaiste swoją żywotność i prawo do bytu, hartując swój rozwój, a przeto staną się siłą w państwie odśrodkową i wcześniej czy później, ewentualnie w sojuszu z Polską, byt swój i wolność odzyszczają; w polskim zaś Wilnie będą zawsze mogli założyć swój Piemont. Oczywiście, że argumentacja ta w stosunku do Litwinów grzeszy dowolnością poddawania ich próbie i nie jest żadnym usprawiedliwieniem; jeżeli to konieczność obecnych warunków politycznych i międzynarodowych, to nie ma żadnych usprawiedliwień; usprawiedliwienia i tłumaczenia stają się potrzebne tylko na wypadek dowolnego czynu i dowolnego wyboru. Jako dowolny wybór i dowolna rezygnacja z Litwy etnograficznej oraz porzucenie jej na pastwę germanizmu, uważam to zarówno za błąd ze stanowiska interesu polskiego, jak za niedopełnienie konsekwencji dziejowej z przeszłości Rzeczypospolitej. Gdybym wszakże się przekonał, że to konieczność, to oczywiście poparłbym choćby tylko oderwanie Wilna z Białą Rusią Zachodnią. Bo gdy Litwa nie może być państwem wolnym i równoległym, złączonym braterstwem i unią z Polską, to oczywiście pragnę oderwania każdej jej części od Rosji i ocalenia tejże od zaboru niemieckiego przez wcielenie do Polski, choćby to był tylko skrawek, składający się z Wilna z gubernią grodzieńską. Ale o konieczności tego nie jestem jeszcze przekonany. Mam wrażenie, że Sokolnicki

rozważa to także nie wyłącznie ze stanowiska konieczności, ale w dużym stopniu ze stanowiska określonej koncepcji polskiej państwowej, której hołduje. Są bowiem cztery rodzaje koncepcji polskiej państwowości w stosunku do Litwy: pierwszy – zamykający Polskę w ramach wyłącznie etnograficznych i rezygnujący całkowicie z ziem historycznej Litwy i Rusi jako z własności obcej, która nie powinna Polskę zgola obchodzić; drugi – wskrzeszający tradycje Unii Polski i Litwy jako dwóch równoległych jednostek indywidualnych, połączonych zespołem, nie zaś zależnością i panowaniem; trzeci – roztaczający Polskę na cały obszar ziem b. Rzeczypospolitej od morza do morza, oparty na zasadzie dominacji polskiej i polskiego imperializmu narodowego; wreszcie czwarty – wykrawający z obszaru b. Rzeczypospolitej terytorium narodowe polskie, sięgające szerzej od etnograficznego, bo włączające wszystkie te ziemie etnograficznie niepolskie, które nadają się do ekspansji polskiej i mogą być przeto spolonizowane; ten czwarty rodzaj koncepcji kreśli granice państwa polskiego tam, gdzie zaczynają się zaznaczać prądy narodowo samodzielne, mające siłę przeciwstawienia się procesowi polonizacyjnemu; w tej koncepcji wykluczona jest z przyszłego państwa polskiego Ukraina, prócz Galicji i zachodniej połaci Wołynia, a z Litwy wykrajana jest na rzecz Polski Białoruś katolicka z Wilnem, rezygnując z Litwy etnograficznej i ze wschodnich oraz północnych Białej Rusi kresów. Otóż Sokolnicki należy do kierunku, hołdującego tej ostatniej koncepcji, a przynajmniej aspirującego do takowej. Wszakże mam wrażenie, że w obecnym niepodległościowym obozie polskim dominującą jest koncepcja trzecia, imperialistyczna, mającego najwyrazistszego, choć nieco kompromitującego rzecznika w osobie Władysława Studnickiego. Mówiąc o dominowaniu tej koncepcji, mam na myśli koła polityków obozu niepodległościowego, zwłaszcza w Królestwie Polskim i w szczególności koła Secesji, N.Z.R. i tym podobnych narodowych prądów, wykluczam zaś szeroką masę ruchu niepodległościowego i w szczególności np. czynnych jego rycerzy – legionistów, którzy tych koncepcji nie są świadomi i pragną jednego – wolnej Polski, wolnego Narodu, nie rozumując nad granicami państwa, jeno myśląc o Narodzie tam, gdziekolwiek on jest. Ostatni dziś dzień starego roku. Rok ten może być dla mnie rokiem przełomowym, ale to dla losów moich osobiście. Mianowicie mój udział w Legionach, w razie pozostania Litwy w ręku Rosji, stałby się dla mnie powodem do emigracji, do utraty Ojczyzny. Ale mniejsza o moje osobiste losy. Rok 1915 nie spełnił żadnych konsekwencji wojny. Minął on w strasznej krwawej zawierusze i gaśnie w niej, jak powstał. Był tylko ogniem w łańcuchu katastrofy, wszakże ogniem pod tym względem cennym, że przesilił zwycięstwo przeciwko koalicji czwórporozumienia i przeciwko Rosji. Gaśnij, roku!

1 stycznia, rok 1916, sobota

Rok nowy. Oby stał się rokiem wielkim, błogosławionym, rokiem ziszczenia tęsknot i woli pokoleń, koroną czynu bohaterów, którzy od lat 150 z pokolenia w pokolenie szli na bój ze sztandarem Wolności, a których przemoc dotąd zwyciężała zawsze! Zwyciężała pozornie, w powszedniej praktyce rzeczywistości, ale zwalczyć nie zdołała w żywym duchu o wieczyście odradzającym się czynie. Bo ofiara, poczęta z najgłębszych źródeł Miłości, i krew męczeńska bohaterów – mają w sobie moc cudowną i niezwalczoną. Zaiste prawdą jest, że krew niewinna woła wielkim głosem pomsty do nieba, a niewinna jest zawsze krew, która się z miłości i o wolność przelewa. Bóg usłucha jej głosu i da jej siłę, która jest plagą na kata, bo niczym, żadnymi ludzkimi środkami gwałtu pokonać jej nie zdoła. Głos tej krwi z pokolenia idzie w pokolenie i odradza się wieczyście żywym czynem. I jak czyn narodowy w krwawych powstaniach ludów ujarzmionych, tak czyn rewolucyjny robotników i klas umęczonych nie zginie i

odradzać się będzie, dopóki wolność nie stanie się prawdą rzeczywistości. Giną podli i słabi, którzy woli i czynu wykrzesać nie są w stanie, ale niegasnącym jest czyn w ludzie, klasie czy narodzie, umiejącym chcieć i czynić.

Czy rok 1916 wyda plon tej wojny, czy też, jak jego poprzednik 1915, przesunie się tylko ogniwem w krwawym łańcuchu wypadków, zlecając dalszą spuściznę katastrofy rokowi 1917? Niewykluczonym jest bynajmniej to ostatnie. Wszakże spodziewać się wolno, że krwawy bieg wojny ustanie w tym roku, bodaj ku jesieni, po próbie wysiłków letnich i przed trzecią kampanią zimową. Ale jeżeli krwawa walka jako taka ustanie, to jednak prawdopodobnie zlikwidowania katastrofy w postaci jakiegoś konkretnego pokoju rok 1916 jeszcze nie spełni.

Wielkich jednak przemian dokonała w psychologii ludzkiej ta wojna światowa. Jakże inaczej myśli i czuje dziś ludzkość, niż przed półtora rokiem! Chociaż jednostki ludzkie pozostały przecie te same! Od półtora roku nie narosło przecie żadne nowe pokolenie ludzkie. Ludzkość z roku 1916 jest jeszcze tą samą, jaką była w połowie roku 1914, z tych samych członków złożona, a jakże jednak jest inną, jak różną od siebie samej. Tam to była ludzkość z doby Wielkiego Pokoju Europejskiego, ludzkość pogrążona w mieszczańskiej atmosferze ducha, pod znakiem giełdy, przemysłu, nauki, rachub ekonomicznych, postępu itd. Były w tej kulturze pierwiastki nieśmiertelne, jak nauka, postęp, jak nieustająca walka nurtujących świat rewolucyjnych prądów proletariatu, ale ujęte to było w ogólny układ myśli mieszczańskiej, niejako w mieszczański styl, którego jednym z najcharakterystyczniejszych elementów był racjonalizm. Ta przesada, ta absolutna przewaga racjonalizmu w duchowości ludzkiej doby Wielkiego Pokoju Europejskiego, to obecnie ustało przez te krwawe półtora roku wojny. I tej supremacji racjonalizmu, zwięzającej niezmiernie pole widzenia ludzkiego, po wojnie też z pewnością nie będzie. Supremacja ta na długie lata i pokolenia z pewnością wykreślona zostanie z rozwoju ducha ludzkiego. Racjonalizm w pewnej proporcji z innymi elementami, jako współrzędny i współdziałający, ewentualnie współubiegający się z innymi, ma swoją funkcję użyteczną, ale supremacja jego jest niebezpieczna, wyjaławiająca zbyt wiele innych twórczych władz ludzkiego ducha. Jak racjonalizm, tak jego reakcja i antyteza – mglisty mistycyzm – są oba w supremacji dla twórczego ducha ludzkiego niebezpieczne. Wojna obecna, łamiąc bezwzględnie supremację racjonalizmu, nie grozi natomiast bynajmniej supremacją mistycyzmu, bo mistycyzm jest równie obcy naturze wojny, jak racjonalizm. Pogłębia natomiast wojna ogromnie zmysł religijny, który może się zdoła wreszcie odrodzić i z ram niewolnictwa kościelnego z jednej strony, a z obojętności i próżni religijnej lub, co gorsza, z obłudy form i praktyki bez wiary z drugiej strony, wytrysnąć żywym kwiatem głębokiej i twórczej indywidualnej wiary. Poza tym wojna daje ludziom obcowanie z rzeczami wielkimi, oswaja ich z wielkością, wielkość do ich dusz wciela. Przez wojnę wystrzela z człowieka kwiat bohaterstwa, wreszcie wojna, zwłaszcza w państwach środkowo-europejskich, wdraża społeczności ludzkie w zbiorowe organizowanie wielkich zagadnień społecznych. Mnóstwo zresztą jest skutków duchowych wojny, dodatnich w swoim działaniu, pomimo że wojna sama w sobie i przez się jest rzeczą brzydką i ma też sporo niewątpliwie skutków ujemnych. I jeszcze jedna rzecz wielka tej wojny: pogłębienie pierwiastka i zagadnienia narodowego, uzdrowienie go z nacjonalizmu mieszczańskiego i uprzytomnienie jego natury i istoty rzetelnej jako tworcu ducha ludzkiego.

Wziąłem dziś przepustkę, byłem na mieście i rozmówiłem się z panią Radlińską. O tym jutro.

2 stycznia, rok 1916, niedziela

Napiszę o radach, udzielonych mi wczoraj przez panią Radlińską. Okazało się, że p. Radlińską znam dobrze z Piotrkowa z Departamentu Wojskowego. W biurach Departamentu była wszechobecna, choć nie miała, zdaje się, żadnej określonej indywidualnej funkcji. Nic wszakże nie działo się tam bez jej wiedzy i bodaj bez jej przyzwolenia. Rządziła się tam jak szara gęś. Bardzo ruchliwa, bardzo przejęta sprawami legionowymi, iście po kobiecemu, poza tym pocziwa, acz nie posiadająca bynajmniej orlego umysłu, ot sobie – przeciętna inteligencja b. studentki zagranicznej i wieloletniej społeczniczki – stała się p. Radlińska potęgą w Departamencie Wojskowym. Słuchano jej tam, radzono się, proszono o protekcję, a ona się uwijała i wszystkiemu służyła, wszystko jednocześnie ogarniając, wszędzie umiając trafić nad wszystkim w Departamencie przewodząc. Jest to osoba w gruncie dobra, pełna dobrych chęci, nie pragnąca, zdaje się, nikomu szkodzić, nie mająca złośliwości; nie ambicja też karierowiczowska ani pragnienie władzy i wywyższenia się kierują nią w jej działalności w Departamencie Wojskowym; działalność ta jest po prostu ekspansją natury ruchliwej, która musi mieć ujście w jakimś ciągłym czynie lub choćby po pozorach takowego. Ta też ruchliwość wyniosła ją do roli „duszy” Departamentu Wojskowego; złośliwi nazywają ją papieżem Departamentu, znalazła w nim swoją sferę działania i trzyma się go i wędruje z nim z Krakowa do Jabłonkowa, z Jabłonkowa do Piotrkowa. Departament Wojskowy zastąpił jej męża (mąż jej jest docentem chirurgii na Uniwersytecie Jagiellońskim, obecnie lekarzem wojskowym austriackim), dom, rodzinę. Naturalnie, że w sprawach głębszego znaczenia, w kierowniczych zagadnieniach polityki Departamentu wpływy p. Radlińskiej ustają, ani Sikorski, ani Tytus Filipowicz nie udają się w tych rzeczach do pomocy p. Radlińskiej. Ale w rzeczach drobiazgowych, w tysięcznych szczegółach wewnętrznego życia Departamentu, w załatwianiu rozmaitych spraw i potrzeb osobistych, związanych w ten lub inny sposób z Departamentem, p. Radlińska jest nieodzowna i wszechmocna. Tu jest jej królestwo, którego używa na dobro ogólne podług swego rozumienia – bez widoków osobistych prócz chyba własnego zadowolenia. Przez tą szacowną cechę ruchliwości i umiejętności załatwiania przeróżnych spraw i poruszania wszelkich sprężyn zyskała ona wielką wagę u ludzi w kołach Departamentu; a protekcja jej jest bardzo ceniona, a uzyskać ją jest bardzo łatwo, bo to osoba bardzo dostępna, nie wyceniająca swojej „wielkości” i wpływów. Toteż w Departamencie wszyscy się bardzo koło niej kręcą i ubiegają o jej względy. Za jej też bodaj protekcją wyrósł w Departamencie i zrobił swoją karierę dr Kot. Toteż Kot umie chodzić koło niej, utrzymywać jej względy, czarować ją swoją osobą, co na psyche kobiety zawsze działa. Dziś Kot mocno siedzi w swoim krześle redaktorskim, ma silną pozycję w Departamencie, stał się potrzebnym mężem zaufania, powiernikiem i współpracownikiem Sikorskiego, co usuwa dlań potrzebę protekcji, ale Kot jest człowiekiem przewidującym, karierowiczem na dłuższą notę. Toteż trzyma się względów łaskawych p. Radlińskiej, które mu się i na przyszłość i poza Departamentem jeszcze ewentualnie przydać mogą. Dawniej, Jabłonkowie, wpływy i potęga p. Radlińskiej sięgały podobno jeszcze dalej; nasłuchiwałem się o tym dość od legionistów w linii i p. Radlińska miała faktycznie w ręku moc rozdawnictwa gwiazdek i szarż oficerskich; to naturalnie robiło jej protekcję jeszcze bardziej poszukiwaną, skoro za jej wpływami można było bez zasług, bez krwawej ofiary, jeno na kredyt wiary i idei wchodzić w szranki bohaterów i to od razu z gwiazdkami. O osobie p. Radlińskiej i jej wpływach w Departamencie słyszałem dużo; skądinąd sam obserwowałem jej ruchliwość, jej wpływy i wszechmocność w Departamencie. Nie wiedziałem jednak, że ta, którą osobiście obserwowałem, jest tą samą osobą, panią Radlińską. Świadczy to w każdym razie o mojej wielkiej bezinteresowności i naiwności życiowej, skoro będąc tak

blisko źródła wpływów i protekcji, nie tylko z takowego nie korzystałem, alem się nawet nie zainteresowałem stwierdzeniem jego autentyczności. Wczoraj dopiero, gdy poszedłem do p. Radlińskiej, skierowany do niej przez Sokolnickiego, przekonałem się naocznie, że jest to ta sama obserwowana przeze mnie osobka z Departamentu Wojskowego. P. Radlińska bawi obecnie w Krakowie, a wczoraj była cierpiąca i leżała w łóżku. Przyjęła mnie bardzo uprzejmie. Co zaś do moich spraw, to jako biegła w tego rodzaju interesach, poradziła mi co następuje. Przede wszystkim oczywiście uważa za niezbędne, abym uregulował mój stosunek do wojskowości, to znaczy w pierwszym rzędzie stawiał do superrewizji bądź dla zwolnienia od wojska, bądź dla uzyskania długoterminowego urlopu. Gdyby zaś superrewizja nie dała rezultatu, w takim razie radzi mi p. Radlińska, bym się udał wprost do brygady i stamtąd urlop pozyskał; co powiada, że jest możliwe. Wtedy dopiero z takim urlopem albo zwolnieniem stawiałbym się w Piotrkowie. Tymczasem w Piotrkowie można byłoby się zająć, ewentualnie może nawet zaraz, przed moim przybyciem, legalizacją mego cywilnego pobytu w Piotrkowie (oczywiście fikcyjnego) przy Departamencie Wojskowym. Mój rosyjski paszport zagraniczny z zanotowanym na nim wyjazdem do Austrii jest w Piotrkowie przy moich rzeczach cywilnych. Trzeba tylko wykazać i zalegalizować mój obecny pobyt na terenie austriackiej okupacji, zatajając mój udział w Legionach. Dla przygotowania do tego pani profesorowa Dobrowolska⁵⁰, obecna przy naszej rozmowie z p. Radlińską, obiecała mnie sfotografować w tych dniach w cywilnym ubraniu. Następnie po ewentualnym zalegalizowaniu mnie jako cywila mógłbym pojechać do Lublina, a stamtąd z dokumentami austriackimi można dyliżansem pojechać do Warszawy i pozostać tam, biorąc paszport niemiecki, co jest dozwolone. Stamtąd zaś dopiero, z Warszawy na podstawie niemieckich dokumentów i przynależności do Wilna starać się o pozwolenie wyjazdu do Wilna, co podobno także jest możliwe.

⁵⁰ Dobrowolska – bliższych danych brak